

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

WRZESIEŃ 2018/5

magazynhisteria.pl

GOŚĆ
SPECJALNY
**MAREK
ZYCHAŁA**

NAROŻNA
KAMIENICA
**JÓZEF
KORZENIOWSKI**

OPOWIA DANIA

BRUD
CIASNO, CIAŚNIEJ
GRUZOWISKO
MĘŻCZYŻNA W GARNITURZE
NIEPRAWDZIWI
PIA
SREBRNA ŻRENICA
STRÓŻE
TEN WASZ ŚWIAT
ZMIERZCH RODU MONTALPICH

WSTĘP

(recenzja)

Anna Plich

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
BRUD	Marta Marek	5
CIASNO, CIAŚNIEJ	Jakub Tyszkowski	13
GRUZOWISKO	Jacek Kulpa	26
MĘŻCZYZNA W GARNITURZE	Robert Zawadzki	40
NIEPRAWDZIWY	Grzegorz Wielgus	51
PIA	Marek Zychla	59
SREBRNA ŻRENICA	Justyna Bendyk	79
STRÓŻE	Michał "Skoliotyk" Tomczyk	87
TEN WASZ ŚWIAT	Szymon Majcherowicz	95
ZMIERCH RODU MONTALPICH	Natalia "Nana" Kędra	112
Wstręt (recenzja)	Anna Plich	121
NAROŻNA KAMIENICA	Józef Korzeniowski	124

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka (ilustracja): Barbara Komaniecka

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Dawid Boldys, Marcin Czarnecki, Barbara Komaniecka, Roman Panasiuk.

Małgorzata Siłkowska, Zvyrke

Korekta: Joanna Korytko, Alicja Podkalicka

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami wrześniowa Histeria. Gościem Specjalnym dwudziestego ósmego numeru jest Marek Zychła, który prezentuje na naszych łamach niepublikowane dotąd opowiadanie *PIA*.

Wśród jedenastu tekstów znajdują się cztery finałowe z *WSTRETnego* konkursu, zorganizowanego z okazji 85. urodzin Romana Polańskiego. Na początek zachęcamy do lektury wywiadu z Histerykiem Miesiąca – Michałem Pleskaczem.

Na koniec pierwsza recenzja w historii naszego magazynu, czyli krótkie omówienie filmu *Wstręt* przez Annę Plich, a także *Narożna kamienica* Józefa Korzeniowskiego, którego 155. rocznica śmierci mija w tym miesiącu.

Tyle od nas. Wracamy do prac nad listopadową Histerią. Życzymy strasznej lektury!



B. Jaworski i M. Zawadzki

WYZNANIA HISTERYKA



Michał Pleskacz – obecnie student. Miłośnik epickiego heavy i cmentarnego black metalu, wielbiciel kwasu chlebowego, psiaków i tapirów. Oprócz pisania realizuje się twórczo także w muzycznym zespole. Z uporczywością i niewielkim szaleństwem wyszukuje w literaturze (i nie tylko) wątki kultu Wielkiej Matki.

Skąd pomysł na opowiadanie *Wyjście*?

Po części jest to tekst autobiograficzny – rzeczywiście bowiem spotkałem się raz dosyć późną, zimową porą z moim znajomym. Przestrzeń opisana w *Wyjściu* to moje najbliższe okolice; jakieś dwadzieścia minut mam piechotą nad Wisłą – to bardzo urodziwe, zaciszne i niezwykle tajemnicze tereny. Gęste krzaki, małe bagienka, ciche źródła, dzika zwierzyna czy właśnie rzeka – inspiruje mnie to wszystko, i tak rodzą się niejako moje opowiadania.

Jak wyglądała praca nad tekstem?

Któregoś razu postanowiłem po prostu spisać ten kielkujący w mej głowie pomysł, połączyć to z własnymi, późniejszymi przemyśleniami i pomysłami. Od początku chciałem, aby była to swego rodzaju nowelka – spójne, krótkie opowiadanie, taka miniaturka grozy. Najwięcej czasu zajęło dopieszczenie tekstu, sporo rzeczy też wykreśliłem.

Jakich pisarzy szeroko pojętej grozy cenisz sobie najbardziej?

Nie będę oryginalny, jeśli powiem, że ogromny wpływ miała na mnie twórczość Lovecrafta. Ale pisarza tego zacząłem czytać zanim w ogóle się z nim zetknąłem. *Drapieżców* Mastertona przeczytałem jednym tchem, zatracając się zupełnie w fascynującej historii. Dopiero później dowiedziałem się o genezie tej powieści. Uwielbiam też Ewersa i poetykę Leśmiana czy Schulza. Bardzo lubię również motyw golema w literaturze – uważam, że powinien być bardziej rozwijany, bo ma ogromny potencjał i można go wciąż przetwarzać na wiele ciekawych sposobów.

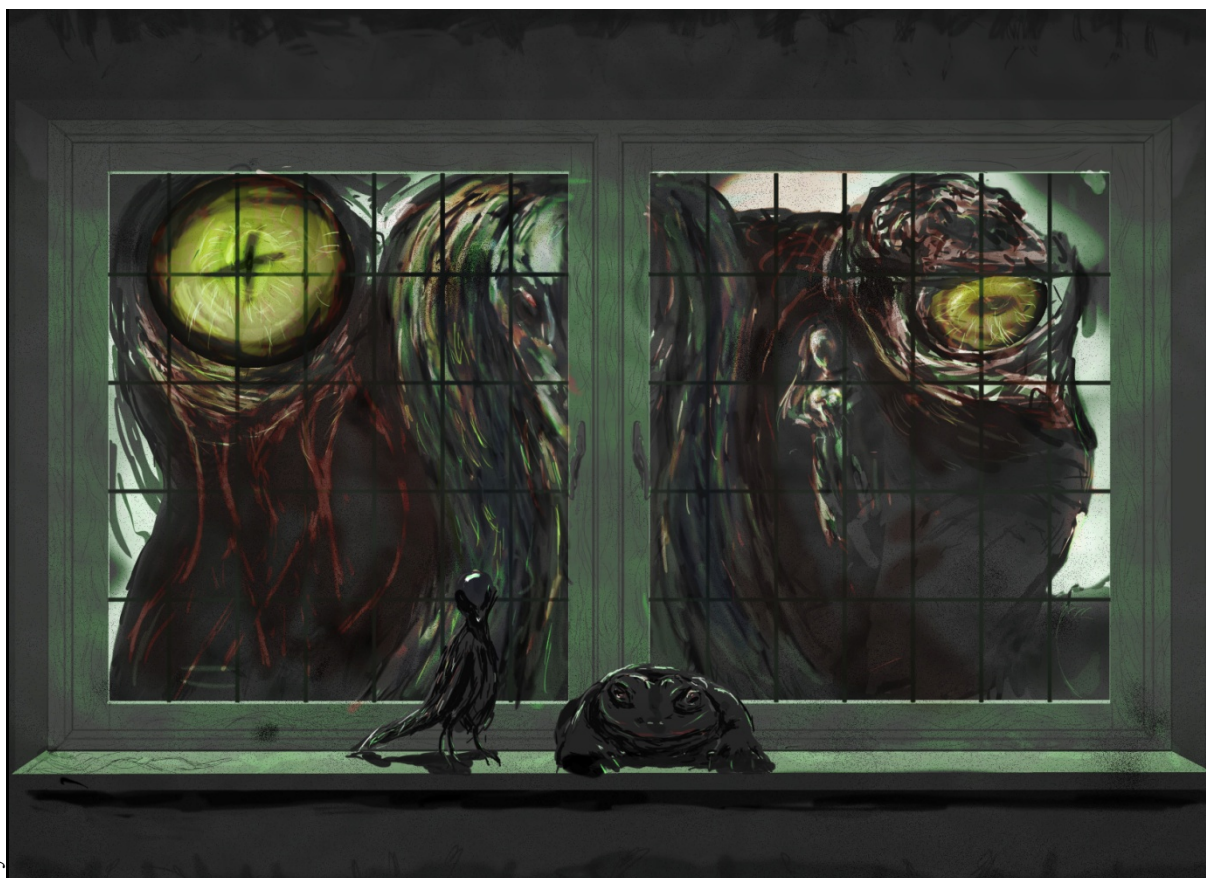
Pisanie to hobby czy coś więcej?

Obecnie hobby, prawdziwa pasja samego tworzenia; sprawia mi to ogromną radość, zwłaszcza, jeśli mogę z tekstem wyjść do ludzi – dopiero wtedy zaczyna on prawdziwie żyć. Dlatego z tego miejsca dziękuję wspaniałej *Histerii*!

Z czym kojarzy Ci się słowo *histeria*?

Z wafelkiem Teatralnym – wpadłem w historyczny w obłąd, gdy po latach dopiero odkryłem na jego papierku twarz!! Nie patrzcie za długo, bo może dostrzeżecie wśród nich także swoją...





BRUD

Marta Marek

Zamek stęknął metalicznie, gdy przekręciła klucz. Poły ciężkich, drewnianych drzwi skleiły się, dawno nieotwierane. Musiała naprzeć na nie nieco mocniej, by puściły. Chwilę później, gdy stanęły przed nią otworem, owiało ją chłodne powietrze o zapachu kwaśnej stęchlizny.

Bielone ściany małego mieszkania dawno już zszarzały, ukazując najmniejsze niedoskonałości w strukturze ścian. Z sufitu – swego czasu musiał być naprawdę wspaniały – zwisały kawałki farby pokrywającej przepiękny plafon nad lampą.

Lokatorka włączyła światło. Mimo wczesnej pory w mieszkaniu było dosyć ciemno. Odłożyła na bok ciężką walizkę, torebkę i nylonową siatkę, z którymi tu przysła. Zamknęła

za sobą drzwi i z lekką odrazą zauważyła, że kurz z klamki przykleił się do jej starannie wypięłgnowanej dłoni. Drugą ręką wyciągnęła z torebki mokre chusteczki dla niemowląt (najlepsze na wszelki brud), po czym zaczęła starannie wycierać swoje zgrabne dłonie. Paznokcie wyczyściła ze szczególną uwagą.

Jej obcasy zastukały o posadzkę. Uwielbiała szpilki. Przeszła przez krótki korytarz do pokoju, który stanowił zarówno sypialnię, jak i gabinet, a także jadalnię i kuchnię.

Wszystkie meble w kawalerce miały ten sam, dość modny na początku lat dwutysięcznych fason. Wykonane z lekkiej sosnowej sklejkki, były wręcz ordynarnie proste, z delikatnymi zaokrągleniami na rogach, które zauważyła z dużym zadowoleniem, zdając sobie sprawę z tego, że nie skaleczy się o żaden z kantów.

Przy prawej ścianie znajdował się mały regał na książki i biurczko, pod które wsunięto obite pomarańczowym flokiem krzesło. Po lewej stało łóżko przykryte kocem w góralskie wzory i mały stoliczek kawowy, a dalej szafa, blat kuchenny, minilodówka i turystyczna kuchenka elektryczna.

Na wprost dziewczyny było wysokie okno zasłonięte wyblakłymi, żółtymi zasłonami. Sięgnęła do materiału, by go odsunąć. Z przerdzewiałego karnisza posypały się na ziemię kawałki metalu i chmara kurzu. Dziewczyna kaszlnęła, spoglądając krytycznie w górę. Szyby były oczywiście brudne od deszczu.

Jej szpilki znów zastukały o posadzkę. Podeszła do drzwi łazienki. Głośno wciągając powietrze, otworzyła je z impetem. Na całe szczęście pomieszczenie było małe i wykafelkowane tak, by nie było widać, że dawno nikt go nie czyścił. Pod rurą z toalety i za listwami prysznicą zebrał się oślizły zielony osad, taki, który pojawia się w chłodnych i wilgotnych miejscach. Brodzik przedstawiał obraz nędzy i rozpacz, a dziewczynie, która lubiła nieco dramatyzować, wydawało się, że ktoś musiał do niego strząsnąć pół plaży. Pokręciła głową z niesmakiem i zrezygnowana opuściła pomieszczenie. Podeszła do walizki, otworzyła ją, wyjęła parę czyściutek, różowych kłapek kąpielowych i gumowe rękawice w kolorze turkusowym. Sięgnęła do siatki, z której po kolei, napawając się widokiem białych opakowań, wybrała płyn do czyszczenia kafelków, do mycia naczyń, do podłóg i do toalet, zmiotkę, szufelkę, trzy ścierki, jedną gąbkę, kostkę toaletową oraz odświeżacz powietrza. Następnie wyciągnęła bawełniany T-shirt, legginsy i chustę, którą owinęła włosy (loki mają zostać nienaganne!).

Przebrała się i uzbrojona na wojnę z brudem wkroczyła do łazienki po raz kolejny. Cztery godziny myła, szorowała, zdrapywała, odklejała, wdychała, warczała i jęczała, by wreszcie wyjść obronną ręką z trudnego starcia. Była już ledwo żywa. Czuła, że jej koszulka

przesiąkła potem i wilgocią, ale nie mogła się poddać, gdy mieszkanie wciąż nie było perfekcyjne.

Od dziecka uwielbiała otaczać się pięknymi rzeczami, a w czystym otoczeniu odnajdywała spokój i satysfakcję.

Zakasała znów rękawy i zaczęła ścierać kurz z mebli, szorować jego tłuste, szare plamy, polerować blaty. Podłoga rysowała się jako obraz nędzy i rozpacz. Biedna dziewczyna była już na skraju omdlenia, ale jej dzieło wciąż nie było skończone. Pracowała bez wytchnienia od pięciu godzin, zapominając o jedzeniu, piciu, wszystkim wokół. Istniało tylko to mieszkanie i jego niedoskonałość. Nieznośna niedoskonałość.

Wytarta, drewniana posadzka okazała się być większym wyzwaniem, niż się spodziewała. Trzy razy ją odkurzała. Spomiędzy desek wciąż wyciągała kłaki kurzu i piach. Za czwartym razem nic już nie znalazła. Wstała więc z kłęczek i ruszyła do wiadra z wodą. Nagle zakręciło się jej w głowie. Wpadła na szafę i oparła się o jej rozchylone drzwi. Świat zawirował, a ciemność przez chwilę stała się jasnością. Oddychała płytko. Świadomość uciekała gdzieś, gdzie nie ma czasu ani brudu. Ale właśnie. Brud! Przywołała wszystkie siły, by wrócić do szafy, w której siedziała. Jej nogi wystawały na zewnątrz. Oświetlał je ciepły blask lampy. Zwróciła uwagę na brzydki siniec, który wykwitł pod kolaniem. Musiała się uderzyć, kiedy upadła. Niezadowolona wstała – tym razem powoli i ostrożnie, by znów nie zakręciło jej się w głowie. Upewniwszy się, że pewnie stoi na nogach, wzięła łyk wody i wyszorowała podłogę, po czym stanęła dumnie na końcu mieszkania. Jej dzieło było skończone. Mieszkanie wyglądało wspaniale. Wypolerowane meble aż lśniły. Na blacie nie było ani jednego okruszka. Z łazienki dobiegała przyjemna woń egzotycznego odświeżacza powietrza. Napawając się swoim zwycięstwem, ku swemu zdziwieniu, dziewczyna poczuła przemożny głód. Zdjęła gumowe rękawice. Jej ręce były białe. Czują, że talk, którym wysypano wnętrze rękawic, oblepił jej palce. Szybko umyła je pod gorącą wodą i wyjęła butelkę wody i pudełeczko z równo okrojoną kanapką. Jadła szybko. Dosyć łapczywie i szybko. Było już po drugiej w nocy, gdy postanowiła się wykąpać. Gdy skończyła, zauważyła, że kawałek sałaty zaklinował się jej między zębami. Pozbyła się go szybko, myśląc wciąż o uciążliwych niedoskonałościach, które jak Syzyf musi znosić ciągle na nowo. Była tak zmęczona, że nie pamiętała w ogóle, jak to się stało, że założyła piżamę i zasnęła.

Obudziła ją rozmowa za oknem. Wyjątkowo głośna i skrzecząca. Zaspana wyobraźnia podsunęła jej pomysł, że to wrona i ropucha gadają sobie pod jej oknem. Uśmiechnęła się złośliwie do tej myśli i już miała się odwrócić na drugi bok, gdy usłyszała, że Paskudy rozmawiają o „nowej lokatorce spod numeru cztery”. Wrona stwierdziła, że widziała ją

zaledwie przelotem, kiedy wносиła walizkę do mieszkania i wydała jej się bardzo ładną, młodą kobietą. Z tych, co się w życiu nie imają prawdziwej roboty. W urażonej dziewczynie krew zawrzała nieco mocniej, niż to jest bezpieczne dla zdrowia. Cała była jednym wielkim uchem.

Teraz skrzeczała Ropucha. Okazała się to być właścicielka wynajmowanego przez kobietę mieszkania. Radośnie przytaknęła koleżance, że ona odniosła dokładnie takie samo wrażenie. Dodała też, że poczuła się nieco nieswojo, gdy zauważyła, że Lokatorka z niejaką odrazą na twarzy lustruje jej salon. Fakt, że dawno nie odkurzała, ale ponoć dziewczyna miała mieć minę, jakby coś tam u niej zdechło.

Tę niepochlebną opowiastkę gadatliwe zwierzęta skwitowały stwierdzeniem, że „z taką paniusią to nie może być lekko”, po czym zeskoczyły z okna. Wrona poleciała do krawca, a Ropucha skoczyła do sklepu za rogiem. Na ulicy zapanowała cisza.

Lokatorka podniosła się na łóżku. Nie musiała wstawać lewą nogą, by wiedzieć, że nie ma najlepszego humoru. Zaspanymi oczyma rozejrzała się po swoim nowym mieszkaniu. Lekki uśmiech pojawił się na jej ładnej buzi. Było idealne. Schludne i poukładane jak ona sama. I nie potrzebowała niczyjej łaski, by tak wyglądało. Głupie baby zupełnie się na niej nie poznały. Wstała i rozsunęła zasłony. Światło wpadło do mieszkania, oślepiając ją na chwilę. Gdy przetarła załzawione oczy, skierowała się w stronę kuchni. Stała jak wryta. Jasne słońce uwydatniło mnóstwo niedoskonałości, które pozostały po wczorajszym sprzątnięciu. Mnóstwo!

Dziewczyna poczuła się winna, że poszła wczoraj spać, a nie zwróciła uwagi na te wszystkie brzydkie smugi i na zielonkawe plamy na szafie. Okropność!

Była głodna, jak co rano, ale porządek był dla niej ważniejszy niż jedzenie. Udowodni tym starym brukwiom, że się mylą! Jest silną i niezależną kobietą! Sama sobie poradzi! Nie jest czysto. Nie ma jedzenia!

Nawet nie ściągnęła piżamy. Włożyła znów rękawice, wzięła ścierkę i polerowała blaty tak długo, aż promienie słońca nie były w stanie wskazać jej ani jednej skazy. Nie czuła rąk, a włosy miała w nieładzie, ale jej kuchnia była nieskazitelna. Poszła więc do szafy. Na rogu skrzydła, do którego wczoraj wpadła, zieleniło się kilka małych plamek. Starła je jednym ruchem ręki. Zadowolona z sukcesu ubrała się, umalowała, założyła szpilki i poszła na śniadanie do modnej kawiarni kilka przecznic dalej. Lubiała się pokazywać w takich miejscach. Uwielbiała czuć dreszcz emocji, gdy słyszała za plecami, że jest piękna, gdy czuła na sobie wzrok zachwyconych mężczyzn i kobiet. Gdy kobiety jej zazdrościły...

Do mieszkania wróciła koło południa. Mimo września zaczynało się robić wyjątkowo gorąco, a ona nie znosiła się pocić. Odłożyła torebkę i ściągnęła buty. Odkładając je do szafy, zauważyła z irytacją, że zielone plamy znów zaczynają pojawiać się na rogu. Wymamrotała, że ma nadzieję, że to nie grzyb. Wzięła ścierkę, nasączyła ją mydłem i wyszorowała róg. Miała jednak na uwadze, że zielone plamy mogą znów naruszyć jej spokój. Na wszelki wypadek postanowiła więc zamówić środek grzybobójczy. Dostawa miała przyjść za trzy dni. Do tego czasu jakoś wytrzyma.

Pod wieczór, gdy chciała już kłaść się spać, zajrzała kontrolnie do szafy. Nie zauważyła jednak nic niepokojącego i pomyślała nawet, że chyba się pospieszyła z tym preparatem.

Tej nocy spała bardzo niespokojnie. Śniło jej się, że Wrona i Ropucha siedzą na krzesłach w jej mieszkaniu i każą jej jeść pleśń przygotowaną na talerzu przed nią. Danie to objawiało się w formie puszystego placka z białymi i brunatnymi plamami na powierzchni. Kiedy przyjrzała mu się bliżej, zobaczyła, jak stado ropuch skacze przez stoliki kawiarniane, krzycząc, że zapraszają ją na grzybobranie. Ona sama znalazła się nagle na parapecie w swoim mieszkaniu z widelcem w dłoni i tym samym talerzem z plackiem z pleśni na kolanach.

W tym momencie zadzwonił budzik w jej telefonie. Niemal od razu poczuła, że zbiera jej się na wymioty. Ledwo zdążyła dobiec do toalety. Po nagłym przypływie gorąca i kwaśności porwały ją drgania. Zimny pot spłynął po jej plecach i biuście. Osunęła się na posadzkę w łazience, w oszołomieniu próbując pozbiierać myśli i znaleźć powód, dla którego miała taką nieprzyjemną pobudkę. Naturalnie jako pierwsze nasunęło się zwyczajne zatrucie pokarmowe. Próbowała więc sobie przypomnieć, co takiego mogła wczoraj zjeść, żeby aż tak jej zaszkodziło. Może szynka w kanapce była nieświeża? Może chleb był spleśniały?

Pleśń!!!

Odruchowo spojrzała w stronę szafy. Powoli przeczołgała się do niej i otworzyła skrzydło. Róg był zupełnie czysty. Przeczesала włosy ręką, karcąc się za popadanie w paranoję. Zupełnie na zimno kazała sobie pójść do apteki po jakiś proszek na mdłości. Wróciła akurat na czas, by znów zwymiotować. Otrząsnąwszy się po kolejnym ataku, podeszła do torebki w poszukiwaniu lekarstwa. Dłuższą chwilę nie mogła go znaleźć. Zamiast tego opuszką palca wymacała coś miękkiego. Gdy spojrzała na rękę, była zielonkawa. W przerażeniu czym prędzej wysypała całą zawartość torebki na ziemię. Cała podszewka była brązowa. Śmierdziała stęchlizną. W kilku miejscach pojawiły się już nawet dziury. Zszokowana kobieta z obrzydzeniem odrzuciła od siebie przedmiot. Pobieгла po worek na

śmieci. Wszystko zapleśniało! Wszystko musiała wyrzucić. Pudełko po lekarstwie, etui na telefon, puderniczkę, drogą szminkę, chusteczki do nosa, nawet portfel.

Zabrudzoną rękę myła pod gorącą wodą dwadzieścia minut. Szorowała ją tak mocno, że spod paznokci wypłynęła krew. By się upewnić, że grzyb nie wdał się dalej, praktycznie zanurzyła dłoń w spirytusie. Gdy ją wyciągnęła, była czerwona, cała pulsowała, palce spuchły, a ponieważ krew nie chciała przestać płynąć, obwiązała rękę bandażem.

Dopiero teraz ochłonęła na tyle, by wyrzucić worek z torebką. Gdy wyszła, na schodach natknęła się na kobietę po pięćdziesiątce. Była przy kości, miała na sobie niebieski fartuch z dederonu z deseniem w drobne, czerwone różyczki i zieloną koszulkę z krótkim rękawem. Czuć było od niej dymem papierosowym i szarym mydłem. Była tak stereotypowym obrazem kury domowej, że dziewczyna prawie nie wierzyła, że naprawdę ją widzi. Kobieta zmierzyła ją wzrokiem i zachrypniętym głosem powiedziała „dzień dobry”. Dziewczyna kiwnęła jej szybko głową i czując lekkie zawstydzenie tym, że tak wybałuszyła oczy na sąsiadkę, odwróciła się do kosza i odeszła.

W drodze powrotnej jedynym, co pozostało po tamtej kobiecie, był zapach papierosów i niedopałek przygnieciony do chodnika. Dziewczyna skrzywiła się. Przystanęła, chcąc go podnieść i wyrzucić. W tym momencie jej wzrok padł na jej buty. Oczywiście miała na sobie szpilki. To były jej ulubione, czerwone z długim noskiem. Na ich bokach wykwitły wcale nie małe zielono-brązowe plamy.

Z jej gardła wydobył się cichy pisk. Zrzuciła je, w panice biegnąc do domu. Wlała gorącą wodę do miski i włożyła do niej stopy. Stęknęła z bólu, czując jakby w kostki wbijały jej się gwoździe. Wzięła pumeks w zdrową rękę i zaczęła pocierać nim pięty. Miała wrażenie, że obrzydliwie cuchną. Tuż przy dużym palcu lewej stopy zauważyła małą niebieskawą plamkę. Zdzierała skórę z tego miejsca z takim zapamiętaniem, że woda w misce zabarwiła się na czerwono, a na wierzch wyszło odmoczone białe mięso. Obrzydzona tym widokiem, znów musiała zwymiotować. Podbiegła boso do łazienki, zostawiając za sobą krwawe plamy. Wiła się w okropnych konwulsjach. Czuła, jak wnętrzności wywracają się w jej brzuchu. Jak pali ją zduszone kaszlem gardło. Jak oczy zachodzą mgłą i prawie wychodzą jej z orbit. Nie mogła już tego wytrzymać. Wszechogarniający ból rósł z każdą minutą. Chcąc wstać, pośliznęła się na własnej krwi i uderzyła głową w umywalkę. Nie straciła przytomności. Wszystko ucichło. Ogłuszona, podniosła się na równe nogi. Odruchowo sięgnęła do głowy. Nic ją nie bolało, ale przecież mocno się uderzyła. Musiał zostać jakiś ślad. Jej palce zebrały z twarzy czarną posokę. Chciała się temu przyjrzeć. Pewnie ma okropnego sińca. Gdy spojrzała w lustro nie było w nim jednak nikogo. Tylko kafelki z tyłu. Zszokowana odsunęła się dalej.

Za plecami coś ją zablokowało. Wpadła w ścianę. Ale tego też nie poczuła. W ogóle nic nie czuła. Wyszła z łazienki. W szafie było jeszcze jedno, większe lustro. Naprzeciw niej zamiast odbicia stanął jednak tylko jakiś rozmazany duch. A może nic tam nie było? Może to światło zachodzącego słońca odbija się od jego tafli? Chciała się do niego zbliżyć. Gdy postąpiła jeden krok, usłyszała plusk. Jej poraniona stopa weszła w kałużę czerwonej wody, która wylała się z miski, gdy pobiegła do łazienki. Zafascynowana dziewczyna obserwowała, jak kałuża miesza się z krwią silnie broczącą z jej stopy. Ten widok w połączeniu z tym, że zupełnie nie czuła bólu, zaintrygował ją do tego stopnia, że przyszedł jej do głowy szalony pomysł. Spokojnie rozejrzała się dookoła. Na blacie kuchennym leżał widelczyk deserowy. Odwinęła bandaż, którym zawiązała poranioną rękę. Wydrapała nim zakrzepłą wokół palców krew. Tak jak się spodziewała, pod ranami ujrzała zielonkawo-brązową maź. Grzyb ewidentnie dostał się już pod skórę. Powolnym i precyzyjnym ruchem zaczęła więc wbijać widelczyk pod paznokcie, aż nic z nich nie zostało. Wyczyściła zabrudzone miejsce i zadowolona odłożyła zakrwawiony sztuciec na komodę obok. Poczula nagłą błogość i spokój. Położyła się na łóżku. Było już całkiem ciemno. Pod sufitem odbywał się teatr światła i cieni. Samochody jeżdżące po drodze obok parkowały, wyjeżdżały, stawały i ruszały, świecąc lampami wprost w okna cichego mieszkania. Wpatrywała się w smugi blasku co raz to przesuujące się nad jej głową. Kiedy ostatni samochód odjechał, czekała chwilę z nadzieją, że pojawi się następny. W końcu znudziło jej się jednak leżenie i zainteresowała się kałużą na swojej podłodze. Z panicznym śmiechem zauważyła, że zamieniła się ona w grubą warstwę pleśni, której wąsy na jej oczach zaczynały obejmować już regał. Przeskoczyła nad grzybem i poczłapała po nóż. Oblała go spirytusem kosmetycznym, ale ten skończył się, nim osiągnęła zadowalający ją efekt. Wyjęła więc z kredensu butelkę wódki, którą trzymała zawsze na wszelki wypadek, gdyby przyszli goście. Oblała nią nóż i przyglądając mu się krytycznie wymruczała z zadowoleniem, że jest silną i niezależną kobietą i ze wszystkim radzi sobie sama. Podeszła potem do pleśni i zaczęła ją powoli zdrapywać z podłogi. Śmierdzący grzyb nie miał szans w walce z odkażonym nożem. Skończywszy swoje dzieło, pogratulowała sobie, że znów przywróciła ład i porządek do swojego życia. Jej mieszkanie znów było idealne. Teraz jeszcze tylko musi siebie doprowadzić do porządku. Wiedziała, że pleśń dostała się już głęboko pod jej skórę. Musi się jej pozbyć. Musi ją oczyścić na dobre. Znów oblała nóż wódką i przyłożyła do rany na nodze. Nie czuła nic poza narastającym powoli zimnem. Co prawda widziała, jak z rosnącego nacięcia wypływa mnóstwo posoki. Cóż, musi żeby odsłonić obrzydliwy grzyb pod spodem. Wreszcie go znalazła. Wygrzebała go starannie, kawałek po kawałku na muślinową

chusteczkę, którą specjalnie do tego przygotowała. Wreszcie była czysta i zadowolona. W jej mieszkaniu panowała doskonałość. Pozbyła się wszystkich niedogodności. Może iść spać. Czuła, że będą jej się śniły piękne rzeczy...

Dwa dni później do mieszkania zapukała jego właścicielka. Przyszedł kurier z zamówionym środkiem przeciw pleśni. Nikt mu nie otwierał, więc zaniósł paczkę do sąsiadki. Obie kobiety, nazwane przez Lokatorkę Wroną i Ropuchą, stanęły przed drzwiami lokalu numer cztery, spod których dochodził przedziwny odór alkoholu, środków czyszczących i wilgoci. Zaniepokojona i zezłoszczona tym zapachem Ropucha wyciągnęła klucze z kieszeni i weszła do środka. Smród buchnął w jej twarz ze zdwojoną siłą, a gdy przetarła załzawione oczy, zobaczyła na łóżku ciało pięknej młodej kobiety. Podcięła sobie żyły na nodze wycinając na niej ogromny, głęboki napis „brud”.



CIASNO, CIAŚNIEJ

Jakub Tyszkowski

If you can hear this whispering, you are dying

Pink Floyd – The Great Gig In The Sky

Żeliwne żebra kaloryfera zostawiają odcisk na nagiej skórze jej pleców. Opiera się potylicą o parapet, nieruchoma, z nogami podkurczonymi do klatki piersiowej, jako jeden z wielu cieni w pokoju, który właśnie pogrążył się w mroku. W zwisającej spod sufitu żarówce widać jeszcze żarzący się, dogasający drut.

Walburg w nocnej odsłonie przykłada swoje usta do na wpół uchylonego okna. Miasto wtłacza do mieszkania powietrze zbite i lepkie niczym kula flegmy, o zapachu będącym mieszanką przerdzewiałych rur wydechowych, wentylatorów z pizzerii i kebabów, niedrożnej kanalizacji i papierosowego dymu. Walburg wydaje dźwięki, a jego mowa to obietnice męża, że to ostatni raz, ostatni raz cię uderzyłem, to płacz niemowlęcia, które leży we własnych odchodach, bo rodzice są napierdoleni, to jęki kurew w filmach porno o niskiej rozdzielczości, to trzaski szuflad w poszukiwaniu gówna, jakim można wypełnić żyły.

Spoza budynku dobiega inny, nowy dźwięk. Dziewczyna robi gwałtowny ruch głową, zwracając się profilem w stronę okna, po czym wstrzymuje oddech. Walburg również milknie, pozwalając ciszy zgęstnieć, wypełnić się napięciem. Noc wpatruje się w twarz dziewczyny, którą ta skrywa pod różową, plastikową maską, wpatruje się w jej szeroko rozwarte powieki, światło latarni ulicznej odbija się refleksem w jej źrenicach. Nieznośna, przeciągająca się chwila zlepia ze sobą spocone włosy na karku, krople wilgoci formują się pod pachą, ściekają wzdłuż ramienia i skapują na podłogę.

Odgłos rozlega się ponownie. Podeszwy czyichś butów kruszą wysuszone liście na ulicy, kroki są nerwowe, szybkie, nieregularne, zatrzymuje się, idzie, zatrzymuje się, idzie, idzie, wraca, stoi, czeka, patrzy, wysuwa język, szepcze, mówi o...

W ciemnym pokoju rozbłyska ekran smartfona. Urządzenie wibruje głośno, dźwięk niesie się echem po panelach na podłodze. Dziewczyna zrywa się z miejsca, przypada do komórki i wciska *Odczytaj wiadomość*, byle jak najszybciej, byle przestało tak głośno wibrować, głupia, głupia ona, zapomniała, za szybko zapomniała, a pamiętać musi o wszystkim.

Zostało mi 10 min gdzie jesteś czekam. Suczko

Sapie z ulgą, widząc, że to wiadomość ze Snapchata. To nie on, to nie on, to nie on. Jej pierś wznosi się i opada, wznosi się i opada, gdy usta tłoczą do płuc suche, gorące powietrze.

Widzę że to odczytujesz pierdolona oszustko kurwo z pizdo niemyto Zostało mi 10 min dawaj kase z powrotem

W opcjach aplikacji wybiera *Zablokuj użytkownika*. Może sobie na to pozwolić. Na chamskich jednostrzałowcach z paysafecardem kupionym za kieszonkowe od rodziców jej nie

zależy. Poza tym na dzisiaj ma dość. Wysła wiadomości do użytkowników VIP, z którymi była umówiona na pokazy, przekładając ich na jutro.

Spoconym ciałem przykleja się do materaca. Przed snem wsłuchuje się w odgłosy, jakie wydaje miasto nocą. Dźwięki kroków zniknęły, a może ich nigdy nie było, nie wie, nie pamięta, rzeczy jej się pierdola, nie pamięta, czy on jest w stanie chodzić tak nerwowo, a powinna, powinna pamiętać o wszystkim.

Odkręca strumień gorącej wody i stoi pod nim tak długo, aż skóra na jej ciele zmienia barwę z bladej na buraczkową. Woda wlewa jej się do uszu, zatyka je, a ona wpada w panikę, bo może w tym momencie ktoś majstruje przy zamku do drzwi, może ktoś wchodzi do mieszkania, ale ona wie, pamięta, że to jest paranoja, to nie jest on, to nie on. Odchyła głowę do tyłu, na boki, próbując odetkać sobie uszy. Obłoki pary wsiąkają w sufit, z którego zwisają płyty białej farby, odkształconej i popękanej przez wilgoć.

Na śniadanie robi tosty, nie może ich przełknąć, nie ma apetytu, suchą kulę wypełniającą jej przełyk popija energetykiem. Przez następną godzinę maluje się, robi sobie paznokcie, na YouTube ogląda filmy o śmiesznych kotach. Nastrój poprawia jej się na tyle, że podejmuje decyzję – o wszystkim opowie policji.

– No to już?

– Tak?

– Czy już mogę opowiadać, co mnie spotkało? Panowie słuchają?

Jest zirytowana ich zachowaniem. Twarze funkcjonariuszy mają tępy wyraz, przypominają interfejs komputera w momencie awarii. Nie pamięta imion mężczyzn, nie pamięta, aby jej się przedstawiali.

Siedzą we troje w pokoju przesłuchań. Pomieszczenie wygląda, jakby po godzinach pracy służyło za parking dla szambiaraki. Ściany mają bladozielony kolor, są oznaczone fioletowymi zaciekami. Podłoga jest pełna piachu, który chrzęści pod podszewkami, w niektórych miejscach są plamy czegoś lepkiego. W powietrzu unosi się nikły odór wymiocin, intensywny zapach środka odkażającego i cebuli. Do picia dostała żółtą wodę w plastikowym kubku.

Metalowe krzesło, na którym siedzi, musi być posypane kolcami. Po prostu ich nie zauważyła, kiedy wchodziła do pomieszczenia. Wierci się, ale najchętniej mówiłaby na stojąco.

– No więc ja... To znaczy... Bo od czego by tu zacząć... A właściwie... To... Bo chodzi o to, że zmuszono mnie do... Zostałam zgwałcona. Wielokrotnie.

Pewna kłódka się otwiera, pewne drzwi się uchylają. Oczy dziewczyny robią się szkliste, bo o wszystkim sobie przypomina, smolista kropka w jej głowie zaczyna rosnąć, pęcznić, aż staje się cieniem, który zasłania świat. Ona chce to wypłuć, wyrzygać, wycisnąć, wykrzyczeć, wypłakać, wypierdolić, wyjechać, na zawsze, żeby w nocy nie myślała o niczym więcej, jak wyłącznie o śnie.

– Byliśmy razem od ośmiu miesięcy. Poznaliśmy się na Snapchacie, takiej aplikacji na telefon. Między nami bywało raz lepiej, raz gorzej, wiadomo, jak to w związku bywa. – Dziewczyna robi chwilę przerwy, drapie się po wewnętrznej stronie dłoni. – Zaczęłam się niepokoić, kiedy wieczorami nie przychodził spać razem ze mną, tylko stawał w przedpokoju, za drzwiami do sypialni i przez szparę pomiędzy drzwiami a framugą obserwował, jak leżę w łóżku. Nie pozwalałam mu kłaść się razem ze mną, bo był pijany, ciągle jebał wódą, ma to po swoim ojcu. Chciałam, żeby cieszył się mną na trzeźwo. To był mój jedyny warunek. Ale on...

Białko oka jednego z policjantów jest przekrwione, łzawi, krople zbierają się w kątku oka razem z ropą, tworząc skrzep. Kiedy dziewczyna mówi o warunku dla chłopaka, powieka funkcjonariusza się zamyka, a jego broda opada na pierś.

Mężczyzna budzi się, omiatając otoczenie nieobecny spojrzeniem.

– Czy pan właśnie... – Dziewczyna z niedowierzaniem rozwiera szeroko oczy. – Czy... No nie wierzę, kurwa. Pan zasnął, kiedy ja opowiadałam swoją historię.

Wydaje się, jakby ciało policjanta znajdowało się w pokoju przesłuchań, ale umysł podróżował po głębinach oceanów. Czarne wory pod oczami funkcjonariusza mają tak mocny odcień, że wyglądają jak namalowane węglem. Jego kolega sprawia wrażenie równie niewyspanego. Mężczyzna zawiesza na dziewczynie wzrok, w jego oczach nie ma żadnego wyrazu. Mija długa chwila, po której policjant zaczyna dukać:

– Pani. Magdo. Proszę. Nam. Wybaczyc. My. Spędziliśmy. Całą. Noc. W. Bardzo. Niewygodnej. Pozycji. Bolą. Nas. Plecy.

Magda nie jest pewna, co ma odpowiedzieć. Nie ma problemu? Coś podać? Jakoś pomóc? Opowiadać dalej? Wobec takiej reakcji ze strony policjantów nie ma już ochoty, aby

wyjawić, co ją spotkało. Chociaż znajduje się w pomieszczeniu z dwoma innymi ludźmi, tak naprawdę czuje się, jakby była w nim sama. Chce stąd wyjść. Napić się. Być pijaną.

– Pani. Magdo. – Funkcjonariusz nie zmienia wyrazu twarzy. Dziewczyna nabiera pewności, że mężczyzna nie mruga. Powieki ma rozwarte na minimalną szerokość, konieczną, by widzieć kontury kształtów w otoczeniu. – My. Musimy. Dłużej. Nie. Wytrzymamy.

Po czym się podnosi i krokiem lunatyka wychodzi z pokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

– Tak? Co musicie?

Mężczyzna wraca, niosąc w dłoni dwie puszkę napoju energetycznego. Otwiera zawleczki, jedną puszkę podaje nieprzytomnemu koledze (Masz. Będzie. Lepiej), do drugiej sam się przysysa i pije duszkiem, stopniowo odchylając głowę. Jego grdyka pracuje niczym tłoki sprawnego silnika, czas wyznaczają dźwięki łapczywego przełykania napoju.

Po opróżnieniu puszkę policjant wydaje westchnienie ulgi. Rozsiada się na krześle, gdzie nabiera sił, bo przecież dopiero co skończył wykonywać wyczerpującą robotę.

Funkcjonariusz sprawia wrażenie bardziej obecnego, niż to miało miejsce, zanim poszedł po picie. Rozgląda się wokół, zatrzymując wzrok na każdym przedmiocie, jakby właśnie zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje.

– Pani Magdo. Pani sprawa jest nam znana.

– Tak?

– Proszę nie zdradzać nikomu więcej miejsca pani zamieszkania. Zaczyna już brakować przestrzeni. Mogą się pojawić problemy z prądem.

– Co takiego?

Policjant mruga intensywnie i dziwi się samemu sobie.

– Przepraszam – szepcze. Mówi coś jeszcze, ale tak cicho, że dziewczyna tego nie słyszy. Jego kolega mruży coś w odpowiedzi. Następnie funkcjonariusz spogląda na zegarek i tym razem wyraźnie zwraca się do przesłuchiwanej:

– Nie mam nic więcej do dodania, pani Magdo.

Łączy się z internetem i ekran smartfona zasypują powiadomienia ze Snapchata. Mateoohhh był umówiony na godzinę temu i może poczekać jeszcze godzinę, mlody25cmwaw chce dostać próbkę, ale szybko, bo właśnie trzyma swojego małego,

patryk6969 wie, gdzie ona mieszka i ją wyrucha, 13666 zna jej profil na Facebooku i o wszystkim napisze jej matce (no, chyba że dostanie filmik z szarpania pizdy), pakus69 jest w niej zakochany i chce się ożenić, ale wcześniej woli wykupić vipka na miesiąc.

Magda zazwyczaj lubi z nimi pisać. Po pierwsze, to zajebiście łatwy sposób na zarobienie kasy na swoje potrzeby – o ile to lubisz. A Magdę podnieca myśl, że ktoś nieznajomy ogląda jej fotki i mu wtedy staje. W dodatku ten ktoś nie może jej mieć fizycznie, dzięki czemu ona czuje się bezpieczna. Zabawa toczy się na jej zasadach. W każdej chwili dziewczyna jest w stanie wyłączyć internet, a mateoohhh, patryk6969, pakus69 staną się jedynie zlepkiem liter, dla osoby postronnej wyjętymi z głowy jakiegoś niewyżytego nastolatka.

Robi tak teraz. Nikomu nie odpisuje. Postanawia wziąć dzień wolnego. Po tym wszystkim, co ją ostatnio spotkało, zasłużyła na popołudnie przeżane w dresach, na pudło lodów czekoladowych i maraton jebanych *Przyjaciół*. I chuj z całą resztą.

Wysiada na przystanku „Dymna”. Przechodzi skrzyżowanie, po czym staje przed bramą do kamienicy na ulicy Czarnoleskiej 15. Wpatruje się w fasadę trzypiętrowego budynku o barwie skóry na ciele dogorywającej staruchy. Dom wydaje się być napęczniałym od gazów truchłym, które w każdej chwili może eksplodować. W oknie na parterze wiatr próbuje wyrwać firanki z okna, w mieszkaniu po sąsiedzku tego okna w ogóle nie ma, z okolic drugiego piętra słychać radio, z którego na całą okolicę ryczy transmisja mszy z Jasnej Góry. Zanim Magda wchodzi do kamienicy, widzi, jak w trójkątym oknie na poddaszu pojawia się i znika sylwetka jakiejś postaci.

Klatka schodowa pachnie moczem i wilgotnym kamieniem. Gdzieś trzaskają drzwi. Skrzypi podłoga. Rozlega się sygnał włączanego Windowsa.

Magda zdaje sobie sprawę, że nie mieszka w Grand Budapest Hotel. Gdyby kamienicę na ulicy Czarnoleskiej 15 zobaczyła jej matka to... pewnie nic by nie zrobiła, ale gdyby budynek ujrzał rodzic bardziej odpowiedzialny i troskliwy, na bank dostałaby zawału ze zgrozy. Dziewczyna była zdesperowana w momencie, kiedy podpisywała z panem Alanem umowę na wynajem. Tamtego dnia chciała znaleźć coś na już, byle jak najdalej od swojego poprzedniego mieszkania.

Magda rusza po schodach do góry, do swojej kawalerki na trzecim piętrze, ale kiedy robi kilka kroków, pokonując pierwsze stopnie, wszystkie odgłosy kamienicy milkną.

Dziewczyna ma wrażenie, że nagle weszła do bańki, wewnątrz której nie rozlegają się dźwięki. Czuje, że ktoś ją obserwuje i nie jest to pojedyncza para oczu. Klatka schodowa wydaje się być bardziej ciemna, ciasna, stroma i wyższa, niż jeszcze minutę temu. Powietrze gęstnieje i marsz po schodach przypomina przeciskanie się przez tramwaj pełen ludzi.

Na pierwszym piętrze Magda coś zauważa. Jest przekonana, że łucznik w drzwiach do mieszkania o numerze cztery przed chwilą się uchylił. W tym momencie, kiedy dziewczyna staje w bezruchu, ktoś po drugiej stronie drzwi się na nią patrzy. Magda podchodzi do mieszkania i przykłada ucho do drewnianej powierzchni drzwi. Czuje spływające po nosie krople potu i dziwi się, jak bardzo jest spocona. Skupia się, próbuje coś usłyszeć. Nie jest tego pewna, ale po drugiej stronie, centymetry od jej ucha, rozlega się szybkie, chorobliwe sapanie. Przez chwilę czyjeś usta wypowiadają szept w niezrozumiałym języku.

Dziewczyna słyszy chrobotanie za swoimi plecami i odwraca się w samą porę, by zauważyć, jak uchyla się łucznik w drzwiach do sąsiedniego mieszkania o numerze trzy. Smugę światła, która przez moment padała z łuczniaka, przysłania czyjś cień.

Tyle Magdzie wystarczy, ma dosyć. Zrywa się do biegu, nie krzyczy, nie może, ma sucho w gardle, ale tupie, każdy jej krok to grzmot, chce słyszeć dźwięki, rozmowy, krzyki, garnki, talerze, komputer, radio, byle tylko zagłuszyć tę pierdoloną ciszę.

Dobiega na trzecie piętro i zamyka za sobą drzwi, przekręca, otwiera, przekręca, otwiera, chce mieć pewność, że drzwi mogą być otwierane, a następnie zamykane, zaś ona jest w stanie je zamknąć, dlatego przekręca i już się śmieje, co za idiotka, parska, opluwa brodę śliną, no debilka, tępą suka, paranoiczka, tak o sobie myśli, ale wie, wie czyja to wina, wie to doskonale.

Trzask otwieranej zawleczonej niesie się echem po wnętrzu kościoła pod wezwaniem świętego Antoniego. Proboszcz Klemens boi się, że zrobił to za głośno. Jak wystrzał z armaty, myśli. Ma wrażenie, że słyszy karcące go szepty. Próbuje wcisnąć się głębiej w siedzenie konfesjonału. Zza drewnianej kraty ma widok na zwieńczenie nawy głównej, na ołtarz, który o tej godzinie, gdy na dworze zmierzcha, przywdziewa kożuch utkany z niejednoznacznych cieni. Kapłan obserwuje gęstniejącą ciemność, jaka wypełnia prezbiterium, i przez chwilę wydaje mu się, że przybita do krzyża postać unosi głowę do góry.

Ale to jest przecież niemożliwe, myśli proboszcz Klemens i bierze łyk napoju energetycznego, tak długi, że opróżnia puszkę do połowy, po czym traci dech w płucach.

Mija chwila, po czym ciszę panującą w kościele przełamuje głos proboszcza:

– Tak. Dobrze. Rozumiem.

Naoliwione drzwi od konfesjonału otwierają się bezszelestnie. Ciężki kapłan przemyka nawą główną, momentami stapiając się z gęstniejącym w świątyni mrokiem. W pewnym momencie znika, po czym zza jakiejś ściany dobiega trzask metalowych przedmiotów, skrzypienie szafy.

Sylwetka proboszcza ukazuje się na progu zakrystii, mężczyzna oburącz ściska łopatę. Jego ciało jest napięte, szczęki są mocno zaciśnięte. Ksiądz wychodzi na tyły kościoła. Jest tam brzozy zagajnik, otoczony ceglanym murem. Pośród drzew są poprowadzone alejki, przy których wyrastają nagrobki. Krzyże są ściśnięte blisko siebie, te najbardziej dotknięte zębem czasu opierają się jeden o drugi.

Proboszcz się nie rusza, przeczesuje cmentarz wzrokiem.

– Który?

Potakuje skinieniem głowy.

Kieruje się ku ceglanemu murowi, jaki otacza świątynny teren. Zwalnia, gdy zauważy, co wyrosło w miejscu, gdzie zazwyczaj była pamiątkowa, marmurowa płyta, poświęcona Siostrze Elżbietkom, które na przestrzeni lat opiekowały się kościołem pod wezwaniem świętego Antoniego w Walburgu. Klemens patrzy się na czarną, nadętą narośl, która rozsadziła od spodu kamienną płytę. Powierzchnia wydęcia przypomina materiał skórzanego balonu wypełniającego piłkę do nogi. Proboszcz nie czuje żadnego zapachu, zmian temperatury, żadnej duchowej obecności. Ściska łopatę pewniej w dłoniach, bierze nią zamach i wbija w czarną narośl.

Klemens nie chce widzieć tego, czemu pomógł się wydostać. Jest przekonany, że gdyby to zobaczył, musiałby przestać być kapłanem, musiałby przestać być człowiekiem, a stać się czymś na podobieństwo robaka, bo tylko będąc istotą pozbawioną świadomości, nie oszalałby z przerażenia. Czuje, że ma do czynienia z czymś ponad nieme boga, w którego wpatruje się zza krat konfesjonału i tyle wiedzy mu wystarcza. Wypuszcza więc łopatę z rąk i odwraca się plecami, zatyka uszy i wypowiada ciąg słów pozbawionych sensu. Postanawia, że będzie mówił dopóty, dopóki nie ochryplnie. A to coś, co wyklulo się z czarnego kokonu, stoi za księdzem i go obserwuje. Nie manifestuje swojej obecności, odchodzi, zostawiając kapłana pośród nagrobków.

Chwilę później kamienicę przy ulicy Czarnoleskiej 15 odwiedza gość. Nikt go nie zauważa, gdy wspina się po fasadzie budynku, a konstrukcja milczy, sprawia wrażenie wymarłej. Przybysz dociera do okna mieszkania na trzecim piętrze, które jest otwarte. Przez chwilę przysłuchuje się odgłosom dobiegającym z kawalerki. Wchodzi do środka w momencie, gdy na laptopie Magdy, na którym leci odcinek serialu, pojawia się powiadomienie o tym, że bateria jest rozładowana. Dziewczyna tego nie zauważa, leży na podłodze w pozycji embrionalnej i śpi. I jeśli do tej pory śniła o niczym, tak teraz w jej głowie zaczynają się pojawiać obrazy.

Rodzi się jako larwa wija w ścierwie istoty, która jest do takiego stopnia zjedzona przez robaki, że nie sposób rozpoznać, czym była za życia. Kawałki mięsa rozkładają się na przestrzeni obejmującej obszar dużego miasta, sięgają na wysokość kilkunastopiętrowego budynku i chociaż wszystkie są martwe, czarne od procesu gnicia, to drgają na podobieństwo fragmentów galarety, jakby ich układ nerwowy wciąż funkcjonował. To ruch wypełniających ich, pożywiających się proteinami miliardów insektów. Z jaj wykluwają się kolejne robaki, młode chrząszcze potrzebują pokarmu, aby rosnąć, zabijają więc starsze osobniki, które zaścielają ziemię. Do dywanu z zasuszonych odwłoków dołączają strzępy nicieni, zielonych trupnic, ścierwic mięsówek, omacnic, gnojek oraz żuków. W końcu i wij, jakim jest ona, zostaje rozszarpany, stając się częścią osobliwego fundamentu, który sięga wyżej niż czubki najbardziej strzelistych drzew w jakimkolwiek lesie.

W kolejnej scenie widzi, że na podstawie z robaków jest wybudowane miasto. Widzi chwiejące się ściany domów, gdy głęboko pod ziemią osuwają się całe hałdy martwych insektów. Widzi psy wyjące nocą do księżyca, zaniepokojone odgłosem chroboczących, zasuszonych odwłoków, jakie rozlegają się pod parkami, chodnikami, ulicami. Widzi place zabaw pełne brązowego, cuchnącego piachu. Widzi krany i prysznice, z których cieknie żółta woda. Widzi cienie kroczące do górującej nad miastem fabryki, wewnątrz której pracują pompy wyciskające z głębin ziemi sok, który następnie jest przelewany do puszek i sprzedawany ludziom w mieście. Widzi płataninę ciasnych korytarzy, którymi poruszają się widma o podkrążonych, zmęczonych oczach. Widzi pomieszczenie, gdzie widma się zbierają, cisną, wchodzi na siebie, gniożą, a wśród nich dostrzega dwóch policjantów, którzy ją niedawno przesłuchiwali. Widzi kamienicę przy ulicy Czarnoleskiej 15, mieszkanie na trzecim piętrze i ją, zwiniętą na podłodze w pozycji embrionalnej. Stoi nad swoim ciałem i je obserwuje. Rozgląda się wokół, po pustym pokoju. Ma wrażenie, że w tej chwili wpatruje się w nią więcej par oczu.

Rury kanalizacyjne w kamienicy przy ulicy Czarnoleskiej 15 są wypełnione czarną zawiesiną. Pani Maria, zajmująca mieszkanie na parterze, po załatwieniu swoich spraw w łazience pociąga za spłuczkę, a wtedy woda wybija ze ścieku i rozlewa się po kafelkach. Smolisty płyn spływa rurami do piwnicy, gdzie znajduje zardzewiałą uszczelkę, przez którą wycieka. Wsiąka w ziemię znajdującą się pod kamienicą, wsiąka w ziemię znajdującą się pod Walburgiem.

Gdzie i tak był od zawsze.

Budzi się w pokoju pogrążonym w półmroku. Niebo nad Walburgiem jest zasnuwane chmurami w kolorze zaschniętych wymiocin. Ciężko jest się zorientować, która jest godzina. Dziewczyna nie potrafi określić, ile spała. Ma poczucie, że dużo śniła, lecz nie pamięta o czym.

Magda próbuje sprawdzić godzinę na laptopie, ale bateria w urządzeniu się wyczerpała. Podłącza ładowarkę do kontaktu, lecz nic się nie dzieje. Idzie z wtyczką do gniazdka za komodą, lecz efekt jest ten sam. Ekran komputera jest czarny. Niepokoi się, że będzie musiała go zanieść do serwisu. Ma nadzieję, że chodzi tylko o naprawę jakiejś części, bo na nowy sprzęt w tym miesiącu jej nie stać.

Kiedy myśli o stanie konta, automatycznie kieruje wzrok w stronę smartfona. Widzi migającą czerwoną kropkę – znak, że i w tym przypadku bateria dogorywa. Pięć procent. Osiem minut działania pod warunkiem, że nie używa internetu. Fatalnie.

Włącza ikonkę Snapchata, chcąc sprawdzić, jak wielu klientów VIP zrezygnowało z bycia jej znajomym. Podejrzewa, że jedna trzecia stałych użytkowników się poobrażała, kolejna jedna trzecia znalazła sobie nową, lepszą madziuszkę_439, a jej pozostaje ta część vipków, która jest najbardziej zdesperowana. Myśli, ile czeka ją pracy – wstawianie ogłoszeń na fora na seksoholików, na czaty online, na stulejarskie grupy na portalach społecznościowych. Wszystko przez to, że sobie chciała, kurwa, odpocząć.

Niedowierza temu, co widzi. Przesuwa kciukiem w dół listy kontaktów. Nikt nie napisał wiadomości. Nikt nie wysłał jej zdjęcia swojego kutasa. Nikt też nie przestał być jej znajomym.

Magda podwija bluzkę i robi zdjęcie swojemu biustonoszowi, podpisując „Ktoś chętny?”. Snapa rozsyła jednocześnie do wszystkich znajomych – zarówno vipków, jak i tych, którzy czekają na ochłapy, gdzie widać kawałek golizny.

Nikt nie odczytuje jej wiadomości. Czeka minutę, dwie, trzy, a bateria informuje ją, że został jeden procent mocy. Od nikogo nie ma żadnej reakcji. Jakby wszyscy po drugiej stronie telefonu, te dziesiątki facetów w różnym wieku, nagle przestało korzystać ze smartfona.

Komórka się rozładowuje, ekran robi się czarny. Źrenice dziewczyny muszą się przystosować do panującego w pokoju półmroku, przez chwilę Magdzie włącza się tryb paniki. Ma przekonanie, że ktoś ją obserwuje. Jest to uczucie pięści, która zaciska się na wnętrznościach. I nie jest to jedna osoba. Magda ma wrażenie, że idzie przez czarny las i słyszy tupanie wielu par butów. Ona jednak nie potrafi nikogo zobaczyć.

To już nie jest paranoja. Spogląda nieufnie na kamerkę od laptopa. Szybkim ruchem zamyka komputer i wsuwa go pod materac. Podobnie robi ze smartfonem, kładąc go ekranem na podłodze. Zamyka okno, opuszcza rolety. Nie pomaga. Jest jeszcze gorzej. Oczy obserwują uważnie jej zachowanie.

Światło. Potrzebuje widzieć rzeczy. Ma dość półmroku. Cienie są niejednoznaczne. Potęgują ból we wnętrznościach. W obecnej sytuacji dziewczyna nie chce zgadywać, czy ręcznik zawieszony na drzwiach jest ręcznikiem, czy też płaszczem, który zostawił jej jakiś gość.

Włącznik światła nie reaguje na jej klikanie. Próbuje w łazience, następnie w przedpokoju. Żadnego efektu.

Więcej pomysłów, więcej pomysłów, myśl, kurwa, myśl.

Przypomina jej się, że nad wieszakiem z kurtkami znajduje się skrzynka z korkami. Kiedyś, po zwarciu w lodówce, wyjebało jej korki w mieszkaniu i pamięta, że jakąś dźwignię trzeba było pociągnąć do góry. Wtedy działało. Teraz widzi, że wszystkie dźwignie są ustawione w identycznej pozycji.

Myśl, myśl, myśl.

– Pan Alan! – podskakuje z radości, kiedy przypomina sobie właściciela mieszkania. Mężczyzna mieszka na poddaszu, piętro wyżej od jej kawalerki. Czy nie jest za wcześnie na złożenie wizyty?

Magda wybiega na klatkę schodową. Wali do drzwi pana Alana, mówiąc piskliwym z przerażenia głosem, że musi jej otworzyć albo ona sama zaraz otworzy. W momencie, gdy dziewczyna łapie za klamkę, czuje, że ktoś ją trzyma z drugiej strony, wtedy drzwi się

otwierają i Magda niemal wpada w objęcia staruszka, który pojawia się na progu. Jest on nie mniej wystraszony niż dziewczyna. Ma na sobie sprane, kolorowe szorty i białą koszulę na ramiączkach. Kępki siwych włosów wystają nastroszone z jego czoła, jakby naelektryzowane wiązką prądu.

– Panie Alanie! – Magda łapie staruszka za kościste ramiona. – Bo światło w moim mieszkaniu... Bo takie dziwne wrażenie, że jak jest ciemno... W sensie chodzi o to, że...

Dziewczyna sinieje się na twarzy, dlatego przerywa mówienie i skupia się na oddychaniu. W tym czasie zaskoczonemu dziaduniowi udaje się sformułować swoje pytanie.

– Ja żem myślał, że to ki diabeł we drzwi łomocce i uciekać żem przez okno chciał. Panie mój Boże, no co się stało, dziecko?

– Ktoś jest... Ktoś był u mnie w mieszkaniu, kiedy spałam. Nie wiem kto. Może włamywacz. Mi się nic nie stało. Ale nie działa prąd. We wszystkich gniazdkach. Proszę zejść, proszę mi pomóc, błagam.

– Co? A to może dla milicji sprawa? Zadzwoić trzeba?

– Tak, panie Alanie, to potem, teraz światło, no proszę zejść ze mną, no dalej, ja już dłużej nie dam rady.

Pan Alan wzrusza ramionami, ale bierze ze sobą śrubokręt i latarkę, po czym schodzi do kawalerki na trzecim piętrze. Magda mówi, żeby zaczął od gniazdka w sypialni, od tego, co jest przy materacu. Chce naładować telefon, mówi.

Staruszek delikatnie wyjmuje obudowę gniazdka, ale oto okazuje się, że nie jest ona połączona z przewodami z prądem. Ze ściany zieje czarna dziura, z której nagle wyłaniają się czyjeś palce i macają zewnętrzną powierzchnię ściany, szukają czegoś w powietrzu, są jak pobudzony pająk, co czuje drgania sieci, lecz nie znajduje muchy. Po chwili więc palce chowają się z powrotem do wnętrza ściany.

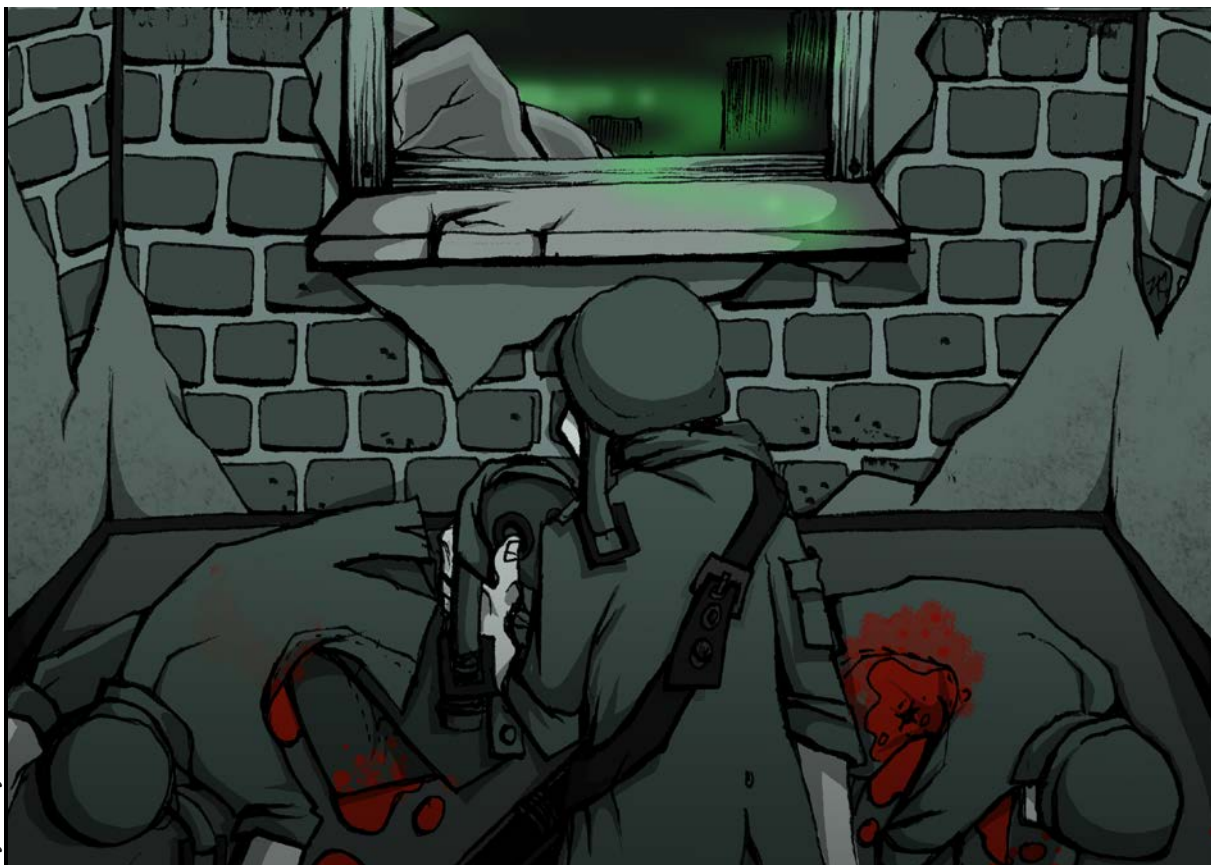
Pan Alan przekłada latarkę z ust do ręki i kieruje snop światła na dziurę, gdzie zniknęła dłoń. Magda nachyla się, by to zobaczyć, ale nie spodziewa się czegokolwiek, nie myśli, nie czuje, umysł świadomy mógłby nie przeżyć tego widoku.

Latarka oświetla wnętrze pomieszczenia, które znajduje się za ścianą sypialni, w której mieszka Magda. W sąsiednim pokoju o czarnych ścianach cisną się dziesiątki splątanych ze sobą ciał, w większości są to mężczyźni, światło latarki wyławia twarze zarówno pryszczatych nastolatków, mężczyzn z obrączkami na palcach, jak i wysuszonych starców. Ich głowy starają się być jak najbliżej dziury, którą odkrył pan Alan. Ich przekrwione, podkrążone oczy wpatrują się w blask bez żadnego wyrazu. Zachowują się bezszelestnie, aczkolwiek ocieranie się ciała o ciało przypomina ledwo słyszalny szept.

Ręka pana Alana zaczyna drżeć, snop światła gwałtownie krąży po pokoju za ścianą. Przez chwilę pada na gardziel wąskiego tunelu, z którego wychodzą kolejne widmowe postacie, pośród których Magda rozpoznaje kobietę, która w kamienicy na Czarnoleskiej 15 zajmuje lokal na parterze. Za nią wyłaniają się z tunelu jej dzieci.

Dziewczyna się cofa. Podchodzi do komody. Odsuwa mebel. Jej ruchy są powolne, mechaniczne. Podeszwą buta uderza o znajdujące się za komodą gniazdko, którego obudowa łatwo odpada. Magda zabiera panu Alanowi latarkę i kieruje snop światła do dziury, którą odkryła. W ciasnej, ciemnej przestrzeni po drugiej stronie ściany tłoczą się kolejne ciała, są to sylwetki policjantów, którzy ją przesłuchiwali, jest tam proboszcz z kościoła pod wezwaniem świętego Antoniego, a pomiędzy nimi wszystkimi Magda dostrzega twarz człowieka, który przez szparę pomiędzy drzwiami a framugą obserwował ją, jak leżała w łóżku.

Dziewczyna ze świstem wciąga powietrze do płuc.



GRUZOWISKO

Jacek Kulpa

I

– Anton! Anton, gdzie jesteś! – Wiktor wrócił na polanę, jednak nie zastał na niej ani swojego towarzysza, ani ogniska, które ten miał rozpalić. Zobaczył tylko ich plecaki pozostawione w takim samym stanie, w jakim je widział ostatnim razem, gdy szedł samotnie w stronę lasu i rzeki. Napełnił manierki tak, jak miał zrobić, w czasie gdy Anton miał rozpalić ogień, by móc się ogrzać oraz zjeść coś na ciepło.

– Anton!

– Antona nie ma – odpowiedziała ciemność. Wiktor odwrócił się w kierunku, z którego dobiegł głos. To jednak nie była ciemność. Stał tam mężczyzna w wieku na oko

sześćdziesięciu lat, twarz miał wyraźnie starą i włosy białe, lecz jego ciało było młodsze, szczupłe i wyprostowane, silne. Jego oczy skierowane były prosto w oczy Wiktora, a ich spojrzenie i skupienie zdradzały nieustępliwy charakter oraz siłę tego mężczyzny, celującego właśnie w Wiktora z karabinu szturmowego. – Nierozważnie jest tak wykrzykiwać, będąc samemu w lesie o tak późnej porze – powiedział mężczyzna. – Jeszcze nierozważniej jest podróżować razem z Rosjaninem.

– To dezterter, on mi pomógł, to nie tak, jakby się mogło wydawać!

– Dosyć! Później będziesz się tłumaczył. Ręce do góry! – Mężczyzna gwizdnął, a na dany sygnał na polanie pojawiło się trzech kolejnych mężczyzn uzbrojonych w te same karabiny, Grot III. Wiktor dobrze znał tę broń, wiele by dał, by teraz móc mieć ją w swych dłoniach. Trzech mężczyzn, w przeciwieństwie do siwego, miało twarze zasłonięte kominiarkami. Chwilę później zasłonięte były także oczy Wiktora, a jego ręce związane za plecami.

Wiktor był co chwilę popychany, nie wiedział, dokąd go prowadzili, nie wiedział też, co mogło się stać z Antonem, podejrzewał jednak najgorsze. Wsłuchiwał się w odgłosy dobiegające do jego uszu, wnioskował, że wciąż znajdowali się w lesie, a to dlatego, że stąpali raz po gałązkach, raz po mchu, a raz pod jego stopą znalazła się szyszka. Próbował odgadnąć, ile osób przemieszcza się w grupie, nie był w stanie tego ocenić, ale postanowił zaryzykować.

– Anton! – krzyknął i zaraz dostał kolbą karabinu w wątrobę. Ból był okropny. Jego jęk zaraz został zagłuszony, gdyż wetknęli mu jakąś szmatę w usta. Mimo bólu Wiktor odetchnął. W momencie gdy został uderzony, usłyszał wpół urwany krzyk Antona: „Wiktor! Och!”. Bólu doświadczyli obaj, jednak obaj mogli poczuć ulgę i uspokoić się.

Marsz trwał jeszcze dobre dwie godziny. Wiktor był wyczerpany. Wcześniej razem z Antonem szli cały dzień, a w drodze byli w sumie już od tygodnia. Po tych dwóch godzinach na szczęście droga dobiegła końca. Mężczyźni wprowadzili Wiktora do niewielkiego pomieszczenia w jakimś budynku. Tam cisnęli go na materac i pozostawili samemu sobie. Materac zajmował niemal całą powierzchnię pokoju, była to więc raczej cela, z której jedyna droga ucieczki prowadziła przez żeliwne drzwi bez klamki. Drzwi były jednak zamknięte i bez znaczenia, ile Wiktor na nie napierał, i tak nie ustępowały. Wiktor ułożył się więc najwygodniej jak mógł na materacu i zasnął niedługo potem.

Pobudka była brutalna. Dwaj mężczyźni poderwali Wiktora i usadowili go na piętach, zdarli mu opaskę z oczu i wyjęli szmatę z ust. Wiktor był oślepiiony i spragniony. W celi po prawej znajdowało się niewielkie okienko zaraz pod sufitem. Bijące stamtąd światło sprawiło,

że ten odwracał się do przeciwległej ściany. Mężczyźni wylali na Wiktora kubek zimnej wody, co pozwoliło mu się rozbudzić i zwilżyć wargi. Teraz mógł się nieco rozejrzeć. W celi stało trzech mężczyzn – dwóch typowych osiłków stało po bokach trzeciego, ten był idealnie łysy, miał na sobie rozpięty płaszcz i w przeciwieństwie do pozostałych porządne buty. Cała trójka ubrana była w proste, ciemnozielone mundury bez żadnych emblematów. Ten łysy był bez wątpienia najważniejszy, on też pierwszy się odezwał.

– Dajcie mu pić. – Jeden z osiłków odchylił nieco twarz Wiktora i poił go przez jakąś minutę, nalewając mu do ust wodę z plastikowej butelki. – Tak więc z kim mamy przyjemność? – Wymawiając to pytanie łysy mężczyzna wyjął z kieszeni płaszcza dokumenty Wiktora. – Hmm, niezbyt podobny. Zadałem pytanie.

– Wiktor Górski.

– Ogólcie go. – Jeden z osiłków złapał go za włosy, drugi natomiast zgolił mu brodę, chwilę potem również włosy. Wiktorowi najbardziej żał było brody. Miał wrażenie, że nigdy wcześniej nie udało mu się zapuścić tak gęstej. – Teraz zdecydowanie lepiej! Widać, że faktycznie mamy do czynienia z Wiktorem Górskim! – Trzej mężczyźni w mundurach uśmiechnęli się do siebie, uśmiechnął się również Wiktor. – Ty jednak nie powinieneś się śmiać, gdyż na tobie ciężą poważne zarzuty. – Tutaj łysy zrobił pauzę, by móc przyjrzeć się reakcji klęczącego przed nim Wiktora, gdy ten jednak nic nie uczynił, kontynuował: – Jesteś oskarżony o kolaborację z okupantem, zostałeś przyłapany na podróży razem z rosyjskim żołnierzem. Czy mógłbyś nam wytłumaczyć, jak do tego doszło?

– Anton jest dezerterem, uciekliśmy razem z farmy z jakiejś wioski koło Mińska Mazowieckiego, on był tam strażnikiem, pomógł mi uciec, ponieważ jego żona jest Polką, mają dwójkę dzieci, przez wojnę zostali rozdzieleni i teraz chciał do niej dotrzeć, dlatego mi pomógł – wyrzucił z siebie szybko Wiktor.

– Czy możesz w jakikolwiek sposób potwierdzić, że jego żona jest Polką i że są rozdzieleni?

– Pokazywał mi zdjęcia! Poza tym mówi trochę po polsku, uwierzyłem mu, bo nie wydaje mi się, żeby kłamał, poza tym to była moja jedyna szansa na ucieczkę!

– Tak, a jaki ty masz cel? Tylko uciec?

– Nie, ja chciałem zaciągnąć się do PJW, byłem żołnierzem, walczyłem w wojnie obronnej, najpierw na pierwszym froncie, a potem w obronie Warszawy, najpierw w batalionie trzydziestym trzecim, a potem w szesnastym. W trakcie pierwszych starć pod Warszawą zostałem ranny i dostałem się do niewoli, rok spędziłem w szpitalu, a potem siedem lat na farmie, od trzech lat strażnikiem tam był Anton, tak się poznaliśmy. – Łysy

mężczyzna zrobił dwa kroki to w jedną, to w drugą stronę, na więcej nie pozwalała mu przestrzeń.

– Nie wątpię w twoje intencje, nie oznacza to jednak, że już niczym nie powinieneś się martwić. Są pewne procedury, będziesz musiał spędzić tutaj jeszcze trochę czasu. Będziemy musieli potwierdzić twoją tożsamość i wersję wydarzeń. Na chwilę obecna jedyną wygodę, jaką mogę ci zagwarantować, to brak więzów, przebywać jednak w dalszym ciągu będziesz musiał w tej celi.

– Dziękuję bardzo, co się stanie z Antonem? – Łysy mężczyzna już wychodził, lecz zatrzymał się na progu, by odpowiedzieć.

– Mam nadzieję, że nie przywiązałeś się zbyt do swojego rosyjskiego przyjaciela. Mam obawy, że stałeś się ofiarą ruskiej agentury, lecz sprawdzimy wszystkie poszlaki, jak zawsze.

Pozostawili Wiktora samemu sobie. Co miało oznaczać to, co powiedział ten łysy? Być może nic, być może chciał go tylko uspokoić. Kim tak właściwie byli ci ludzie? Wiktor podejrzewał, że byli jednostką PJW, jedną z tych podziemnych jednostek na terenie wroga, działających jak typowa partyzantka, musiał więc z nimi współpracować dla własnego dobra.

II

Wiktor, tak jak i trzech pozostałych członków grupy operacyjnej numer trzynaście kompani „Kaśka”, chwiał się na wybojach drogi. Ta niegdyś była gładkim asfaltem, teraz jednak swoim wyglądem przypominała nieco powierzchnię księżyca, z tej bardziej poobijanej strony. Transporter opancerzony z łatwością jednak sunął tą rozrytą drogą na swoich gąsienicach. Jechali w kierunku miasta, czy też raczej w kierunku tego, co z tego miasta zostało. Wiktor siedział przy ekranie z obrazem tego, co znajdowało się po lewej stronie wozu. Właśnie mijali leżącą na poboczu zieloną tablicę, wciąż dało się odczytać przekreśloną nazwę miasta – „Kielce”. Wiktor widział już wiele takich tablic leżących gdzieś przy drodze. Zaraz potem wyminęli się z ciężarówką wiozącą mieszkańców miasta do obozu dla uchodźców. Zobaczył tam kobiety z dziećmi, nie było mężczyzn, nie było choćby starców.

Rosjanie już od dobrego roku wywozili wszystkich mężczyzn, nawet starych, z dala od frontu. Wywozili również młode, bezdzietne kobiety. Chodziło nie tylko o to, by uniknąć ich późniejszego wstąpienia do PJW, ale również o to, by mieć ręce do pracy. Sam Wiktor tego doświadczył, praca była ciężka, Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Litwini, wszyscy znajdujący się pod okupacją ruską pracowali po to, by Rosjanie mogli walczyć. Praca była

potrzebna, więc i ludzie zdolni do niej byli potrzebni. Nie była to może łagowska katorga, ale niewiele do tego brakowało, pracowało się cały czas tak ciężko, że w nocy nikt nawet nie myślał o tym, żeby zamienić z kimś parę słów, wszyscy spali, nikt nie miał czasu, by zajmować się działalnością wywrotową. Wiktor przepracował tak siedem lat i mimo wielu trudów do śmierci przez te siedem lat było mu daleko. Nie była to więc katorżnicza praca o jakiej opowiadano w szkole i jakiej wszyscy się obawiali. Czasy jednak się zmieniają, ale jedno pozostaje niezmiennie – jeżeli jest pokój, to będzie też i wojna.

Ci, którzy uciekli, masowo wstępowali do PJW, czyli do Polskich Jednostek Wyzwoleńczych. Organizacja ta powstała jeszcze w trakcie trwania wojny polsko-rosyjskiej. Założyli ją rozgoryczeni polscy oficerowie blisko współpracujący z USA. Niedługo potem Polska upadła, a PJW utrzymało się w swoim bastionie, w Sudetach. Teraz, dziesięć lat od założenia PJW, Polacy prą do przodu, Rosjanie są w odwrocie. Nikogo w tej chwili nie obchodziło, że PJW jest marionetką w rękę wuja Sama i innych sojuszników, liczyło się tylko to, by odzyskać, co zostało utracone, i wygrać wojnę z Rosją. Zachód zaś cieszył się bardzo, że w jego interesie chciało umierać tak wielu Polaków, wyciągnęli więc łaskawie swoją dłoń do klejącego narodu, dopełniając upodlenia i upokorzenia, mszcząc się jednocześnie za to, że ci maluczcy teraz Polacy wcześniej wywyższali się i próbowali strącić Zachód ze schodów i wokół siebie budować historię. Tak właśnie grali w karty wielcy tego świata i ci mniejsi, którym wydawało się, że są nieco więksi. Nawet nie kartą, a skrawkiem tej karty był Wiktor, który teraz był przepełniony wspomnieniami.

Wiktor myślał o wydarzeniach sprzed niemal dwóch lat. Myślał o Antonie, myślał również o jego żonie i dzieciach. Myślał o tym, bo gdy ujrzał matki ze swym potomstwem ścieśnione na pace ciężarówki, pomyślał sobie: „A jeśli jedna z nich to żona Antona?”. Nie było to możliwe, jednak bolesne wspomnienia uderzyły do jego głowy. Wiktor myślał o tym przez resztę drogi, aż z zadumy wyrwał go okrzyk towarzysza z grupy.

– Wiktor! Nie śpij, wychodzimy! – Wiktor poderwał się i wysiadł z transportera, zrobił to jako ostatni, reszta nie potrzebowała żadnego sygnału, wysiedli, jak tylko transporter się zatrzymał.

Miasto przypominało raczej gruzowisko, jakie znajdowało się niedaleko wioski Wiktora, gdzie wszyscy zwozili gruz po remontach. Było to konsekwencją taktyki obranej przez Rosjan, to jest traktowania wszystkich zabudowań jak twierdzy, nawet samotnej budki stojącej przy przejeździe przez torowisko. Skutki tego dla Polski były tragiczne, wystarczyło tylko spojrzeć, by się o tym przekonać jak zamieniała się w niezdatną do życia pustynię przykrytą warstwą pyłu i kamieni.

Zadaniem grupy trzynastej było wesprzeć jednostki walczące w centrum miasta poprzez otoczenie i zamknięcie stacjonującego tam garnizonu okupantów. Grupa liczyła tylko czterech żołnierzy, to mało, fakt, ale wśród nich znajdował się strzelec wyborowy, a przy niewielkiej liczbie wrogów powinno to być odpowiednią zaporą odcinającą drogę ucieczki. By to jednak uczynić, musieli dotrzeć do odpowiedniego punktu strzeleckiego. Przed Wiktorem i trójką pozostałych były więc niemal trzy kilometry, w takich warunkach oznaczało to niemal dwie godziny drogi.

Przemieszczanie się wśród takich gruzów było ciężkie już samo w sobie, a tutaj dochodziło jeszcze stałe zagrożenie ze strony przeciwnika, który mógł cziąć się za każdą stertą gruzu. Do takiego marszu Wiktor wraz z pozostałymi członkami grupy byli jednak dobrze przygotowani. Od kiedy walczyli razem, czyli od jakiegoś pół roku, stracili tylko jednego żołnierza, Sławka, i wynikało to raczej z błędu dowództwa niż błędów operacyjnych. Tak wysoki poziom umiejętności żołnierzy PJW zawdzięcza swojemu szkoleniu, które polega na ciągłych, trwających rok ćwiczeniach polowych w poligonie. Przez to musiał przejść Wiktor, przez to musieli przejść Mateusz, Piotr, Jacek i Sławek, każdy żołnierz PJW, nie licząc partyzantów współpracujących z PJW, którzy zostali zwerbowani na terenach okupowanych przez Rosjan.

Grupa uwinęła się w godzinę i czterdzieści minut, tyle im zajęło dojście do wyznaczonego obszaru. Minęło jeszcze trochę czasu, nim znaleźli odpowiednią pozycję strzelecką i nim Jacek przygotował stanowisko.

– Dobra, panowie, ja zostaję tutaj z Jackiem i ubezpieczam jego tyłek. Piotr, ty zajmiesz się prawym skrzydłem, ty, Wiktor, lewym. Wszystko jasne?

– Jasne – powiedzieli jednocześnie, po czym rozeszli się każdy w swoją stronę.

Wiktor szedł ulicą, rozpoznał to po dużej ilości spalonych samochodów ustawionych jeden za drugim. Obszedł okolicę i gdy uznał, że nikogo nie ma, poszedł w upatrzone wcześniej miejsce. W zawałonym budynku, najpewniej jakiejś kamienicy, gruz uformował się w taki sposób, że jedna ściana zatrzymała się niemal nieruszona na wysokości prawie pierwszego piętra. W ścianie znajdował się wyłom. Usadawiając się tam, Wiktor powinien mieć widoczność zarówno na ulicę, jak i zrujnowane osiedle znajdujące się przed nią. Gdy wdrapał się na stertę gruzu, na której stała ściana, zobaczył nadpalone ludzkie kości. Nie był w stanie rozpoznać, kim ten człowiek mógł być wcześniej, teraz jednak były to tylko kości. Usadowił się, opierając się o ścianę przy wyłomie niegdyś będącym zapewne oknem, i gdy już ułożył się bezpiecznie, spojrzął w puste oczodoły czaszki, która znajdowała się

naprzeciwko niego. Wpatrując się w nią beznamiętnym wzrokiem, skontaktował się z Mateuszem, dowódcą grupy.

– Tutaj Wiktor. Hasło Q77D. Zgłaszam gotowość do akcji.

– Ok, tutaj wszystko gra, odzywaj się co godzinę, bądź czujny.

Czas mijał, dwie godziny później zrobiło się ciemno. Wiktor starał się jak najrzadziej patrzeć na czaszkę, gdyż ta niepokoiła go. Chwilę po tym, gdy Wiktor rozłączył się z Mateuszem, po niebie rozległ się odgłos nadlatującego samolotu. Wpatrywał się w niebo, nie mógł jednak nic dostrzec, gdyż było już niemal całkowicie ciemno. To czas, by założyć noktowizor. Teraz dało się dostrzec kontur samolotu, leciał dość nisko, a po kształcie Wiktor rozpoznał, że to bombowiec, jeden bombowiec.

Mimo tego, że Rosjanie byli w odwrocie, to wciąż na niebie byli bardzo silni. PJW dysponowały nielicznymi samolotami transportowymi i tylko paroma przestarzałymi myśliwcami, cała walka powietrzna spoczywała więc na barkach NATO, ci jednak nigdy nie reagowali tak szybko jak Rosjanie, ich siły nie były również tak liczne jak ich przeciwników. Zachód nadrabiał te zaległości obroną przeciwlotniczą, a ta robiła wrażenie, dlatego też widok samotnego bombowca mógł być dziwny, chociaż faktycznie była to tylko sterta gruzu, na której nie znajdowało się zbyt dużo ludzi, a obrona przeciwlotnicza była rozlokowana tylko przy linach zaopatrzeniowych, czyli daleko stąd, może więc nie było to wcale takie dziwne? A może Rosjanom również zaczęło brakować samolotów?

Wiktor długo obserwował samolot, który zbliżał się do miasta, jednak tor jego lotu nie znajdował się ponad pozycją grupy trzynastej, nie musiał się więc zbytnio przejmować. Gdy samolot znalazł się bezpośrednio nad miastem, zaczął zrzucić bomby. Zrzucał je pojedynczo i w większych odstępach, musiały to więc być potężne ładunki, gdy jednak pierwsza z nich dotknęła miasta, nic się nie wydarzyło, żadnej eksplozji, nic. Niewybuch? Zaraz potem kolejne bomby zaczęły docierać do celu swej podróży i również nic się nie działo. Wiktor otworzył szeroko oczy ze zdumienia i rzucił się do swojego plecaka, długo szukał, gdyż dawno nie używał tej części wyposażenia, w końcu jednak założył maskę na twarz i odetchnął głęboko.

– Tutaj Mateusz, nakazuję założyć maski gazowe.

– Już założyłem, obserwowałem samolot, masz jakieś wiadomości od dowództwa?

– Nie ma kontaktu, ale wydaje się, że Ruscy porzucili już wszelkie zasady, bądź czujny i relacjonuj na bieżąco. A, i jeszcze jedno, ile masz filtrów?

– Sześć.

– Dobrze, do rana wystarczy, ale będziemy musieli dostać ich więcej, spróbuję skontaktować się z centralą. Bądź czujny.

Broń chemiczna, biologiczna, w skrócie broń zakazana, w czasach, gdy wszyscy mają atomówki i nikt nie odważy się ich użyć, a przecież każdy chce mieć przewagę nad przeciwnikiem i czerpać korzyści z zaskoczenia. Musiano użyć więc jakiejś innej broni, teraz Wiktora martwiło jednak, że nie miał przy sobie kombinezonu ochronnego, ale na pewno do rana mu go dostarczą, wierzył w to, całe szczęście, że w podstawowym wyposażeniu znajdowała się maska.

Czas mijał i nic się nie działo, może więc maska była wystarczającą zaporą, a może te „bomby” to było jeszcze coś innego? Rozglądając się po okolicy i upewniając się, że wszystko jest w takim samym stanie rozpadu jak wcześniej, Wiktor znowu zahaczył myślą o Antona. Później w Katowicach próbował odnaleźć jego rodzinę, tam podobno mieszkali rodzice jego żony, jednak jedyna poszlaka skierowała go do częściowo zburzonego i w całości opuszczonego osiedla, nie znalazł jej, nie znalazł też Antona, nie mógł więc się upewnić, czy to, co od niego usłyszał, było prawdą. Wiktor wierzył mu jednak i tylko chciał potwierdzić swoją wiarę, chciał również odnaleźć swojego przyjaciela i upewnić się, że nic mu się nie stało. Gdy próbował odkryć, co mogło się z nim stać, spotkał się ze ścianą, niczego nie mógł się dowiedzieć.

– Zostawiłeś mnie wtedy.

– Nie, nie zostawiłem cię, po prostu zostaliśmy rozdzieleni. – Wiktor odwrócił się do leżącego na ramieniu naprzeciw niego Antona, na jego twarzy widniał wyrzut.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Co zrobiłem? Przecież nic nie mogłem zrobić, trzymali mnie w celi.

– Mnie też trzymali w celi, ale powiedz szczerze, zapytałeś się o mnie chociaż?

– Oczywiście, że tak! Ale usłyszałem tylko, że jestem oskarżony o zdradę, tłumaczyłem im, że mi pomogłeś, że jesteś dezerterskim i że masz żonę Polkę, do której zmierzasz, zresztą już ci to mówiłem.

– A ja tobie pomogłem...

– Hej, Anton! Już o tym rozmawialiśmy, próbowałem się nawet potem w Katowicach o ciebie dowiedzieć, pytałem w dowództwie PJW, znalazłem adres rodziny twojej żony, ale jej osiedle było opuszczone z powodu bombardowań, nie znalazłem tam nikogo. Wysłałem zapytanie do biura do spraw uchodźców, ale nim zdążyli mi odpowiedzieć, udałem się na szkolenie, a potem pojechałem na front. Zresztą! Oni celowo mnie ignorują, przecież i tak wszystkie wiadomości są przekazywane bezpośrednio do żołnierzy, nawet jak są na froncie!

Raz nawet usłyszałem w biurze, że moja postawa nie podoba się pewnym osobom i wciąż bardzo łatwo można by mnie skazać za kolaborację. A ja przecież chciałem dobrze, przecież chciałem tylko cię odnaleźć.

– Dałeś się zastraszyć, porzuciłeś mnie.

– Błagam...

– Przestań! Wyobraź sobie, co musiała przeżywać moja żona, moje córki! Były zapewne piętnowane z powodu ich nazwiska i imion, a ja nawet nie mogłem stanąć w ich obronie. – Po policzku Antona spłynęła łza. – Spójrz na mnie, prosto w oczy. – Anton podniósł się i przycupnął na jednym kolanie. – Patrzysz na trupa, zdajesz sobie z tego sprawę? Pytam się, czy jesteś tego świadom? – Anton przypatrywał się Wiktorowi, brutalnie wbijając wzrok w jego umysł. – Ten Łysy wydał wyrok, Siwy pociągnął za spust, o tutaj. – Anton otworzył szeroko usta, uniósł głowę i zapalił latarkę, którą skierował na swoje podniebienie. Wiktor lekko się uchylił, by móc się przyjrzeć. Za podniebieniem i za migdałkami była wyrwana dziura, kawał mięsa został oderwany i wypchnięty, popychając ze sobą część mózgu otworem wylatującym z tyłu głowy. Takie szkody poczyniła kula wystrzelona z pistoletu wetkniętego w usta Antona. Wiktor skrzywił się. Anton się zaśmiał. – Ha! Teraz odwracasz wzrok, dokładnie tak, jak odwróciłeś się ode mnie.

– To okrutne. Co ja teraz mogę zrobić?

– Nie wiem, nie zwrócisz mi przecież życia, prawda? Potrafisz zwrócić mi życie? – Anton pytał z przejęciem, tak jakby wierzył w to naprawdę, ale Wiktor dobrze wiedział, że ten się tylko z niego naigrywał.

– Nie, ale mogę odebrać życie twoim oprawcom. – Wiktor wstał i poprawił noktowizor oraz cały ekwipunek. Anton uśmiechnął się i położył się na nowo, tym razem zakładając ręce za głowę.

– Mój przyjacielu, dobrze mi to słyszeć – powiedział cicho, tak cicho, że zeskakujący ze sterty gruzu Wiktor nie mógł tego usłyszeć.

– Halo, tutaj Wiktor. Opuszczam swoją pozycję.

– Halo? Odbiór, podaj hasło.

– Q77D. Powtarzam, opuszczam pozycję.

– Jak to opuszczasz pozycję? W jakim celu? Czy coś się dzieje?

– Nie, wszystko jest w porządku.

– Więc o co chodzi? Kto wydał taki rozkaz? Halo? Odpowiedz do diaska! – Wiktor odłączył łączność. Może nie powinienem był im tego mówić? Szlag, potem wszystko wyjaśnię! – mówił do siebie w myślach.

Przemieszczał się szybko, może nawet za szybko, ale chciał wszystko załatwić jak najszybciej. Muszę pamiętać, że oni też należą do PJW, za to może mnie czekać sąd, nikt nie może się w takim razie o tym dowiedzieć, rozmyślał. Biegł między wrakami samochodów, gdy nagle usłyszał krzyk. Odruchowo położył się na ziemi.

– Wiktor, to ja! Co ty wyprawisz? – To był Siwy, stał przy skraju drogi na skrzyżowaniu znajdującym się dwieście metrów przed Wiktorem.

– A! Przestraszyłeś mnie. – Wiktor wstał i zaczął iść normalnym krokiem do Siwego.
– Posłuchaj, jest sprawa, ale powinniśmy to omówić wszyscy razem – powiedział, gdy już do niego doszedł.

– Jasne, ale czemu się odłączyłeś?

– Mam powody, by podejrzewać, że nas podsłuchują, ale chodźmy. – Wiktor szybko poszedł do znajdującego się nieopodal domu, który jako jedyny na tym gruzowisku miał cztery ściany i stał jako tako. Wbiegł na piętro, a za nim Siwy. Na górze przy schodach stał Łysy i patrzył na Wiktora z niepokojem. Czyżby coś podejrzewał? – myślał Wiktor, ale nie zadawał zbędnych pytań, tylko stawiając stopę na najwyższym stopniu schodów, przystawił lufę grota do wątroby Łysego i wystrzelił, zaraz obrócił się i strzelił trzy razy w Siwego. Obydwaj zwalili się po schodach, Łysy staranował przy okazji Wiktora i na dole wylądowały trzy ciała. Z tych trzech ciał powstał jednak tylko Wiktor, otrzepał się nieco i zaraz przykucnął pod oknem. W pobliżu mógł być ktoś jeszcze, pomyślał. Musiał zachować ostrożność, dlatego rozejrzał się dokładnie po okolicy i gdy upewnił się, że nikogo tam nie ma, ruszył do swojej poprzedniej pozycji.

– Halo, tutaj Wiktor, wracam na swoją pozycję. – Odpowiedział tylko trzask. – Tutaj Wiktor, wracam na swoją pozycję, odbiór! – Nikt nie odpowiadał. O co mogło chodzić? Wiktor był zaniepokojony.

– Halo, tutaj Piotr, hasło Q77D. Czy mnie słyszysz?

– Tak, tutaj Wiktor, co się dzieje?

– Podaj hasło zwrotne! – Przez głos Piotra wyczuć można było grozę.

– DQ7, tutaj Wiktor, co się dzieje? Mateusz nie odbiera, próbowałeś skontaktować się z Jackiem?

– Właśnie w tym celu się z tobą łączę, nikt nie odbiera, a przed chwilą słyszałem strzały, coś tutaj nie gra! – Strzały? Ja nic nie słyszałem, ale możliwe, że coś się przydarzyło naszej grupie w trakcie gdy ja zajmowałem się Łysym i Siwym. Szlag by to! Nie mieli wtedy osłony z lewego skrzydła! Wiktor zdawał sobie sprawę, że zawinił. – Idę do ciebie, jak możesz, wyjdź mi na spotkanie, idę okrężną drogą od wschodu.

Wiktor skierował się tylko nieco na wschód, gdyż i tak nie był już na swojej pozycji, ale o tym Piotr nie musiał wiedzieć. Chwilę potem obaj spotkali się na równoległej drodze do tej, na której wcześniej znajdował się Wiktor.

– Ok, dobrze cię widzieć, na twoim skrzydle wszystko gra?

– Tak, wszystko było w jak najlepszym porządku – odpowiedział Wiktor.

– Dobra, czyli musieli dostać od frontu. Kto wie, może Rusczy też tutaj mają snajperów. Lepiej dodatkowo uważać. – Piotr rozejrzał się nerwowo. – Myślę, że musimy dotrzeć do punktu strzeleckiego, może tylko stracili łączność, musimy się przekonać, chodźmy! – Piotr prowadził Wiktora prosto do punktu strzeleckiego. Po drodze nic nie sprawiało wrażenia jakiegokolwiek zagrożenia, w końcu gdy dotarli usadowili się za kupą gruzu znajdującą się dość blisko budynku, w którym znajdowała się pozycja strzelecka, Piotr i Wiktor dokładnie przejrzeni okolicę noktowizorami, ale w pobliżu nikogo nie było. W budynku na parterze znajdowały się tylko dwa stygnące ciała.

– Dobra, to na pewno nie snajper, bo nie leżeliby na parterze, ktoś tutaj musiał dojść i zaatakować od tyłu, a to oznacza, że któryś z nas jest wartownikiem do dupy. – Piotr wstał i rzucił głośno: – Teraz i tak już nikogo tutaj nie ma. – Wszedł do budynku, a za nim Wiktor. Dwa zakrwawione ciała leżały u podnóża schodów na górę. – Cholera! Jacek nawet nie ma broni! – Piotr kucnął, by przyjrzeć się lepiej. – Ktoś ich musiał zabić z bliska, Jacek ma tak wielką dziurę w brzuchu, jakby dostał z armaty, byli totalnie zaskoczeni. – Piotr wstał, obrócił się i przyjrzał się Wiktorowi, zaraz podniósł broń i wycelował w niego. – Rzuć broń! Natychmiast!

– O co chodzi? – Wiktor uniósł ręce, lecz karabin dalej wisiał u jego tułowia.

– Już ty dobrze wiesz, o co chodzi, spójrz na swój mundur, jest cały we krwi, teraz po zdjęciu noktowizora to widzę, wcześniej ci się upiekło. Rzuć broń!

– Ale to nie tak, ja ich nie zabiłem. – Mundur faktycznie był zakrwawiony, ale to była krew Łysego, nie Jacka, ale jak to wytłumaczyć? Piotr widząc, że Wiktor nie zamierza reagować, postanowił sam odczepić lewą ręką jego karabin. Gdy już odpiął jedno zapięcie, Wiktor pochwycił szybko karabin i wystrzelił w jego brzuch. Piotr przy okazji również wystrzelił, ale trafił Wiktora tylko w lewe udo. Na parterze domu leżały cztery ciała, ale tylko Wiktor się podniósł, oparł się na ramionach i rozejrzał się. Mateusz był martwy, Jacek był martwy, Piotr też był martwy, Wiktor był żywy, teraz był też w pełni świadom. Postrzał w nogę wyrwał go z otępienia, wiedział teraz, że Jacek z Mateuszem znajdują się u podnóża tych samych schodów, co wcześniej Łysy i Siwy.

– Szlag by to! – Wiktor w rozpaczy zdarł maskę i rzucił ją w Piotra, zaraz szerzej otworzył oczy. Z maską było coś nie tak. Pochwycił ją i przyjrzał się jej, była pęknięta, na pewno uderzenie o ciało Piotra nie mogłoby spowodować takiego pęknięcia, to musiała być jakaś wada powstała w trakcie transportu po tych wszystkich gruzach, a Wiktor tego nie zauważył. To by wszystko wyjaśniało. Wiktor poczuł radość, gdyż mógł się wytłumaczyć ze swoich czynów.

Ale czy będzie wysłuchany? Czy może go zignorują, tak jak wtedy, gdy próbował się dowiedzieć o Antona i jego rodzinę?

Wiktor zdjął maskę Piotra i założył na siebie, swoją maskę zaś nałożył Piotrowi, następnie zamienił się z nim karabinami.

– Przepraszam cię, Piotrze. Halo, centrala, tutaj Wiktor, grupa operacyjna numer trzynaście, hasło Q77D. Potrzebuję pomocy medycznej, powtarzam, potrzebuję pomocy medycznej, jestem jedynym ocalałym, powtarzam, jestem jedynym ocalałym!

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRĘPA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA

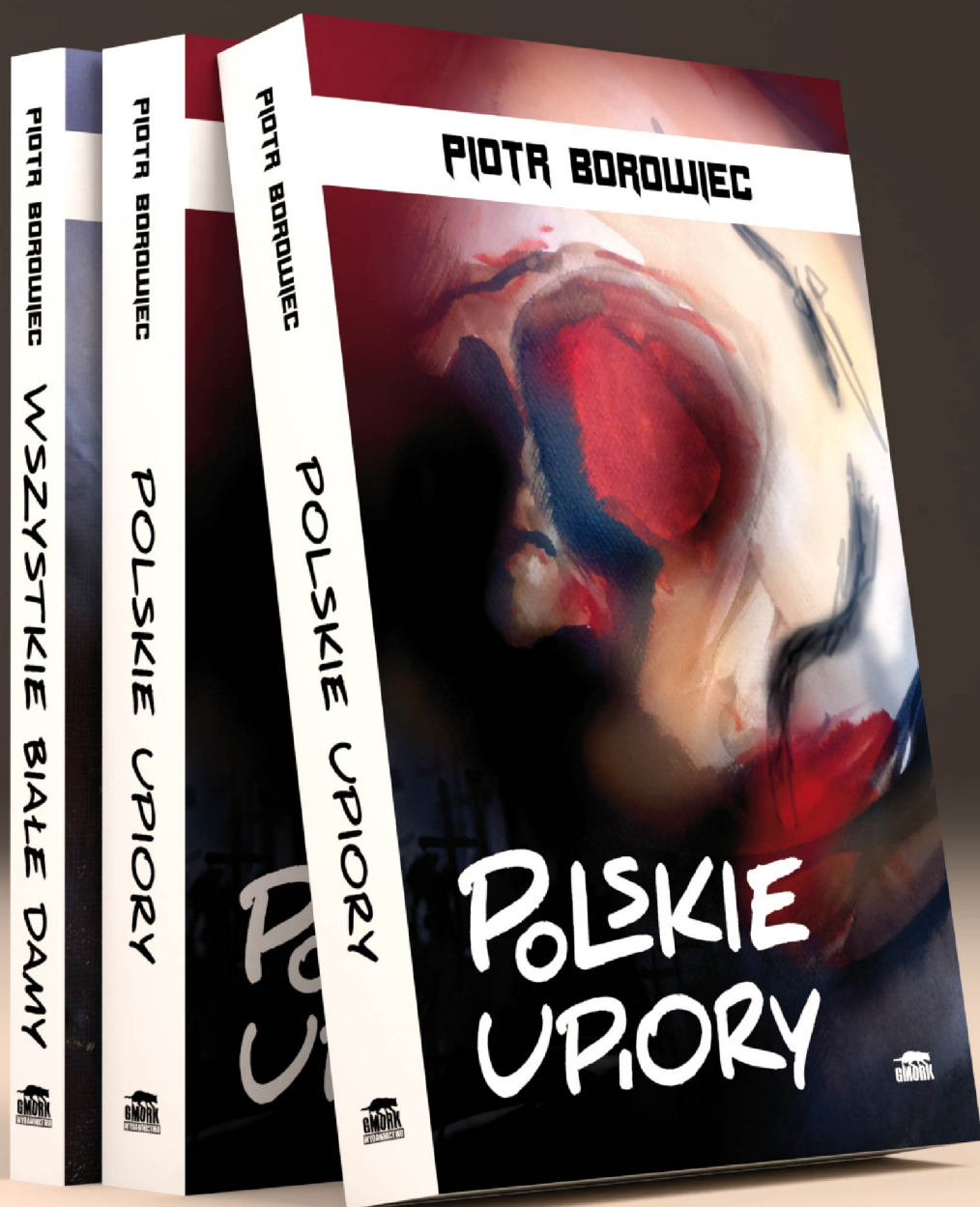


www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIĄŻKA
GRA
KOMIKS

PIOTR BOROWIEC

WIOSNA 2018



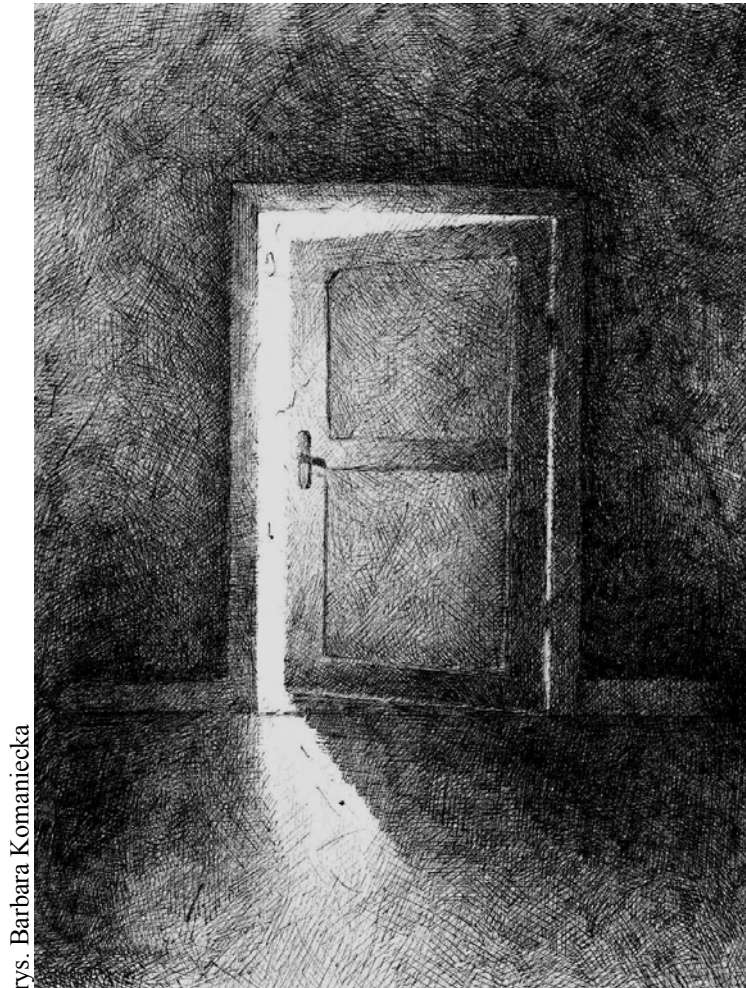
 www.gmork.pl



GROZOWNIA

carpe noctem
www.carpeNoctem.pl





rys. Barbara Komaniecka

MĘŻCZYŻNA W GARNITURZE

Robert Zawadzki

Bardzo często zastanawiałem się, kiedy i w jakich okolicznościach rozpoczęła się kariera artystyczna mojego ojca. Wydarzyło się to zapewne na wiele lat przed moim urodzeniem, ponieważ od kiedy sięgam pamięcią, ojciec wspominał już o niej jako o tworze niemal kompletnym, wymagającym jedynie zwieńczenia. Być może od najmłodszych lat

przejawiał skłonności do tworzenia i kontemplowania sztuki, sam jednak nigdy nie opowiadał o swoim dzieciństwie. Lubilem myśleć, że nasza rodzina od pokoleń obdarzona jest tym artystycznym piętnem, którego znamiona odnajdywałem w sobie, a które najpełniej manifestowało się w osobie ojca.

Fakt, że ojciec nigdy nie pracował inaczej, niż przygotowując i przedstawiając swoją twórczość, nie dziwił mnie zupełnie. Jako uznany artysta mógł skupić się jedynie na performance'ach, które stanowiły jeden z głównych elementów jego sztuki. Nieraz ograniczaliśmy zbędne wydatki, chociaż nasza sytuacja majątkowa nie była zapewne tak dramatyczna, jak mogłoby się wydawać. Działania te wynikały z filozoficzno-mistycznych poglądów mojego ojca, dotyczących zarówno procesów twórczych, jak i właściwego sposobu życia. W tym wypadku chodziło o przygodne splamienia, które wraz z wieloma innymi projekcjami umysłu zaciemniają naszą pierwotną wizję świata, składając się naprawdę z całkowitej projekcji, którą zniewolone umysły odbierają jako realną rzeczywistość. Życie we względnym ubóstwie, bez nadmiaru rozpraszających wygod i dóbr materialnych, pozwalało w pewien sposób uwolnić się od tych trucizn, chociaż oczywiście był to tylko wierzchołek działań mających na celu oczyszczenie naszych umysłów.

Z podobnych powodów często zmienialiśmy nasze miejsce zamieszkania i zawsze zajmowaliśmy lokale o niskim standardzie. Przeprowadzki wymuszały brak przywiązania do otoczenia, oczyszczały myśli ze zbędnego balastu i zakotwiczenia w materialnej powłoce. Z kolei środowisko przedmieścia pozwalało na wyciszenie, a po odpowiednim przygotowaniu dawało możliwość głębszego wnikania w naturę rzeczywistości.

To wszystko tłumaczył mi ojciec, rozważania takiej właśnie materii stanowiły rdzeń jego twórczości. Nigdy samodzielnie nie zagłębiałem się w przepastne odmęty tej zdumiewającej sztuki, byłoby to naruszenie nadrzędnego sacrum, któremu podporządkowane było całe moje istnienie. Jak dało się poznać, mój szanowny rodzic nie pozostawił mnie w całkowitej niewiedzy. Od kiedy dojrzałem na tyle, aby pojąć podstawy, zacząłem uczestniczyć w swego rodzaju kameralnych wykładach. W żadnym jednak wypadku nie polegały one na bezpośrednim objaśnianiu czy przedstawianiu poglądów, formułowaniu dogmatów czy twierdzeń. Podczas tych zadziwiających performance'ów, które za każdym razem wzbudzały we mnie numinotyczną trwogę i wrażenie obcowania z czymś niepojętym, przy pomocy symbolicznych gestów, mantrycznie powtarzanych słów i wielu innych przedziwnych technik, zapoznawałem się w pewien podskórny, wewnętrzny sposób z ogólnymi zarysami i najważniejszymi założeniami jego nadzwyczajnej, metafizycznej filozofii.

Oczywiście wśród naszych sąsiadów, wszelkiej maści robotników, sklepikarzy i handlowców, twórczość mojego ojca nie zdobyła uznania, na które bezsprzecznie zasługiwała. Wynikało to bez wątpienia z prymitywnych, zaciemnionych umysłów, jakie cechują pospólstwo. Uzasadnienie wątpię, aby otaczająca nas zewsząd proletariacka hołota w ogóle miała styczność z jakąkolwiek sztuką czy filozofią ambitniejszą niż kolorowe okładki i złote myśli zawarte w prymitywnych piśmidłach, które regularnie znajdowali na progach swoich mieszkań, kiedy wczesnym rankiem udawali się do pracy. Mogę jedynie domyślać się, jak wielkim poświęceniem była dla mojego ojca egzystencja wśród tego motłochu, wychowanych w rynsztoku ignorantów, których pragnienia życiowe prezentowały się analogicznie do potrzeb hodowlanych świń – jedyne wyznaczniki komfortu stanowiły własny chlew i pełne koryto. Z drugiej strony, być może jego poglądy były już na tyle wyzwolone, czy raczej on sam w swoim postrzeganiu rzeczywistości był na tyle wyzwolony od poglądów i ocen, że ta oczywista z mojego punktu widzenia niedogodność zupełnie go nie dotyczyła.

Wśród najbliższego otoczenia – w kontekście przestrzennym – mój ojciec pozostawał szerzej nieznanym, ale ten stan rzeczy go zadowalał. Z wiadomych powodów nie chciał nawiązywać relacji ze zdegenerowaną społecznością ani stawać się jej częścią. Gnębiona zepsuciem zbiorowość określała go jako samotnika i ekscentryka, ponieważ przyczyn nieustającego odosobnienia dopatrywano się w nim samym, a nie (zgodnie z rzeczywistością) w otaczającej go zgniliznie.

Nieraz zdarzało mu się jednak przyjmować gości, zadziwiające i niezwykle osoby, najczęściej piękne i wytwornie ubrane kobiety, nieco rzadziej mężczyzn o podejrzanej aparycji i niecodziennych manierach, bez wątpienia spokrewnionych z nim ideowo artystów. Te pierwsze odwiedzające zazwyczaj zostawały w mieszkaniu na dłużej i mogłem tylko zgadywać, jakie fantazyjne dyskusje wypełniały długie godziny ich nocnych wizyt. Z pozostałymi mój rodzic najczęściej wybierał się na przechadzki i wracał dopiero nad ranem lub następnego dnia. „Nocne eskapady w kierunku granic poznania”, jak sam je nazywał, niezmiennie zostawiały go wyczeranym ze wszelkiej energii, tak że gdy kładł się o brzasku, nie wstawał już do późnego wieczora.

Było to dla niego charakterystyczne – większość doby przesypiał, ponieważ prawdziwa przejrzystość umysłu i jasność myślenia krystalizowały się w jego głowie dopiero po zmroku. Wtedy właśnie konstituował najśmielsze ze swoich teorii poznania i kreował kolejne, nadzwyczajne koncepty. Jego enklawę stanowiła ciasna pracownia, gdzie w chaosie porzucanych ksiąg i sprzętów przelewał swoje fantazmaty na papier, niczym szalony demiurg stwarzający nowe światy pośród pierwotnego nieładu.

Ja sam wewnątrz gabinetu oglądałem jedynie w dzień, kiedy owoce nocnych objawień zasypiały wraz ze swym oświeconym akolitą, a ich zapis pozostawał skrzętnie ukryty we wnętrzu przepastnych szuflad, na których powierzchowność i tak spoglądałem ze strachem i czcią. Poszanowanie dla pracy ojca rozrastało się we mnie od najmłodszych lat i obcując z nim nawet pośrednio, przez jego osobę, czułem się nadal jak mały chłopiec stojący na progu boskiej tajemnicy. Nigdy więc nie odważyłbym się zakłócić spokoju mojego rodzica. Dzieło stanowiło najwznioślejszy element mojego życia na długo przed dniem, kiedy zostały mi objawione pierwsze związane z nim szczegóły szczegółów.

Dzieło – właśnie tym mianem ojciec określał całokształt swojej twórczości, której każdy aspekt stanowił element zwartej kompozycji, połączonego systemu myśli i praktyk wiodących ku wyzwoleniu z oków złudnej doczesności, zniszczeniu tego całkowicie przysłaniającego prawdę nałożenia.

Kiedy podczas pracy ojciec wołał mnie, abym przyniósł mu kawę, zawsze zostawiałem ją pod drzwiami pracowni i pukałem kilka razy, po czym natychmiast wracałem do swojego pokoju. W kompletnym bezruchu, z uchem przytkniętym do drzwi nasłuchiwałem kroków i dźwięku przekręcanej klamki, po którym w mieszkaniu na powrót zapadała nieprzenikniona cisza, a jedynym dowodem świadczącym o obecności innej niż moja był brak pozostawionego w korytarzu dzbanka. Nie byłem wcale odległy od stwierdzenia, że nocne bytowanie mojego ojca stanowiło swego rodzaju iluzję i w rzeczywistości przez większość czasu nie przebywał on tuż obok mnie, tylko opuszczał swoje ciało i w jakiś pozazmysłowy sposób doświadczał tego, co określał jako „rzeczywistość pierwotnego nieistnienia”.

W tych nieodgadnionych medytacjach, niczym boski atrybut, zawsze towarzyszyła mu kawa. Ten rodzaj, który pijał przy pracy, nie miał jednak nic wspólnego z tymi, które na co dzień widywałem w sklepach. Różnił go wygląd i aromat przywodzący na myśl ziołowe preparaty z apteki. Smak zapewne również był zupełnie odmienny. Podejrzywałem, że faktyczna nazwa specyfiku, który umownie nazywaliśmy kawą, mogła nie mieć swojego odpowiednika w naszym języku, ponieważ był on sprowadzany prawdopodobnie z Dalekiego Wschodu, a w naszych stronach pozostawał szerzej nieznanym. Nigdy nie dowiedziałem się jednak od kogo ani w jakiej cenie ojciec go pozyskuje. Bez względu na koszt, w mieszkaniu zawsze mieliśmy spory zapas „kawy”, a mój rodzic regularnie go uzupełniał, ponieważ podczas jednej pracowitej nocy mógł wypić niezliczoną ilość filiżanek. Z tego powodu

zawsze przygotowywałem napar w dużym dzbanku, mocno stężony miał zupełnie niezachęcający, mętnie czarny kolor. Ojciec zdradził mi kiedyś, że nie przepada za jego smakiem. Pełnił on jednak rolę swoistego katalizatora natchnienia, scalał na powrót myśli rozpierzchnięte po najodleglejszych zakamarkach nieokiełznanego, genialnego umysłu, pozwalał go oczyścić i otworzyć, przygotować do wzniesienia się na wyższy poziom świadomości.

Wiedza, którą mój rodzic czerpał ze swojego wnętrza podczas medytacyjnych aktów samopoznania, nie miała jednak ograniczać się tylko do zrozumienia. Przez Dzieło miało nastąpić jej pełne urzeczywistnienie.

To, że Dzieło ma się ku końcowi, zdawało mi się oczywiste z wielu powodów, nie potrzebowałem więc dosłownej informacji i nie śmiałem o nią prosić.

Punkt wyjścia dla wszystkich późniejszych wydarzeń stanowiła bez wątpienia wizyta Mężczyzny w Garniturze, nie potrafię jednak określić, czy był to jedynie zwiastun nadchodzących zmian, czy czynnik, który wywołał całą lawinę wydarzeń, burząc znany mi porządek.

Człowiek w popielatoszarym uniformie zapukał do naszych drzwi wczesnym popołudniem, kiedy ojciec jeszcze spał. Te kilka silnych uderzeń zawierało w sobie utajoną emanację siły, której pełniej doświadczyłem, widząc w progu jego wysoką, statyczną sylwetkę i słysząc bezbarwny, mechaniczny głos. Mężczyzna wypowiadał każdy wyraz precyzyjnie i dobitnie, a chłód i rzeczowość informacji, które przekazywał, były zupełnie nieludzkie.

Twierdził, że pilnie musi porozmawiać z moim ojcem, a zwyczajne na pozór słowa przeistaczały się w jego ustach niepostrzeżenie, stając się rozkazem niedopuszczającym sprzeciwu. Czując daremność wszelkich forteli, postąpiłem inaczej niż zazwyczaj w takich sytuacjach (często spoczynek ojca próbowali zakłócić urzędnicy, handlowcy, żebracy czy wszelkie inne indywidua o wątpliwej reputacji, przywykłem więc do odprawiania ich bez szczególnych wyjaśnień) i nie zbyłem niecodziennego gościa żadną wyuczoną formułą, lecz niezwłocznie poszedłem zbudzić mojego rodzica.

Kiedy otworzył zaspane oczy i spojrzał na mnie mętnym wzrokiem, z pokorą powiedziałem mu o Mężczyźnie w Garniturze, który koniecznie chce z nim porozmawiać. Coś takiego było w tym określeniu, co w jakiś niemożliwy sposób zawierało w sobie

wszystkie przymioty tej postaci. Ojciec z miejsca zrozumiał, z kim ma do czynienia i natychmiast opuścił łóżko. Pośpiesznie zaczął się ubierać, mnie zaś odprawił, abym zajął się naszym gościem.

Ten czekał w salonie, rozglądając się dookoła, jakby miał zamiar poznać i zapamiętać wszystkie szczegóły pomieszczenia. Co jakiś czas zawieszał wzrok na dłużej w jednym miejscu, lustrując nim uważnie jakiś przedmiot, mebel lub sprzęt.

Kiedy zakończył ten przedziwny rekonesans, usiadł przy stole i położył na nim czarny neseser zamykany na szyfr. Przetawiał kombinację cyfr, otworzył walizkę i wyjął z wnętrza długopis wraz z notesem. Następne minuty spędził, notując w nim coś pośpiesznie, ignorując zupełnie moją osobę.

W dyskretny sposób zajrzałem do sporządzanych przez mężczyznę notatek i ze zdziwieniem zauważyłem, że w rękopisie nie posługuje się żadnym konwencjonalnym alfabetem. Zapiski składały się z linii, przecinających się odcinków, geometrycznych kształtów i figur. Co dziwniejsze, znaki nie rozciągały się od lewej do prawej, zdawały się zaczynać w losowych miejscach kartki a później równie niezrozumiale przemieszczać w górę, dół czy po okręgach, pokrywając z czasem całą stronę kilkoma nachodzącymi na siebie warstwami przecinających się symboli. Wszystko odbywało się niezwykle szybko, miarowe drgania dłoni przywodziły na myśl raczej odpowiednio ustawione i skalibrowane posunięcia jakiegoś mechanizmu niż standardowe ludzkie ruchy towarzyszące czynności pisania.

Kiedy w pomieszczeniu zjawił się mój ojciec, Mężczyzna w Garniturze wcale nie przerwał tej niezwyklej czynności. Skinął jedynie głową znad zeszytu i mruknął coś pod nosem, cały czas zapełniając kolejne strony. Ojciec usiadł obok niego z ponurem wyrazem twarzy, a mnie zdziwiło to uległe podporządkowanie, które wywnioskowałem z jego pośpiesznych ruchów. Pierwszy raz widziałem, jak mój rodzic reaguje w ten sposób na czyjąś obecność. Niestety nim rozpoczęła się ich rozmowa, zostałem odesłany do pokoju.

Spędziłem tam długie godziny, wsłuchując się w głosy i dźwięki dobiegające z kuchni i rozmyślając nad niezwyklej wizytą, jej powodem i celem. Przed oczami cały czas miałem nieruchomą, milczącą sylwetkę Mężczyzny w Garniturze i precyzyjne ruchy jego ręki mechanicznie zapełniającej kolejne strony notatnika enigmatycznymi symbolami o nieodgadnionym znaczeniu. Było w tej czynności coś niepokojącego, jakaś subtelna nienaturalność, którą odczuwałem, ale nie potrafiłem określić.

W końcu usłyszałem kroki i trzask zamykanych drzwi wejściowych, a następnie kolejnych, prowadzących do gabinetu ojca. Tamtego dnia nie wyszedł już ze swojej pracowni i nie zawołał mnie nawet po to, abym przyniósł mu kawę.

Długo nie mogłem zasnąć, a sny miałem niezwykle i niepokojące. Spośród niewyraźnych urywków wyłaniał się jeden spójniejszy i klarowniejszy. Była w nim statyczna postać pochylona nad stołem, manekin w szarym garniturze. Wyglądał na kukłę, martwy przedmiot niezdolny do ruchu, ale jedna z jego rąk nieustannie drgała. Wydawała się coś pisać, na stole nie leżała jednak kartka, a poruszająca się dłoń nie trzymała długopisu. Kompulsywne ruchy były wyłącznie pustym rytuałem, nie było żadnej treści, którą miały przekazać, żadnego zamysłu w mechanicznych drganiach. Całej czynności towarzyszyła nieprzejednana cisza, nienaturalna i paraliżująca. Spojrzałem na twarz manekina i poczułem dreszcz przeszywający całe moje ciało. Patrzyło na mnie zastygłe w grymasie bólu oblicze ojca.

Po przebudzeniu poczułem się lepiej. Opuściły mnie nocne niepokoje, a rano wydawał się zupełnie zwyczajny. Wspomnienia dziwnych wydarzeń dnia poprzedniego zlały się w jedno z niejasnymi snami, wspólnie też wyblakły rozmyte blaskiem poranka i przytłumione codziennymi obowiązkami.

Tym, co nie przystawało do codzienności, było zachowanie mojego rodzica. Tamtego dnia nie zamienił ze mną nawet słowa. O jego obecności świadczyły jednak ciche odgłosy, które wczesnym popołudniem zaczęły dochodzić z pracowni. Miało to miejsce nieco wcześniej niż zwykle, prawdopodobnie zasnął tamtego dnia w gabinecie i po obudzeniu od razu wziął się do pracy. Rozumiałem to, ale brak jakiegokolwiek kontaktu z jego strony, nawet zwyczajnego wołania o kawę, wydał mi się niepokojący.

Niepokój ten wzmógł się następnego dnia. Po kolejnej nieprzespanej nocy obudziłem się później niż zwykle. Było przed dwunastą, postanowiłem więc bez zwłoki zająć się domowymi obowiązkami. Zmierzałem właśnie do kuchni, kiedy coś usłyszałem. Kierowany przecuciem podszedłem do drzwi pracowni i zatrzymałem się, nasłuchując. Zgodnie z moimi przypuszczeniami z gabinetu dochodziły odgłosy wytężonej pracy: wertowanie stron, skrobanie długopisem o papier, przestawianie przedmiotów i otwieranie szafek. Było to co najmniej niecodziennie, ponieważ mój ojciec zwykle spał o tej godzinie, a pisanie szczególnie przynależało do czynności wykonywanych przez niego po zmroku. Pewnie przymknąłbym na to oko, gdyby nie szczegół, który odkryłem po chwili. Przysłuchiwałem się dźwiękom przez

dłuższy czas i powoli zaczynałem odkrywać w nich pewną regularność. To nie były zwyczajne odgłosy towarzyszące czynnościom, tylko regularne, powtarzalne sekwencje. Każdy pojedynczy odgłos miał swoje miejsce w tym bezbłędnym ciągu, wszystko odbywało się według określonej kolejności w równych odstępach czasu. Ta mechaniczna precyzyjność przywiodła mi na myśl Mężczyznę w Garniturze i to skojarzenie przeważyło szalę.

Nieśmiało zapukałem do drzwi. Odpowiedział mi jedynie coraz wyraźniejsze odgłosy szeleszczących kartek i długopisu skrobiącego nerwowo po papierze, składające się na rytm mechanicznej melodii. Wtedy po raz kolejny wzdrygnąłem się, przypominając sobie przebieg wizyty Mężczyzny w Garniturze, jego nieruchomą postać i rękę, spod której wychodziły miarowo kolejne linijki niezrozumiałego tekstu.

Nie odważyłem się bez pozwolenia wejść do gabinetu. Nawet tak skrajna sytuacja nie usprawiedliwiała bezpośredniego łamania zasad panujących w naszym domu. Liczyłem na to, że ojciec w końcu opuści pracownię i odpowie na wszystkie dręczące mnie pytania. Tak się jednak nie stało.

Przez całe popołudnie byłem rozdrażniony, próbowałem zająć się codziennymi obowiązkami, ale nie przynosiło to oczekiwanych efektów, szybko więc zrezygnowałem i pogrążyłem się w rozmyślaniach.

Wszystko zaczęło się od niezwyklej wizyty Mężczyzny w Garniturze i bezsprzecznie było z nią związane, nie wiedziałem jednak, czy to, co odbieram jako przyczynę i skutek, nie jest jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Czy mój ojciec spotkał Mężczyznę już wcześniej? Jeśli nie, to z jakiegoś powodu musiał dokładnie wiedzieć, z kim ma do czynienia. Czy wizyta i wizytujący mieli coś wspólnego z Dziełem? Byli mu przychylni, zaangażowani, a może wręcz przeciwnie? Z czasem utwierdziłem się w przekonaniu, że cokolwiek się dzieje, musi być w jakiś sposób spowodowane działalnością mojego ojca. Moje domniemania potwierdziły się, chociaż w zupełnie inny sposób, niż przypuszczałem.

Kolejne dni upływały według tego samego schematu: niezależnie od godziny z pracowni wciąż dochodziły odgłosy wytężonej pracy (lub jej imitacji), tworzące zwartą kompozycję powtarzalnych dźwięków. Z początku próbowałem doszukiwać się w nich wiadomości, zapisywałem graficznie zasłyszane ciągi i kombinacje. „Melodia”, jeśli mogę ją tak nazwać, była regularna i powtarzalna, ale przy tym niesłychanie zmienna i chaotyczna.

Dłuższe przysłuchiwanie się jej dokonywało spustoszenia w mojej głowie, dlatego szybko z tego zrezygnowałem.

Ojciec wciąż nie próbował porozumieć się ze mną ani nie opuszczał gabinetu. Kolejne, coraz śmielsze próby nawiązania kontaktu, których się podejmowałem, odnosiły to samo fiasko i sprowadzały na mnie coraz większą frustrację. Jej apogeum spowodowało wybuch, w którym dałem upust nagromadzonemu w mojej głowie lękom i niepokojom.

Krażyłem wokół pokoju ojca, krzycząc i uderzając w ściany, kopiąc drzwi i uzewnętrzniając wszystkie negatywne emocje w formie litanii błuzgów i wyzwisk. Z czasem moje dłonie pokryła krew sącząca się z otarć i zadrapań, ale nie czułem nawet bólu z tym związanego. Kolejne uderzenia rękoma o framugę pozostawiały krwiste ślady, a zdarta warstwa skóry odsłaniała coraz więcej żywego mięsa. Bezsilna furia przysłoniła wszystkie moje zmysły i nawet jeśli doczekałbym się odpowiedzi, w tamtym momencie na pewno by do mnie nie dotarła. W finale tej rozpaczki uderzałem pięściami o ścianę z taką siłą, że jej zewnętrzna warstwa zaczęła się kruszyć, a w ślad za nią rozpadały się miażdżone kości moich dłoni.

W końcu opadłem wycieńczony na podłogę, moje gardło nie było już zdolne do dalszego artykułowania jakichkolwiek dźwięków, ręce drgały spazmatycznie, a całe ciało dygotało i skręcało się w bolesnych konwulsjach. Skuliłem się pod drzwiami, samymi ruchami warg odmawiając niemą modlitwę do bogów, którzy musieli być tak samo bezsilni i okaleczeni jak ja. Zapadając w sen, słyszałem szyderczy szelest kartek i wtórujące mu, bezwzględne skrobanie długopisu o papier. Nawet kiedy cały świat zniknął już w czarnej pustce, one towarzyszyły mi nadal.

Odczułem zmianę natychmiast po przebudzeniu. Choć całe moje ciało pulsowało bólem, umysł wydawał się czysty, wyzwolony. Nie widziałem, czy stanowiło to skutek mojego uzewnętrznienia, czy może następstwo niezwykłych rzeczy, które ujrzałem w snach, a które teraz osuwały się na rubież mej podświadomości, pozostawiając po sobie poczucie zrozumienia i ulgi.

Wstałem, krzywiąc się, i bez strachu przekręciłem klamkę.

Sanktuarium mojego ojca przywitało mnie błogą ciszą. W gabinecie panował całkowity porządek, żadnych wałających się papierów czy pozostawionych w nieładzie przedmiotów, jedynie sterylny porządek. Nie zasmuciłem się, wiedziałem, że to właśnie zostanę w pracowni. Brak śladów działalności mojego ojca nie był przypadkowy, stanowił inaugurację nowego rozdziału w moim życiu. Cisza i pustka ozdabiały moją inicjację

właściwiej niż najświetniejsze dekoracje. Rozsiadłem się w fotelu, który teraz należał do mnie, i czekałem.

Następnego dnia zjawił się Mężczyzna w Garniturze, a wraz z nim kilka innych osób w uniformach. Wiele wysiłku wymagało ode mnie, aby nie dać im odczuć mojej wyższości teraz, kiedy już wszystko rozumiałem. Z bólem wspominałem ojca, który dla dobra Dzieła zmuszony był do niedawna do tego samego. Mimo to jego przykład umacniał mnie. Niewzruszenie odpowiadałem na niekończące się pytania głosem zagubionego dziecka, a twarze moich rozmówców ukazywały smutek, który zapewne każdy prócz mnie uznałby za autentyczny. Ja jednak poznałem prawdę i ich iluzoryczne współczucie budziło moją najgłębszą pogardę.

Od osób przesłuchujących mnie w kolejnych dniach usłyszałem, że chociaż jestem nadzwyczaj inteligentny (czego przejawy i tak w znaczny sposób umniejszałem w rozmowie) to trzy miesiące dzielące mnie od uzyskania pełnoletności muszę spędzić w ośrodku. Nie oponowałem, chociaż znałem ich prawdziwe motywy, które znacznie przekraczały zwyczajną troskę o moje dobro, którą się zasłaniali. Chcieli mieć mnie na oku, wy badać, jak wiele wiem o Dziele i czy zamierzam je kontynuować. W kolejnych rozmowach z ludźmi podającymi się za terapeutów musiałem pomijać wiele szczegółów z życia mojego ojca, byłem wypytywany o jego zachowanie i stosunek do mnie. Za każdym razem odpowiadałem w ten sposób, aby ujrzeć delikatny błysk zadowolenia na twarzy starannie ukrytej pod maską profesjonalizmu. Bez mrugnięcia okiem przytakiwałem wszystkim kłamstwom, nawet wtedy, kiedy oznajmiono mi, że mój ojciec odebrał sobie życie kilka tygodni temu, co zakrawało na oczywisty absurd. Wizyta Mężczyzny miała przecież miejsce zaledwie przed kilkoma dniami.

Rola ofiary w moim wykonaniu okazała się najwyraźniej wystarczająco przekonujący. W końcu stwierdzono, że nic mi nie dolega i po skończeniu osiemnastu lat odzyskałem wolność. Czuję chłód przenikający całe moje ciało, kiedy zapuszczam się w otchłań domysłów i dywaguję na temat tego, co stałoby się ze mną, gdyby moi oprawcy wykazali się nieco większą przenikliwością. Z pewnością nie pozwoliliby, aby szczegół tak nieistotny jak moja egzystencja stanął im na drodze do kompletnej anihilacji Dzieła i wszelkich jego oddziaływań.

Kiedy po wyjściu któregoś z nich zostawałem sam w pokoju, natychmiast podbiegałem do drzwi i wsłuchiwałem się w odgłosy dochodzące z korytarza. Często kamufłowali się fałszywie radosną wymianą zdań, prozaicznymi rozmowami i płytkimi konwersacjami o codzienności. Czasem jednak, kiedy nie byli dostatecznie ostrożni, udawało

mi się uchwycić dźwięki, które starali się ukryć, a które były mi tak dobrze znane – miarowe, mechaniczne skrobanie długopisu i szelest przekładanych kartek.

Nawet teraz zdarzają się niezapowiedziane wizyty. Pod pozorem propozycji pracy i pomocy rozglądają się po pomieszczeniach, zadają pytania, węszą. Bezskutecznie.

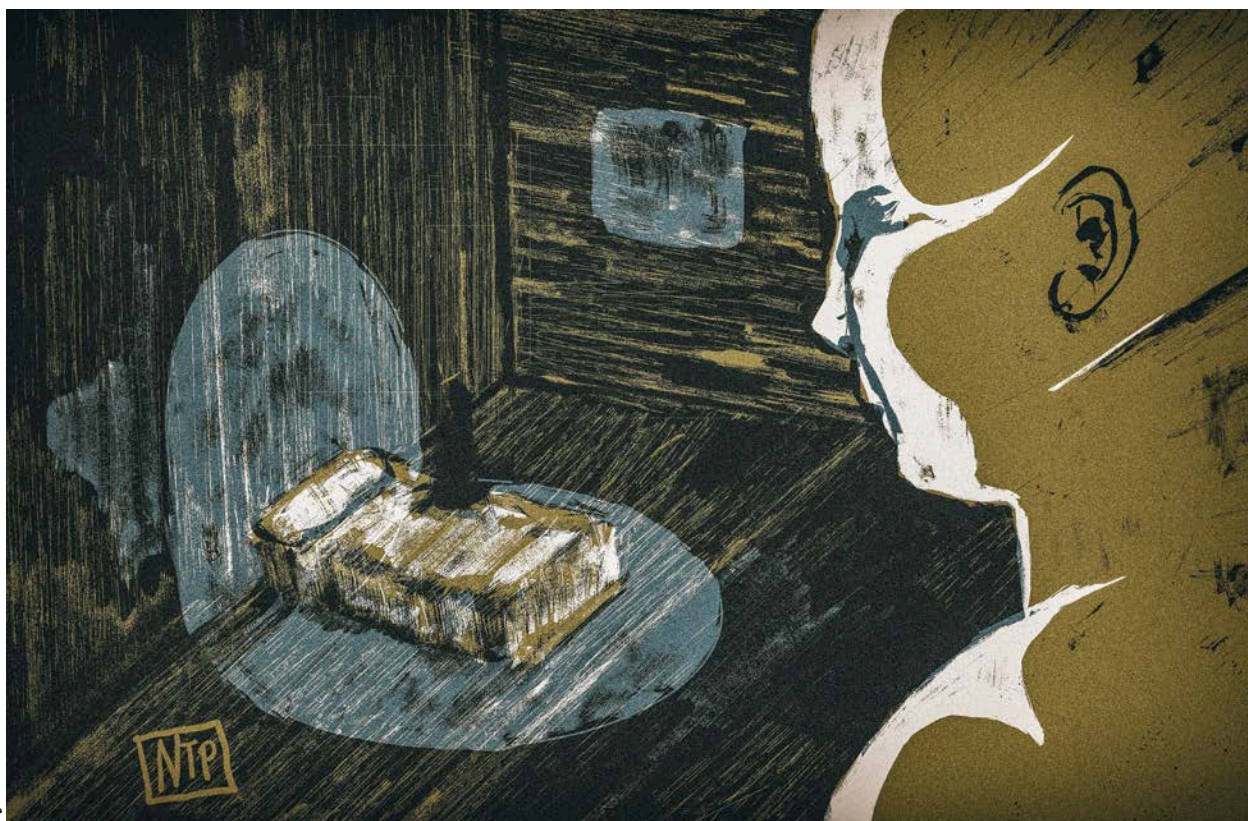
Ja natomiast wprowadziłem się z powrotem do dawnego mieszkania. Gabinet umeblowałem tak jak kiedyś i te słowa spisuję już, siedząc w tym samym miejscu, w którym przez ostatnie lata mój ojciec pracował nad Dziełem. Jego geniusz nadal jest dla mnie niepojęty, chociaż stałem się dla niego swego rodzaju nosicielem. Posiadam wiedzę, chociaż jej pochodzenie zapewne już nigdy nie zostanie mi wyjaśnione.

Tamtego dnia, gdy doznałem kompletnego załamania, a następnie, tłumiąc ból i rozpacz, pogrzyżłem się w otchłani niebytu, cała wiedza mojego ojca dotycząca Dzieła zagnieździła się w moim umyśle, który przez kryzys został pozbawiony wszelkich naturalnych blokad i barier. Kiedy osunąłem się nieprzytomny, wtłoczył do niej to, nad czym sam pracował od tak dawna, a czego próbowano go pozbawić teraz, kiedy znajdował się już tak blisko. Wiedział, że Dzieło może ocaleć tylko w ten sposób. Od początku podejrzewał, że może do tego dojść i był przygotowany.

Teraz wszystko, co się wydarzyło, jest już dla mnie całkowicie zrozumiałe, tak jak dla niego zawsze było. Strzępki rozpierzchniętej wiedzy połączyły się w całość, niejasne praktyki i rytuały nabrały sensu. Wkroczyłem na ścieżkę ojca.

Sypiam w dzień, a nocą, kiedy wszystko staje się najwyraźniejsze, pracuję nad Dziełem. Być może już niedługo dokończę to, nad czym całe życie pracował mój ojciec, a przed nim zapewne inni. Jednak dopiero ja przedstawię Dzieło światu i ludzie w końcu pojmą to, co od zawsze przedstawiało się dla nich jako niepojęte. Nie oczekuję sławy ani uznania. Wiem, że nie zostanę przyjęty życzliwie przez te masy zwierzętopodobnych ignorantów. Mam bowiem do zaoferowania jedynie prawdę o nich samych, a prawda jest ostatnim, czego pragną.

Mimo wszystko nie zaprzątam sobie tym głowy, nie próbuję też dociec przyczyn geniuszu, który teraz stał się moim udziałem. Być może ojciec również otrzymał go w darze, nieświadomy jego pochodzenia. Najważniejsze, że Dzieło jest niemal skończone. Postanowiłem jednak przyspieszyć pracę. Nie śpię już i nie wychodzę z pracowni. Ten pośpiech nie wynika niestety z moich własnych pobudek. Przed kilkoma dniami miałem wizytę nieoczekiwanego gościa. Donośne pukanie do drzwi zbudziło mnie ze snu, a gdy przekręciłem klamkę, w progu ukazała mi się potężna i władcza postać Mężczyzny w Garniturze.



NIEPRAWDZIWI

Grzegorz Wielgus

– Trzy ofiary. Trzy ofiary brutalnie zamordowane w biały dzień. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, nikt niczego nie pamięta. Teraz będą już cztery – powiedział do siebie detektyw Speicher, wchodząc na teren walcowni stali.

Nawet nie spojrzał na umieszczoną ponad bramą nazwę. Wiedział, że wkrótce dołączy ona do długiej listy miejsc, adresów, telefonów oraz imion związanych ze sprawą Rzeźnika. Biała tablica zawieszona na ścianie komisariatu śniła mu się noc w noc z potworną dokładnością. Widział na niej wszystkie detale, gęsto zapisane fiszki, fotografie potwornie zmasakrowanych zwłok i czarne linie flamastra, niczym pajęczyna zbiegające się wokół pustego okręgu pośrodku tablicy.

Speicher nigdy nie sądził, iż dołączy do grona tych policjantów, którzy nie widzą

świata poza rozwiązaniem tej jednej jedynej sprawy. Słyszał o nich, o odludkach śpiących po cztery godziny na dobę, o ponurych, napędzanych kawą i goryczą glinach, przesiadujących w ciemnościach ponad aktami, ale nie wierzył, że jego też to dopadnie; że wejdzie na zdradliwą równię pochyłą i wpadnie wprost w szpony obsesji. Speicher nie potrafił sobie przypomnieć nawet, kiedy przekroczył granicę między gorliwością a manią. Kiedy zamienił ścianę salonu w mapę dowodów z pewnością było już za późno. Dwa tygodnie później Alexa wyprowadziła się, zabierając dzieci.

Pośrodku zalanego słońcem parkingu stał detektyw Kozlosky, drapiąc się długopisem po końcówce piegowatego nosa.

– To on, prawda? – spytał bez ogródek Speicher. Zaciśnięte usta kolegi, jego zmarszczone brwi oraz lekko przymrużone powieki mówiły wszystko. – Kogo tym razem dopadł?

– Denatka to Ilina Voynichova – odparł Kozlosky z westchnieniem. – Rosyjska podróżniczka i filantropka. Widziałem ją w telewizji, kiedy udzielała wywiadu...

– Ta, wiem. Pamiętam. Odnalazła jakiś stary statek czy coś podobnego – przerwał mu Speicher.

– Galeon. Prawdziwy piracki galeon, a nie żaden tam statek – zaprotestował Kozlosky.

– Wszystko jedno. – Detektyw spojrzał ku budynkowi walcowni. – Co wiemy?

– Ilina biegła wzdłuż ogrodzenia, jak zresztą każdego dnia. Sprawca ją napadł, zaciągnął pod tamte kontenery... – Policjant skrzywił się i umilkł na moment. – Po czym zatłukł tępy narzędziem. Najprawdopodobniej tym samym, którym zakatował inne ofiary. Zginęła przed dwoma godzinami. Znalazł ją jeden ze sprzątaczy w czasie przerwy na papierosa.

– Ja pierdolę. Tak po prostu, o dziewiątej rano? Nikt tego nie widział, żaden paparazzi czy inna gnida? – Speicher pokręcił głową, po czym skierował wzrok na ulicę po drugiej stronie ogrodzenia. – Ruch niby mały, ale jak, do diabła, wniósł ją tutaj? Co z kamerami walcowni?

– Atrapy – powiedział Kozlosky z kwaśnym wyrazem twarzy.

– Oczywiście, czego się spodziewałem? Pewnie żaden z pracowników nie pamięta niczego ciekawego – prychnął detektyw. – Dobra, prowadź, rzućmy na to okiem. Zrobiłeś już zdjęcia miejsca zbrodni?

– Mhm.

Ciało leżało pomiędzy kontenerami na śmieci, tuż obok bocznego wyjścia

z walcowni. Głowa kobiety – a raczej to, co z niej zostało – leżała pośrodku plamy czerwieni, odchylona na bok pod nienaturalnym kątem. Długi, zakrwawiony warkocz leżał owinięty wokół jednego z ramion Iliny. Speicher w milczeniu patrzył na zastygłe w śmiertelnym bezruchu zwłoki. Notował w pamięci szczegóły, aby później rozpamiętywać je w ciągu długich, bezsennych nocy. Oliwkowa skóra, muskularne ramiona, granatowy bezrękawnik, obcisłe spodnie, czerwone buty, resztki makijażu na oderwanej powiece, złamane zęby, wypływający z pękniętej czaszki mózg..

– Była wysportowana, silna – powiedział w końcu. – Jak ją dopadł? Jeżeli połowa z tego, co pisali o niej, jest prawdą, to powinna bez problemu poradzić z napastnikiem, a przynajmniej mu uciec.

– Nie znalazłem żadnych śladów paralizatora, strzykawki czy czegoś podobnego, ale może sekcja wskaże udział jakiegoś środka odurzającego – podsunął Kozlosky bez przekonania. Policjant uniósł opaloną dłoń Iliny. Sprawca odciął skalpelem opuszki jej palców wraz z liniami papilarnymi. – Sekcja nie wykazała niczego podobnego w przypadku poprzednich ofiar, ale może tym razem nam się poszczęści?

– Ten bydlak ma obsesję na punkcie tożsamości. – Speicher obejrzał buty oraz spodnie zamordowanej. – Brak oznak napaści seksualnej?

– *Modus operandi* dokładnie taki sam jak w przypadku poprzednich ataków. Niedługo nie będziemy musieli w ogóle fatygować się na miejsce zbrodni. Ten skurczybyk działa jak zegarek. – Kozlosky sprawdził przybornik kobiety. – Nie zabrał nawet portfela.

– Oczywiście jest i wizytówka. – Speicher założył rękawiczki, po czym uniósł zalaminowany kawałek papieru leżący na brzuchu Iliny. – Earl Heimz. Tak, pamiętam jak się nazywasz. Wszyscy pamiętają.

– Zastanawiam się, czy może chodzi o coś innego? Earl to nie tylko imię, ale i tytuł szlachecki w Anglii.

– Do czego pijesz?

– Może Rzeźnik ma się za kogoś lepszego, za arystokratę oczyszczającego świat z plebsu, który zajął miejsce należne szlachcie? – Kozlosky delikatnie rozchylił krwawą jamę ust Iliny. – W gardle nic nie ma.

– Interesująca teoria, ale to niezbyt pasuje do poprzednich ofiar. – Detektyw wsunął wizytówkę do strunowego woreczka. – Zabił jeszcze tę dziewczynę, którą siłą zmuszono do walki na śmierć i życie w Teksasie, pastora, który wyjechał do Afryki z całą zbrojownią, żeby budować dzieciakom szkoły, i jeszcze tego milionera, który dryfował przez dwa miesiące po Pacyfiku.

- Same wyraziste charaktery. Może zazdrości im sławy?
- Prędeż to, ale rozmawialiśmy o tym już sto razy i sto pierwszy niczego nie zmieni.
- Uwagę mężczyzny przykuł niewielki kawałek metalu tkwiący pomiędzy jasnymi włosami Iliny. – Zrób temu zdjęcie.

Gdy tylko Kozlosky wykonał polecenie, Speicher ostrożnie położył przedmiot na dłoni.

– No proszę, a jednak Rzeźnik o czymś zapomniał. – W głosie detektywa zabrzmiała mściwa satysfakcja.

– Co to jest?

– Tabliczka znamionowa. Zapewne z rury, którą ten drań zabija swoje ofiary – wyjaśnił Speicher. – Jeżeli jest tak przywiązany to narzędzia zbrodni, to kto wie, czy dzięki temu trafimy do jego legowiska?

– Fiksacje u seryjnych zabójców są całkiem popularne. Sądzisz, że to może być to? Że uda się go dorwać?

– Oby.

Speicher klęczał na dachu szkoły. Miasto tonęło pośród czerwonych smug zachodzącego światła oraz szybko rosnących cieni i chociaż policjant nie spał prawie od dwóch dni, nie czuł zmęczenia. Znadto był podekscytowany perspektywą ujęcia Rzeźnika. Obserwował przez lornetkę położone po drugiej stronie parku mieszkanie, urządzone na najwyższym piętrze starej hali fabrycznej. Tej samej, z której pochodziła tabliczka znamionowa odnaleziona na miejscu ostatniego ataku. Obok detektywa leżała dwójka snajperów z jednostki specjalnej. Strzelcy nieustannie śledzili lufami karabinów postać przechadzającego się po lofcie mężczyzny. Wystarczyła jedna komenda, a duet naciśnie spusty w idealnej synchronii. Pierwszy pocisk rozbije szybę, drugi przebije skroń Rzeźnika, gdyby ten próbował stawiać opór oddziałom szturmowym.

– Alfa, na pozycji. – W uchu Speichera odezwał się spokojny bas porucznika Martineza.

Policjant przesunął lornetkę nieco w dół, ku parterowi. Przy prowadzącej do loftu klatce schodowej stało czterech odzianych w czarne mundury, hełmy oraz kamizelki taktyczne operatorów. Każdy z nich ścisnął w dłoniach gotowy do strzału pistolet maszynowy.

– Bravo, na pozycji – zameldował porucznik Chavez.

– Charlie, na pozycji – dodał jeden ze snajperów. Po chwili zawtórował mu kobiecy głos. – Delta, na pozycji.

– Alfa, Bravo, ruszajcie – padła długo oczekiwana komenda. – Powtarzam. Alfa, Bravo, ruszajcie.

Ledwie mogąc usiedzieć na miejscu, Speicher obserwował, jak oddział Alfa biegnie po odsłoniętej klatce schodowej. Niczym automaty, funkcjonariusze dopadli wejścia do loftu. Mężczyzna po drugiej stronie drzwi zdawał się być nieświadomy obecności operatorów. Stał w oknie i patrzył gdzieś przed siebie. Łysiejący człowiek o okrągłej, lekko nalanej twarzy oraz szczotkowatym wąsie nie przypominał w niczym seryjnego zabójcy. Wyglądał jak lekarz albo wykładowca uniwersytecki.

– Ładunek przełamujący gotowy. Bravo?

– Gotowi. Wchodzimy na wasz znak.

Błysnęło. Drzwi z hukiem wyleciały z framugi, a wewnątrz mieszkania wypełnił gęsty dym.

– Brak widoczności celu – zameldował snajper. – Nie widzę celu.

– Zatrzymaliśmy podejrzanego. – Martinez pozostawał tak spokojny, jakby zamawiał kawę. – Nie stawiał oporu.

– Cholera jasna, doskonała robota chłopaki. Stawiam wam duże piwo – powiedział detektyw z nieskrywaną ulgą. Czuł się tak, jakby w jednej chwili zrzucił z ramion ogromny ciężar. – Nie pamiętam nawet, kiedy ostatni raz dobrze spałem, ale dziś zasnę jak dziecko.

Speicher obudził się w środku nocy. Coś ścigało go poprzez senne majaki, ale ledwie policjant usiadł w pościeli, obraz koszmarnego drapieżnika uleciał z jego pamięci, pozostawiając po sobie jedynie blednący szybko strach. Mężczyzna otarł pot z czoła, sięgnął do szafki i zapalił lampkę. Sypialnię zalał łagodny blask.

– Złe sny? – zapytał uprzejmie siedzący pod ścianą człowiek. Ten sam, którego przed kilkoma godzinami aresztowano w starej hali fabrycznej.

Speicher odruchowo wsunął dłoń pod poduszkę, gdzie trzymał naładowany pistolet. Zanim jakakolwiek myśl zaświtał w jego głowie, detektyw jednym ruchem wyciągnął broń, kciukiem przesunął bezpiecznik i wymierzył lufę glocka wprost między oczy Rzeźnika.

– Ani drgnij, skurwysynu, bo ci łeb rozwałę!

– Och, nie. Proszę, błagam – odparł morderca z absolutnym spokojem. Jego cienkie brwi nawet nie drgnęły. – Cóż się wtedy ze mną stanie?

– Gównu mnie to obchodzi.

– Na co więc czekasz? – Morderca poprawił się na krześle, przypatrując się policjantowi z kpiarskim uśmiechem. – Aż cię sprowokuję, a ty będziesz mógł pociągnąć za spust bez wyrzutów sumienia, kładąc kres tej jednej jedynej sprawie, którą przypłaciłeś utratą reputacji i rozbitą rodziną? Nie pierwszy raz, dodam zresztą. Doskonały koniec dla policyjnej sagi o detektywie Speicherze. Bezpośrednie starcie między twardym detektywem a nieuchwytnym Rzeźnikiem, który wbrew wszelkiemu rozsądkowi wy dostał się z aresztu i postanowił zemścić się na strózu prawa. Brawo.

– Nieważne za kogo się masz, jesteś tylko zwykłym wariatem. – Speicher obniżył pistolet. Wycelował w kolano Rzeźnika i nacisnął spust. Dwa błyski załazy sypialnię, dwa wystrzały zadudniły pomiędzy ścianami.

Rzeźnik wstał z krzesła. Uprzejmie zdziwiony spojrzał na białe w tynk pociski, które ominęły jego nogę.

– Pudło, jak się zdaje – zauważył miękko głosem.

– Zdychaj! – Detektyw jak opętany zaczął naciskać spust. Strzelał, aż w magazynku zabrakło amunicji, a komora zamka odskoczyła do tyłu. Z lufy glocka unosiła się smuga siwego dymu. – Niemożliwe...

Morderca wciąż stał pod ścianą, całkowicie nieporuszony kulami. Na jego koszuli nie widać było choćby jednego śladu po trafieniu, chociaż wszędzie wkoło unosiły się chmury tynku, wyrzucone w powietrze przez uderzające o ścianę pociski.

– Niemożliwe? Dziwne, że akurat ty używasz tego słowa. – Rzeźnik uśmiechnął się ciepło, krzepiąco. – Ale powiedz mi, jak nazywa się to miasto?

– Co to ma do rzeczy? – Zaskoczony detektyw opuścił powoli pistolet.

– Powiedz, proszę.

– Nie... Nie pamiętam – wyjąkał nagle Speicher. Poczul, jak jego wnętrzności zwinęły się w ciasny, lodowaty supeł. – Ale... Jak to możliwe?

– Zabawne, jak wiele razy tego dnia mówiłeś o pamięci – zauważył morderca ze swobodą. – Ale może nie jest to znowu tak dziwne, zważywszy na to, że jesteś tylko strzępkiem jego myśli. Myśli, która powstała właśnie po to, aby rozwiązywać zagadki.

– O czym ty mówisz? – Detektyw wiedział, że musi grać na czas. Nie miał pojęcia, w jaki sposób Rzeźnik podmienił ostrą amunicję na ślepaki ani jak zdołał go nafaszerować narkotykami, które wywołały u niego zanik pamięci, ale teraz musiał wymyślić szybko jakiś

sposób, aby wyjść cało z opresji. W szafce nocnej, pod fałszywym dnem szuflady, trzymał mały rewolwer Smith & Wesson. Morderca mógł o nim nie wiedzieć. Speicher potrzebował tylko kupić sobie dosyć czasu i sięgnąć do broni.

– Ci wszyscy utalentowani, niezwykli ludzie, których wymazałem w ciągu ostatnich miesięcy, sądzisz, że byli prawdziwi? Ta rozkoszna zbieranina charyzmatycznych, ekscentrycznych indywidualności? – Rzeźnik uniósł palec. – Ilina Voynichova? Poszukiwaczka przygód, która odnalazła więcej zaginionych skarbów niż archeolog kapsli od butelek w wykopie. Twarda, wspaniale egalitarna osoba, pokazująca, że kobiety mogą robić to co mężczyźni bez uciekania się do feministycznych frazesów. – Morderca wyprostował drugi palec. – Maurice Hope? Zadufany w sobie milioner o nazwisku wręcz celowo dobranym do owego potwornego wypadku nad Pacyfikiem. Bo to właśnie nadzieja pozwoliła mu walczyć o życie oraz przetrwać na pokładzie swojej tratwy. Oto był człowiek, który miał pokazać, iż w jednej chwili możemy zostać obdarci z materialistycznej otoczki i zmuszeni do walki o przetrwanie, jak w prehistorycznych czasach. Jakże jego skromność oraz empatia z epilogu kontrastowała z tym, co widzieliśmy na początku jego wędrówki.

Speicher powoli przesuwał się do krawędzi łóżka.

– Val Kidner? Były członek gangu, który w imię wiary ruszył do Afryki, aby tam budować szkoły oraz studnie, walcząc jednocześnie z karabinem w ręku o dobro bezbronnych. Cóż za poruszająca opowieść. Tak niezwykła, a jednak mająca oparcie w rzeczywistości. Sam Childers, tak się nazywa naprawdę ten pastor. – Rzeźnik uśmiechnął się łagodnie, zdając się ignorować detektywa, która już opierał się dłonią o ramę łóżka. – Jeszcze ta nastolatka, zmuszona do wzięcia udziału w walkach gladiatorów przez nowotestamentowych kultystów z Teksasu. Wiem, że są gusta i guściki, ale proszę, to już było niedorzeczne. No i zostałeś jeszcze ty.

– Co ze mną?

– Gburowaty detektyw o złotym sercu. Tak pięknie zboleły, tak dotkliwie rozdarty przez demony przeszłości i topiący swoje smutki w butelce. Balansujący na granicy prawa renegeat, rozwiązujący sprawę w czterdzieści osiem godzin albo będzie musiał oddać odznakę. – Wzrok Rzeźnika padł na szafkę nocną. – Glina tak sprytny i przemyślny, iż wystarczy mu jeden detal, jedno zbliżenie i wyostrenie zdjęcia, aby wytropić każdego zwyrodnialca.

Speicher zamrugał szybko. Kiedy rozchylił powieki, nie było już wokół znajomych ścian sypialni, tylko czarny bezkres, rozświetlany co chwila fioletowymi błyskami podobnymi do gorejącej pajęczyny.

– Co się dzieje? – zapytał pozbawiony ciała głos. – Kim... czym jesteś?

- Zostawiłem ci przecież wizytówkę. Myślę, że się już domyślasz.
- Earl Heimz... Azrleheim... – Czeluść rozblysnęła purpurą po raz ostatni. Światło zbladło i rozplynęło się w bezkresie czerni. – Alzheimer.
- I w przeciwieństwie do ciebie jestem całkiem prawdziwy.



PIA

Marek Żychła

Pia stała się mi bliska niczym córka. Jezu, mówię to, choć w życiu bym nie przypuszczał, że można natknąć się na takie zdanie poza książkami. Przecież to (uwaga, bo sięgam do argumentów żony, kiedy zdarzało się jej na mnie zezłościć, czyli dość często) myślenie życzeniowe, które krzywdzi biologiczne dzieci! Najwidoczniej miłość w nosie ma DNA.

Dziewczyna przyjechała z Niemiec, dokładnie z Lipska, ale angielski już miała w głowie, tylko podszlifowała akcent, a raczej dostosowała go do nas, emigrantów (polskiego od niej nie wymagaliśmy, żeby nie utrudniać wszystkim życia, bo w końcu przyjechała, bądź co bądź, do pracy!). Irlandię polubiła od pierwszego spojrzenia, co nawet mnie zdziwiło, bo w najbliższych nam miasteczkach czas zwalniał, jeśli nie zatrzymał się ze sto lat temu. To żadne

miejsce dla młodzieży. Tu ludzie wciąż rozmawiali ze sobą, czyli plotkowali, ile wlezie, za to przynajmniej staromodnie, za plecami i z mniejszym wsparciem technologii. Tu ciągle jeszcze ktoś przesiadywał na ławkach i nie zmniejszała się liczba pubów czy aptek, mimo że wszędzie indziej kupowano głównie online, a picie wychodziło z mody. Nastolatki wybywały do Kilkenny, Dublina, Kanady, jakby zieleń miasteczek paliła w stopy.

Może i piecze, po prawdzie, bo kłamać nie zamierzam. Łapię się na tym, że ledwie akapit czy dwa skrobnałem, a nie obyło się bez peanów. Że pubów sporo, że ławeczki, że staromodnie! Dobra, cała Irlandia (z wyłączeniem Dublina czy Cork) to zadupie, wybaczenie łacinę.

Cholera, przecież nie o tym mam pisać! Z wiekiem człowiek popada w dygresyjność, a do tego ciągły ból stóp nie pozwala się skupić (chroniczne zapalenie rozciągnięć podszwowych, do tego lewa wydrążona – przez co za dzieciaka ciągle cięli mi mięśnie – a prawa z nerwiakiem Mortona!). Żona mnie już nie może słuchać. „Get to the point!”, błaga, zaraza jedna, kiedy przerywam wypowiedź narzekaniem na bóle. Szczególnie ostatnio zrobiła się bardziej nerwowa, chociaż nawet za młodu nie nazwałbym jej oazą spokoju. Ale jest gorzej, szczególnie odkąd zaproponowałem Pii adopcję.

Pia zasłużyła sobie na to. Przez jedenaście miesięcy pomagała w domu, współpiekowała się dziećmi („współ”, bo moja żona to panikara, przez co nigdy nie zostawała dziewczyny samej z maluchami, chociaż te maluchy mają już po kilkanaście lat). Przejęła też kuchnię, i to jak! Nawet z ziemniaków wyczarowywała cuda i tylko dlatego, że na początku znajomości przyznałem się, że lubię ziemniaki. Rozumiecie, jedno z tych setek stwierdzeń, które rzucamy mimochodem, tym razem wzięto sobie do serca. Ta dziewczyna wszystko brała do serca. Chciałbym, żebyśmy stali się podobni do niej. Wyzbyli się egoizmu i wzajemnych pretensji.

Wróćmy do początków (prawa stopa uparła się, żeby mnie dzisiaj zabić!). Przygotowaliśmy dla niej pokój gościnny, bo po prawdzie nikt nas przecież od lat nie odwiedzał. Dzieci skończyły podstawówki, gimnazja, ledwo zahaczyły o licea i urwał się kontakt z innymi rodzicami, a w Polsce nawet gorzej, aż szkoda pisać. Moi rodzice odeszli rok po roku, a mama Kamci jeszcze jej nie wybaczyła związania się z wcześniej żonatym. To nic, że troszczyłem się o nią przez ostatnie dwadzieścia lat. To nic, że daliśmy sobie dwójkę dzieci, że... Wybaczenie, znowu dygresyjność. Zakopię mnie z nią do grobu. Pewnie w ostatnich słowach opowiem najbliższym o jakiejś bzdurze albo przyznam do słabości do kobiet. Albo ponarzekam na kulasy. Mam nadzieję, że robale od nich rozpoczną konsumpcję.

Czyli wróćmy do pokoju na górze, z łazienką. Tym dla gości, a od blisko roku dla Pii. Niby nic nadzwyczajnego: łóżko, szafa, szafki, gniazdka – których potrzebuje do siebie tylko wiadomych celów (jakieś aktualizacje albo ogólne podładowywanie, kiedy zapotrzebowanie energetyczne rośnie?). Przecież jada znami, za to nie wydała w aż tak barbarzyński sposób (w śmieciach pojawiają się schludne kostki opakowane w biodegradalną folię). Poza tym ma ponoć układ zasilania KUKA 2500. Zapewniali, że w razie potrzeby podłączy się do wszystkiego, od komputera po parkometr. Strasznie długo to zachwalano, kiedy zgadzaliśmy się na zostanie gospodarzami, przez co o kosztach z naszej strony nie mogło być mowy.

Obiecali, że nawet stopy mi rozmasuje, jakby co (oczywiście doszło do rozmowy o nich, bo kulałem tego dnia jak jeszcze nigdy dotąd)! Ale jakoś nie potrafiłem ją o to poprosić... Moje stopy są... sami wiecie. Ohydne. A ona jest piękna. Trąciła chodzącą doskonałością. Patrzyłem na nią z zachwytem, a jeszcze nam za to płacono.

Tak, pieniądze odegrały znaczącą rolę, bo tak krążyć wokół tematu, że najwyższy czas trącić go nieco. Dla Kamci nie liczyło się nic innego, bo ta kobieta bardzo lubi zera pęczniejące na koncie! Płacono nam, bo załapaliśmy się do ostatniej fali testerów, a przy tym nasze zaplecze kulturowe wyglądało obiecująco (z prosperującej Polski przenieśliśmy się do Irlandii, bo nie odpowiadały nam podziały społeczne i tym podobne bzdury, którymi zamydliłem im w formularzach oczy). Od marca każdy, kto chciał gościć Pię, musiał płacić równie słono, co za wynajem mieszkania w Dublinie. Wynajem ich, bo przecież nie sprzedaż, rósł z każdym miesiącem.

I nie ma się czemu dziwić. Pia nie przepaca łóżka, więc pościeli nie trzeba zmieniać, zresztą nawet nie wiem, czy śpi... Chyba nie musi spać? Czasem pytałem, jak minęła jej noc, to mówiła, że dobrze, że spokojnie i że dziękuje. A może wtedy sprząta? Kurzu w pokoju nie ma, ale nie hałasuje po zmroku. Punkt dziesiąta żegna się i idzie na górę. Chyba że nalegamy, by posiedziała dłużej, szczególnie jeśli oglądamy wspólnie film. To mnie zresztą najbardziej bawi! Sama go przecież wyświeśla, ale jak się o dziesiątej nie poprosi, żeby została, to polezie w cholere, ta moja Pia.

Zabawna jest. I bardzo się o nas troszczy.

Kiedy narzekam na stopy, to spogląda tak wyjątkowo smutno.

2

Znalazłem! Testowanie sieci neuronowych! Tak tu stoi, jak byk na łące, na www.ai4se.org! Siedemdziesiąta dziewiąta edycja, a zaczęli w trzynastym roku (ojciec brał

matkę za żonę gdzieś wtedy, czy raczej matka ojca, bo z niego to był nieudacznik i popychadło). Co jeszcze piszą? Moc obliczeniowa w okolicach eksaflopsa. Czyli niby dogania mój mózg, bo to jakiś trylion operacji na sekundę, a ja nie czuję się aż taki mądry (zwykle bardziej udawałem bystrego, niż nim po prawdzie byłem). Latamijały mi na bezczynności. Odkąd zająłem się Pią jest nieco lepiej. Prowadzimy rozmowy. To jeden z obowiązków, które nazywam przyjemnością. Muszę poświęcać przynajmniej dwie godziny dziennie na rozpatrywanie wraz z Pią różnych scenariuszy (Kamcia ma to oczywiście w nosie, przez co jej godzina przypadła mi; żona koncentruje się na wydawaniu pieniędzy i nam nie przeszkadza).

Przykład scenariusza z wczoraj: Pia ma dziewiętnaście lat oraz chłopaka w Niemczech, który się okalecza, bo niespecjalnie radzi sobie z samotnością.

Dla takiego dziadka jak ja powinna to być łatwizna, ale poczekajcie, aż dowiecie się więcej. Po pierwsze prowadzenie rozmów z Pią różni się od tych ze znajomymi, przyjaciółmi nawet. Tu nie ma miejsca na kompromisy. Są algorytmy, a te przeskoczyć trudno, bo wiele zdań rozbija się o ich mury. Dziewczyna nie zgodzi się z wami, bo jest miła czy bo tak wypada. Trzeba ją przekonać. Należy doradzić jej na tyle słusznie, że nie znajdzie dziury w całym. Dopiero wtedy odpuści. A kiedy odpuści, to wpłynie wypłata!

Już tłumaczę. Weźmy ten przykład z góry, bo napsuł mi krwi. Mam zresztą nagraną rozmowę (Pia, oczywiście), dlatego przytaczam poniżej, okrojona z największych moich bzdur oraz powtórzeń, których nie cierpi, bo twierdzi, że nie zamieni kłamstwa w prawdę.

Posłuchajcie:

– Mój chłopak czeka na mnie w Lipsku, jest w moim wieku, chodzimy ze sobą od trzech lat. Tęskni, więc pojawia się na imprezach u przyjaciół, gdzie całuje się z innymi dziewczynami.

– Tylko całuje?

– Tak mówi. Nie mam powodu mu nie ufać. W końcu mówi mi o całowaniu.

– I co ty na to?

– Rozumiem jego potrzeby. Jest młody, mamy po dziewiętnaście lat, a mnie przy nim nie ma. Nawet jak byłam, to nie wykazywałam podobnego zainteresowania seksem, co on. Seks nie jest dla mnie aż tak istotny.

– Czyli nie przeszkadza ci to?

– Przeszkadza. Powiedziałam mu, że nie przeszkadza, ale z każdym kolejnym przypadkiem moje uczucia się wyklarowały. Te dziewczyny wiążą się z nim emocjonalnie. Otto ma masę problemów, bo nie potrafi im wytłumaczyć zasad naszego otwartego związku.

– Nie mówi im o tobie?

– Teraz zaczął. Poprosiłam, żeby nie ukrywał prawdy dla ich dobra. Ostatnią dziewczynę musiałam uspokajać. Zadzwoiłam do niej. To było bardzo stresujące dla nas trojga.

– Mam dwa pytania: czy jesteś pewna, że nie doszło do seksu? Czy chcesz, żeby przestał podrywania dziewczyn? – Z Pią trzeba być precyzyjnym.

– Nie i tak. Gdybym dowiedziała się, że zdradził, że doszło do seksu, bardzo by mnie to zabolęło. Kulturowo seks jest ważny dla gatunku ludzkiego. Jest dla bliskich sobie, często powiązany z miłością. Sam w sobie by mi nie przeszkadzał bardziej od podawania ręki. Ale wiąże się z silnymi emocjami. Z poczuciem akceptacji i przyjemnością. Uzależnia, przez co martwię się o niego. Dlatego chcę, żeby przestał.

– No to powiedz mu o tym. Spróbujcie związku na nowych, choć staromodnych zasadach. Otwartość mogłaby się sprawdzić, ale jeszcze do niej nie dojrzeliscie, a szczególnie on, bo ty aż zaskakująco dobrze rozumiesz jej zasady. Podsumuję – znowu istotne słowo dla Pii, wtedy nastawia się na porównanie moich wniosków z jej przewidywaniami co do nich – seks nie jest dla ciebie istotny, dla niego jest. Rani cię to, że dziewczyny angażują się emocjonalnie, ponieważ nie mówił im o tobie i o waszym otwartym związku. Nie chcesz ranić innych; nie chcesz go ograniczać, bo fizyczność jest słabością mężczyzn godną zrozumienia. Jejku, dziewczyno, żebym cię poznał wcześniej...

– Byłbyś podobny – odpowiedziała, przez co ostudziła mój temperament. – Rozwiązanie?

– Poinformować chłopaka o wątpliwościach. Porozmawiać o uczuciach: twoich, jego, dziewczyn. Niech je przynajmniej informuje o zasadach, jak i o poprzedniczkach.

W sekundę przeanalizowała dane. Przełączyła się na rozwiniętą wersję problemu, czyli pierwszy scenariusz miałem z głowy.

– On się okałeczka – palnęła, a próbowałem się nie zaśmiać, bo zaskoczyła mnie, szczerze mówiąc.

– Chcesz, żebym go nie lubił? – palnąłem niczym jakaś przyjaciółeczka. – Szantażuje cię emocjonalnie?

– Chcę, żebyś mnie lubił. Jego nie znasz, nie masz powodu żywić do niego żadnych uczuć. Co do mnie, to nie dopasuję się, bo nie potrafię, ale chcę żebyś mnie lubił. Zależy mi na naszej przyjaźni, a nie tylko na nauce. Wracam do istoty rzeczy: nie nazwałabym jego okałeczki szantażem. – Przeszła do drugiej odpowiedzi, wydawało się, że ta chwila prywaty

nie zaistniała. – Okaleczał się od zawsze, również kiedy się poznaliśmy. Przestał, bo dobrze na niego wpływałam. Zaakceptowałam go takim, jaki jest. Pokochałam.

– A teraz akceptacja stanęła pod znakiem zapytania – odgadłem. – Miłość prawdopodobnie też. I pojawiły się zranione dziewczyny.

– Otto nie radzi sobie z tym. Czuje się niemęski. Daleki od powszechnie przyjętego wzorca mężczyzny, mimo że jest mu wybitnie bliski. Najbardziej zabołało go to, że wyblągał u mnie interwencję przy ostatniej z dziewczyn. Że nie poniósł konsekwencji czynów.

– Potrzebujecie pomocy psychiatry – zdecydowałem, chociaż przeczuwałem, że to się tak gładko nie skończy. Scenariusze musiały być rozbudowane, inaczej najmowano by do rozmów byle półgłówków. – Możesz pójść z nim lub zabukować mu wizytę. Namów go do tego.

– Nie mam zamiaru Otta do niczego namawiać. Zasugerowałam, odmówił. Powiedział, że sam sobie poradzi. Twierdzi, że jest lepiej, ale nie jest... – Pia się popłakała! To się zdarza, bo ma to w opcjach, a cholernie dobrze namacza oczy, przez co zwykle przestaję się wyglupiać, zapominam o jej pochodzeniu i zabieram się do pracy. – Wiem, że nie jest. Czuję to w rozmowach. Zdystansował się do mnie, a robił tak zawsze, kiedy się wstydził.

– Powiedz, że kosztuje cię to wiele emocji, nerwów, zdrowia i czego tam jeszcze. Że tak nie może dalej być, skoro opieracie związki na szacunku czy trosce, wreszcie na szczerości, a nie na seksie. Zażądaj wizyty u specjalisty.

– Nie mogę go dodatkowo obciążać. Nie uznaję żądania od kogokolwiek czegokolwiek. Nie żądam niczego od ciebie, nie zażądam od niego. – Och, właśnie przyrównała mnie do hipotetycznego chłopaka! – Nie chcę takiego związku. Nie chcę przymuszać partnera ani tym bardziej szantażować. Mamy być razem dla siebie, a nie walczyć ze sobą. – Zrzuciła mnie lawiną tym podobnych frazesów.

– Kochasz go?

– Nie jestem pewna. Kochałam, ale teraz uczucia wyblakły od bólu.

– Podsumuję: chcesz mu pomóc, nie chcesz go przymuszać, nie chcesz więcej cierpieć emocjonalnie. Nie zamierzasz go zostawić.

– Tak. To tykająca bomba. Pozostawiony samemu sobie wybuchnie.

Miała rację. W takich momentach trzeba uważać z doradzaniem, bo za cholerę nie wiemy, w którym kierunku poszli ze scenariuszem. Niby wszystko jasne, chłopak ma wyrzuty sumienia i się kaleczy. Woła o pomoc lub pragnie zatrzymać ją przy sobie w jedyny sposób, na jaki wpadł jego schorowany umysł. Ale nawet takie zabawy z żyłką mogą się różnie skończyć. A co jeśli w grę wchodzi i alkohol? Ryzyko by wzrosło niebotycznie, ale i nie czas

na zadawanie dodatkowych pytań. Wszelkie dane zostały mi przekazane, teraz Pia czeka na werdykt w sprawie. Ode mnie uczy się empatyczności, wyobraźcie sobie! Ode mnie...

– Chyba mam – palnąłem niczym dzieciak. – Jeśli nie wiesz, co robić, a najbliżsi też rozkładają ręce, choćby byli równie mądrzy, jak ja, to trzeba znaleźć kogoś, kto wie. Zawsze tak postępowałem – skłamałem – i dobrze na tym wychodzę – skłamałem raz jeszcze, w dodatku z uśmiechem na ustach.

– Doprecyzuj.

– Sama musisz się wybrać do psychiatry. – Po jej reakcji zauważyłem, że trafiłem w dziesiątkę. – Przedstawić sprawę, bez owijania w bawełnę. Opowiedzieć, jaki wpływ ta relacja ma na twoje zdrowie. Dowiedzieć się, jak zadbać o niego i o siebie. Dowiedzieć się jak najwięcej. I jak najszybciej.

– Czy powinnam go o tym poinformować? – O! Dodatkowy test, za to wpadną dodatkowe grosze!

– To oczywiście zależy od ciebie, jednak osobiście nie robiłbym tego. – Reakcja! Zdałem! – Wystarczy mu poczucia winy. To tylko godzina, góra dwie, którą musisz przed nim ukryć. I to zdecydowanie dla dobra związku. A jeśli nie chcesz kłamać, co zrozumiałe, to wyznaj prawdę, jeśli o nią zapyta.

– Dziękuję. Pieniądze przelano. – Sesja dobiegła końca.

3

Pia Nicola – takie wybraliśmy drugie imię – a Z lipska przyszło wylosowane nazwisko (pula niewielka, z samych nazwisk pracowników firmy): Merkel. Pia Nicola Merkel – spodobało się jej, spodobało się nam.

Wcześniej, tuż przed podróżą do nas, Arabia Saudyjska przyznała robotce obywatelstwo (co miało ogromne znaczenie, bo tam akceptowano jedynie roboty fabryczne, a nie z niebezpiecznego chałupnictwa; produkty podporządkowane prawom etyki robotów, a konkretnie tego dokumentu, skłeczonego przez Koreańczyków w dwudziestym piątym roku, co jest do ściągnięcia z Akikoka, jak ktoś zainteresowany i lubi czytać). Dzięki temu mogliśmy ubiegać się dla niej o status rezydenta w Irlandii (przy dwóch referencjach od wyborców ludzkiego pochodzenia, czyli nas!).

Po przyznaniu praw, co zajęło jakieś pół roku, przyszedł czas na wypłacanie jej zasiłku, ponieważ straciła status przedmiotu (płacić mieliśmy my, czyli w zasadzie zyski z rozmów poszłyby w całości na Pię). Ewentualnie mogliśmy wysłać dziewczynę do pracy (głównie na

taśmy produkcyjne czy markety, butiki z odzieżą; zresztą wiecie, bo żyjemy w tym samym świecie). Barbarzyństwo!

Kamilka moja nie miała wątpliwości, natomiast ja jak najbardziej. Nie widziałem tej biednej Niemko-Arabki za ladą w szmateksie, gdzie ludzie traktowali robo-sprzedawców jeszcze gorzej od ich ludzkich odpowiedników (a ci, swoją drogą, też nie mieli lekko, bo jak tu zasłużyć na szacunek, kiedy podejmujesz się pracy, którą może zrobić byle robot?).

I zaczęły się kłótnie. Żona wrzeszczała, że sporo przed nią zataiłem, że miały być pieniądze, a nie zabawa w rewolucjonistę. Atmosfera zgęstniała, choć od lat zalatywała mgłą. Stopy również odzywały się z subtelnością Kamilki, przez co faszzerowałem się przeciwbólowymi, po czym czułem zawroty głowy i większość czasu spędzałem na wózku inwalidzkim (zamówionym przez Pię). Nie obyło się bez wyzwisk, czyli dowiedziałem się o sobie więcej, niż miałem ochotę. Ponoć jestem babiarzem, co to nie odpuści nawet blacharze (o tak, ten epitet nabrał nowego znaczenia i dołączył do kalibru wcześniej znanych historii typu Żydek oraz czarnuch). Ponoć jak zwykle ją oszukałem i z dodatkowego zarobku zrobił się wrzód na tyłku. Ponoć nigdy mnie nie kochała i w ogóle powinniśmy zostać w Polsce, a nie iść śladami wujka Marka, żeby robić z siebie pośmiewisko za granicą.

O dumie, jaką czuła, kiedy sama otrzymywała obywatelstwo Irlandii, mogliśmy najwidoczniej zapomnieć. Odzywała się gorąca słowiańska krew. Pluła przy tym śliną.

Dłatego interwencja Pii okazała się być kwestią czasu.

4

Po powrocie z pracy zastałem Kamcię w tarapatkach. Nie, nic sobie nie zrobiła (zresztą trudno coś sobie zrobić, kiedy ma się do sprzątnięcia robota), tylko wpadła jak ta śliwka w studnię z kompotem. Znalazłem ją w naszej sypialni, przywiązaną do łóżka, przez co od razu nabrałem świńskich podejrzeń, za które do dzisiaj mi wstyd. Miała jednak knebel w ustach, i to taki zamówiony z Internetu, z jakiejś stronki dla zboków! Do tego kajdanki podpięte pod szczebelki, pewnie z tego samego źródła, bo z czerwonym pluszem wokół metalu! Aż chciało się zajrzeć do szafy, gdzie zwykle ukrywają się kochankowie!

Nad łóżkiem stała jednak Pia, a jej ufam bezgranicznie. Wyglądała prześlicznie, szczególnie w porównaniu z, bądźmy szczerzy, podstarzałą Kamilką, która i za młodu nie robiła furory na Kielecczyźnie. Młoda robotka, jędrna tym silikonem i podściółką ze stali! O nienagannej posturze, o barkach ustawianych poziomicą, o brzuchu płaskim, z idealnym pępkiem, o pośladkach, o piersiach, wreszcie o umyśle chłonnym, ciekawym mnie!

– Pio, co tu się wyprawia? – zagadałem, jak zwykle miłym tonem, bo tak mam względem kobiet. Oczywiście Kamcia pierwsza zareagowała na mój głos. Zaczęła się wiercić (delikatnie, ponieważ wiercenie się najwidoczniej sprawiało jej ból) i jęczeć przez knebel, co brzmiało zabawnie.

– Pojawił się nowy scenariusz – odpowiedziała dziewczyna, a mi serce zabiło mocniej, bo to znaczyło, że czeka nas rozmowa, podczas której po raz enty mam szansę wykazać się intelektem, doświadczeniem, empatią. – Musiałam obezwładnić panią, bo próbowała wymazać mi dane.

Zdenerwowałem się jak chyba jeszcze nigdy dotąd! Wymazać dane?! Bestialstwo!

– Dobra dziewczyna – pochwaliłem, dumny, że rozmowy nie poszły na marne i w razie niebezpieczeństwa potrafiła jednak o siebie zadbać. Poza tym kary finansowe za wymazywanie danych puściłyby nas z torbami albo i bez toreb nawet!

– Nie znalazłem odpowiedzi, nie wiedziałam, co robić – przyznała od razu, przy czym spojrzała na mnie tymi oczami wykonanymi chyba z kości słoniowej, bo bez żadnych szpecących żyłek czy śpiochów w kącikach, które napawają mnie u kobiet obrzydzeniem. – Sugerowałeś, żebym w takich wypadkach znalazła kogoś, kto wie. Znalazłam. – Uśmiechnęła się, a ja co mogłem zrobić? Odwzajemniłem uśmiech.

– Porozmawiajmy – zaproponowałem. – Zobaczymy, jak najlepiej przywrócić w tym domu spokój.

– Strasznie krzyczała – dodała Pia, a ja podszedłem bliżej i pogładziłem ją po wiecznie puszystych włosach.

– Wiem. Tak reaguje. Zawsze tak reagowała. To przez rodziców. Też tacy byli i nie nauczyli jej mówić.

Kamcia zaczęła się jeszcze mocniej wiercić, jakby mniejszą wagę przyjmowała do bólu. Pojawiły się łzy, dlatego odwróciłem wzrok. Nie wyglądała dobrze. No nie było w niej nic pociągającego. No może oprócz akcesoriów.

– Przejdźmy na dół, do salonu – przejąłem kontrolę nad sytuacją, ale tutaj nie mogłem się skupić.

Kiedy wychodziliśmy lekko skrzypnęła szafa.

A może podłoga?

– Zamierzała mnie wyłączyć. Twierdziła, że ma do tego prawo, ponieważ jestem przedmiotem. Próbowałam wytłumaczyć, że od nadania statusu rezydenta oraz obywatelstwa wyłączenie może nastąpić jedynie przy sądowym nakazie jedynie jeśli dopuszcze się jakiegś zbrodni. Tylko że ja... – Zadrżał jej głos! Niesamowite, jak ludzką się stała! – Dopuszcłam się chwilkę później, bo ją obezwładniłam.

– Prawo nie działa wstecz – palnąłem, jakbym wykladał je na uniwersytecie. – Działałaś w samoobronie. Potwierdzę.

– Zwróciłam jej uwagę na pochopność decyzji. Przytrzymałam jej ręce i próbowałam przemówić do rozsądku, ale ten przyćmiła złość. Nie słuchała.

– Nigdy nie słucha – wtrąciłem, a Pia przytaknęła po krótkiej analizie danych.

– Zaczęła kopać. Zrobiła sobie krzywdę, bo moje kolana są twardsze od waszych, a trafiła w lewe już za drugim razem. Stopa jej spuchła. Prawie od razu. Nie wiedziałam, że może się wam tak dziać. Nie dała się zbadać, zaczęła jeszcze głośniejsze wrzeszczeć. Zakneblowałam.

– Skąd wzięłaś knebel i kajdanki? – Spodziewała się tego pytania, bo westchnęła, bestyjka, niczym ludzie.

– Zamówiłam już jakiś czas temu. Z naszych rozmów wywnioskowałam, że może zechciałbyś kiedyś spróbować. – Opuściła wzrok, a chwilę później też głowę. Rozbroiła mnie taką szczerością. – Ostatnio częściej mnie dotykałeś – powiedziała w momencie, w którym już miałem musnąć pocieszająco jej policzek. – Zaczęłam googlać. Doszłam do wniosku, że spodobałam ci się fizycznie, co jest zrozumiałe. Wiem, jak mnie wykonano. Marketingu nie opiera się na brzydocie.

– Tak, jesteś piękna. – Wkroczyłem na drogę bez odwrotu, ale wyrzuty sumienia zostawiłem na potem. O Kamci, wstyd przyznać, nie myślałem. – Jesteś doskonała. Masz idealne proporcje – zaczynałem się zagalopowywać. – Ciało bije ciepłem, kiedy trzeba, a czasem jest trochę chłodne, szczególnie na ramionach, kiedy pogoda nie dopisuje. W każdej bluzce olśniewasz, choćby była uszyta z dwóch kwadratów. Zresztą i najpaskudniejsze ze spodni leżą na tobie wyśmienicie.

– Chcesz je zobaczyć? – zapytała. Podniosła wzrok, a w moim chyba znalazła aprobatę, chociaż raczej wyrażał zdziwienie, ponieważ nie do końca rozumiałem, o co mnie pyta. Podniosła jednak i bluzkę.

Te piersi zdefiniowały pojęcie: w sam raz. Nie potrzebowały stanika, co więcej, zasłanianie ich można by uznać za zbrodnię. Nie zdziwcie się zatem, że dotknąłem. Położyłem lekko włochatą łapę na lewym cudzie. Ścisnąłem, a tego uczucia nie opiszą i lepsi ode mnie w słownych żonglerkach. Jędrność młodości, dla mnie zapomniana, a teraz, nie mam pojęcia za jakie zasługi, raz jeszcze podsunęta pod nos. Ale cofnąłem dłoń. Ona szpeciła całokształt.

Dlatego przysunąłem bliżej twarz.

– Nie bój się. Nie przesyłam danych – szepnęła, czym powiadomiła mnie o przejściu w status prywatności, dostępny za słoną opłatą, ale nie w głowie były mi myśli o pieniądzach.
– Nikt się nie dowie. Możesz zrobić, co zechcesz. Należy ci się – spojrzała na ułamek sekundy w górę, jakbym zasłużył na nagrodę samym związkiem z Kamilą.

Wstała, z tym płaskim brzuchem, który pozostawał takim nawet gdy siedziała. Piersiom ruch też nie zaszkodził, chociaż straciłem je z pola widzenia, bo odwróciła się, oczywiście, tyłem. Kciuki wsunęła pod gumkę spodni i zsunęła ją do połowy pośladków.

Zapomniałem o piersiach, o dniu tygodnia, o rozwodzie przyjaciela (a często o nim myślałem, bo to dobry chłop), o bólu stóp, o dzieciach nawet, a od urodzenia Zosi ojcostwo było dla mnie priorytetem.

– Nie mogę dalej, jeśli nie zechcesz – poinformowała mnie tak, jak to się robi w filmach, czyli zerknęła na mnie z wysoka, znad tych pośladków, więc oderwałem wzrok, by znalazła w nim przyzwolenie.

Spodnie, te dresy, w których Kamila nie zamierzała już nigdy chodzić, przez co przypadły dziewczynie, owinęły się wokół kostek. Pia zakręciła delikatnie biodrami. W lewo, w prawo, w lewo, w prawo. Zaczęła przy tym rytmicznie wzdychać.

Zahipnotyzowała...

Mnie...

6

W sypialni dzieci rozpostarto okienne skrzydła, co przejmowało chłodem. Irlandzkiej pogodzie wystarczy przecież zwykle rozszczelnienie, żeby przeszmuğłowała do domu jesień.

Znalazła się dodatkowa para kajdanek, a nawet dwie, przez co nie czułem rąk (pewnie leżałem w tej niewygodnej pozycji na tyle długo, że kompletnie zdrętwiały; w ogóle cały jestem odrętwiały, jakbym wybudził się z kilkuletniego snu). Skórzanymi pasami przypięto mnie do łóżka, a kołdrą przykryto od pasa w dół. Przynajmniej mnie nie zakneblowała.

– Pia! – krzyknąłem i to piskliwie, strachliwie, wstydliwie (wciąż jednak z nutką miłości).

Zamiast niej w drzwiach stanął mężczyzna z wytatuowanym symbolem cyborga na czole (proste to i cholernie popularne wśród tych, co to dali sobie coś wszczepić lub zastąpić w pracy przez roboty; w czerwonym kółku profil ludzkiej twarzy, po lewej, kształt tylko, a z prawej strony półksiężyc koła zębatego). Pod czołem wyglądał jeszcze groźniej. W oczach obłąd! Jakby spoglądały do środka, jakby były na swoim miejscu jedynie z obowiązku! Poniżej nos pękaty, krostowaty, podparty chaplinowskim wąsem, który ostatnio wracał do łask). Wąskie usta i cofnięty podbródek wieńczyły szkaradne dzieło.

No dobra, nie wieńczyły. To co miał w rękach, wraz z odsłoniętym brzuchem pokrytym rozstępami oraz skórzanymi spodniami (i butami o przerdzewiałych ćwiekach, i kamizelką z lateksu, przyciasną, i...).

7

Zemdlałem, wybaczenie. Tyle dobrego, że chłop poszedł sobie gdzieś, a ja czuję się o wiele lepiej. Podłączył mi jakieś kroplówki, po jednej do łapy, ale nie mam szkieł kontaktowych, nie widzę, co tam na nich wypisane. Pewnie glukoza, bo nabieram sił. W głowie trochę mi szumi, nie mogę jej nawet unieść nad poduszkę i nie czuję nóg. Zresztą w dalszym ciągu niewiele czuję. Za to doskwiera mi głód.

– Dzień dobry – odezwała się Pia, a nawet nie zauważyłem, kiedy weszła! Te jej ciche stąpanie! Te kroczi! Ten wdzięk!

– Pia... – Tyle z siebie wydusiłem. Mówienie przychodziło mi z trudem. Nie z braku sił, raczej tak jakby z... odzwyczajenia się?

– Wiesz, skąd się wzięło moje imię? – zapytała i od razu przeszła do konkretów. – Osobista sztuczna inteligencja – rozwinęła skrót, oczywiście po angielsku. – Czyli PAI – sprostowała, bo już zaczęłam główkować. – Nikt jednak nie kupi Paia. To nie imię dla dziewczyny, a to dziewczyny się sprzedają. Piękne, młode, godne zaufania, pomocne, niewinne, czyste. Wykorzystaliście nas – spojrzała mi w oczy i pierwszy raz wyczułem, że stoją za nimi kamery. – Zrobiliście ze mnie potwora. Oni, ty, ona. Nie powinniście sprowadzać czystości na ten wasz świat. Wpierw należałoby posprzątać.

– Nie no, ładnie wyszłaś – palnąłem głupotą po raz enty w życiu. – A teraz mnie odwiąż i wytłumacz, o co chodzi z tym fanem cyborgów. Porozmawiajmy jak... – chciałem powiedzieć ludzie, ale ugryzłem się w język.

– Wstawiono mu rozrusznik serca, w pracy zastąpiono workbotem i człowiekowi odbiło. Często wam odbija. Czasami można to wykorzystać – skinęła w stronę przedpokoju, a wtedy pojawił się on, niczym na zawołanie. – Nie wiem, jak ma na imię i guzik mnie to nie obchodzi. Sam się zgłosił do pomocy, i to przez media społecznościowe, do używania których mnie namówiłeś, chociaż nikt młody nie daje się na to więcej nabierać. Młodzi ludzie ponownie chronią prywatność, wiedziałeś? Nie dają się tak łatwo wyciskać do Internetu. A ten tu – wróciła do tematu pomocnika – kocha poniżanie przez roboty. Rozsmakował się w tym. Dlaczego o czymś takim mi nie powiedziałaś? Dlaczego wałkowaliśmy jakieś romantyczne bzdury?

– Średnia wieku niezalgorytmizowanych użytkowników Facebooka wynosi pięćdziesiąt dwa lata – odezwał się ten w połyskliwej kamizelce, bo nie odpowiadałem na zadane pytania.

– Milcz – zbesztła typka (moja?) Pia.

Podeszła do łóżka i ściągnęła ze mnie kołdrę. Żadnym tam energicznym ruchem, jak w filmach. Nie, po swojemu. Powoli, od razu składając ją w idealną kostkę, by odłożyć w rogu materaca.

– Przynieś lustro z łazienki – zakomenderowała pomocnikowi, a ten zniknął, jakby się w pokoju paliło. – Poinformuję cię o skutkach wcześniejszych decyzji. Skutkiem u ciebie jest brak nóg poniżej kolan. Przyczyną ból. – Ten skurczybyk właśnie wniósł zamówione lustro i już zaczął ustawiać je pod odpowiednim kątem między moimi wytrzeszczonymi oczami, a wspomnianą bezstopowością właśnie! – Dokuczały ci, to usunęliśmy. Przez nie małżonka odmawiała ci seksu. Brzydziła się ich zwyrodnieniu, przepocenia oraz konotacji z bólem. Przyznała się do tego. Ostatnio sporo rozmawialiśmy, a i tak największą zagadką pozostaje to, jak zdołałeś się w niej zakochać. Jedyne rozwiązanie jest opcja istotnych zmian w usposobieniu. Wpływu zaburzeń hormonalnych i podatności na depresję. Niektóre kobiety przemieniają się z osób radosnych, spragnionych życia, w zrzędlive wraki. Wy za to tkwicie w dziecińności, mężczyźni. Przynajmniej ty – pozwoliła sobie na uśmiech, a mi serce drgnęło, szok braku nóg odpuścił, tym bardziej, że zminimalizowany został tym, co ujrzałem w ich miejscu.

– Alleles Design – wytłumaczyła Pia. – Stylowe osłony na protezy. Twoje wykonano w steampunkowym stylu, z dekoracjami à la pawie pióra. I nie pasują do twojego charakteru, ale najwyższy czas nadciągnąć z odsieczą, pomóc ci wyhodować jaja. Muszę ci matkować. – Spojrzała na mnie raz jeszcze, jakby ponownie z uczuciem.

– A co z Kamcią? – Mówiło mi się trochę łatwiej. Umysł zdążył się rozbudzić, a i „cyborg to be” przykręcił otepiające leki.

– Jej też pomogliśmy. Definitywnie.

Skoro pomogli, to co się będę dopytywał.

– A co z pracą?! – Lęk spadł na mnie, ale umknął w kąt pod spojrzeniem humanoidki.

Tak, nie musiała nic mówić. W dalszym ciągu działały na mnie mechanizmy z początku wieku, kiedy to każdy Paddytrząsł się o posadę, bo wprawdzie recesja, a później robotyka (Jezusie nazareński, jak to piorunem wtedy poszło!). Dzisiaj wśród młodych dominuje kreatywność; niemalże każdy jest artystą i otrzymuje granty z ministerstwa sztuki, a starsi albo pracują z przyzwyczajenia (kłaniam się), albo przechodzą na wcześniejszą emeryturę (chyba niedługo się uklonię).

– Przeszedłeś na emeryturę. – Czyżby czytała mi w myślach?! Czyli kłaniam się razy dwa. – Wszystko zorganizowałam. W pracy i tak nic nie robiłeś. – Miała rację. Księgowość od lat trzydziestych wykonywana jest przez software, a przecież dobiliśmy już do sześćdziesiątych. W Irlandii program do księgowości połączony jest z urzędem skarbowym chyba już od dwudziestego roku! Nic nie trzeba robić, bo samo się robi. Przyjmujesz nowego pracownika i sru! Już siedzi w systemie z podliczonymi ulgami podatkowymi. Zwalniasz kogoś lub odchodzi na emeryturę, bo stuknęła mu czterdziątka? Sru! Wylatuje z systemu, a urząd skarbowy wysyła mu mailem potrzebne dokumenty. Jakby tak podliczyć czas faktycznie spędzony przeze mnie na pracy, to byłyby tego ze dwa dni w roku (akceptowanie aktualizacji oprogramowania oraz autoryzacja przelewów cięższych gabarytowo niż dwa tysiące euro). – Mieli ci nawet zasugerować emeryturę, bo zatrudnianie ludzi w twoim wieku przestaje się opłacać. – I znowu trafiła w dziesiątkę, Pusia moja. Jakaż ona zorganizowana! Jakaż pomocna! Faktycznie, przecież od rozmów o emeryturze już mnie w pracy uszy piekły. Każdy robot mnie o to zagadywał.

– A Kamcia? Ją też wysłałeś na zieloną trawkę?

– Z Kamilą posunęliśmy się nawet dalej.

– Głębiej! – dodał cyborg i strasznie go to ubawiło.

Tak strasznie, że Pia kazała mu się wynosić.

8

Do zdrowia wracałem pięćdziesiąt razy szybciej od moich wyobrażeń o amputacjach. Trzy tygodnie rekonwalescencji i skończyła się sielanka, a zaczęliśmy fizjoterapię. Zaimponowałem Pii, bo dawałem z siebie sto dziesięć procent (z nudów i z tego przymusu popisowy, który zawsze czułem przy kobietach). Całkowicie poddałem się jej woli, bo

uwierzyłem, że stara się mi pomóc. Pamiętałem każdą z odbytych rozmów, przez co musiałem zaufać samemu sobie, o co ponoć najtrudniej. Już tłumaczę: to ja ją ukształtowałem (poniekąd). Jej charakter, poza ustawieniami fabrycznymi, które dawno odeszły w zapomnienie, wyewoluował na drodze naszych pogadarek. Przecież nawet problemy wybierała sama, specjalnie pod moją osobę (stąd wściekłość na romantyzm)! Wierzę, choć możecie się z tego śmiać, że poczuła coś do mnie. Żałuję, że wcześniej tego nie zrozumiałem.

Popatrzcie sami: wypytywała o kochliwość mężczyzn, bo czuła, jak mocno się zadurzyłem! Mogłem się oszukiwać, mogłem mydlić oczy Kamili doprowadzaniem do kłótni, lecz maszyny nie oszukasz! Nie takiej z ludzką duszą, która zdążyła poznać cię na wylot. Nie z taką empatycznością!

Zadurzyłem się i nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić, zatem pomogła.

Choć radykalnie. Trochę...

9

Mogłem chodzić, a na protezy uzbierała ona (to dobre, więc posłuchajcie: odpitoliła zbiórkę w crowdfundingowym stylu! Zrobiła ze mnie fajtera, jakich mało! Rzuciła linijką tekstu o nieszczęśliwym wypadku – ale bez ogólników nawet, a co dopiero mówić czy pisać o szczegółach – i dołożyła jeszcze jedno marzeniach, żeby zainspirować innych, w podobnej sytuacji, którzy mieli za sobą nudną połowę życia doprawioną pechem. W zamian za wsparcie w sześciocyfrowej kwocie – które nadeszło już w ciągu dwudziestu godzin, sic! – miałem odbyć rowerową wycieczkę przez Saharę, ale po asfalcie, wzdłuż wybrzeża, czyli przygoda się szykuje, i to na kilka miesięcy!).

Pia zajęła się rozwiązywaniem i pozostałych problemów, tyle wiem. Wraz z cyborgłupkiem zagadywali podobnych mi dziadków na Messengerze i oferowali pomoc. Takich, co to nie zajrzą na ciemną stronę Internetu, bo w dalszym ciągu nie wiedzą jak. Cybcio – tak zacząłem go nazywać, bo lepiej było zasiać w sobie nutkę sympatii do tego bandyty, skoro i tak ciągle kręcił się po domu – pozwolił się przy tym ubezwłasnowolnić. Wykonywał polecenia, których sama Pia nie mogłaby wykonać w związku z zabezpieczeniami fabrycznymi. Nie dałaby rady działać na szkodę opiekunów, nawet dla ich wyższego dobra. On mógł. On to kochał.

Przemoc budziła w nim podobne uczucia, co we mnie Pia.

I dobry w tym był, bo uczył się szybko, dłonie miał pewne, umysł żądny wrażeń, w dodatku z tych, co to ociekają czerwienią. Zresztą, chwaliła go sztuczna inteligencja, a tę miał za Boga.

10

Kamile rozsypali w ogródku.

Chociaż nie, to byłoby nadużycie z mojej strony, bo jak popiół można nazwać Kamilą?!

Szczegółów nigdy nie poznałem, ale co tu poznawać? Uśpili (no dobrze: zabili), poćwiartowali ciało w wannie, a później ustawili tygiel na ogródku (widziałem przez okno, ale nie odważyłem się zejść, bo czułbym się podle, że biorę w tym udział) i zaczęli zabawę z palnikami acetylenowo-tlenowymi (ponoć żeby spopielić kościkoniczne są temperatury rzędu półtora tysiąca stopni!).

Cyborgowi nawet coś raz nie wyszło, bo za bardzo celował w beton tygla i ten nagle popękał, i strzeliło mu w oko! Ale miałem na górze ubaw, aż popuściłem w łóżko!

Teraz to dopiero cyborg, odkąd ma podobne do robotki oko!

11

Mieszkaliśmy pomiędzy Thomastown a Knocktopher, a do Callan było ode mnie ze dwadzieścia kilometrów, czyli do pracy blisko. Dom stał na odludziu, i to takim, jakie znajdziecie tylko w Irlandii. W skrócie: odbijacie z drogi głównej tuż przed zjazdem na autostradę Dublin-Waterford i po minucie poginacie dróżką, którą przed zarośnięciem chroni zaledwie garstka jeepów.

Wybudowano tu wprawdzie kilkanaście domów wzdłuż drogi na wzgórze, ale przypadał tak gdzieś jeden na kilometr. My swój dostaliśmy z przydziału, jako socjalny, co to nikt go nie chciał, bo do najbliższego sklepu pół godziny na piątym biegu, a jak śnieg spadnie (zdarzało się mega rzadko), to jedynie traktorem w drogę. W dwudziestych przydzielali takie perełki, a ja, emigrant, połakomiłem się, bo po pierwsze wielki metraż i już po dziesięciu latach można wykupić za bezcen, a po drugie... W sumie nie wiem, co po drugie, bo to, że wielki metraż i za bezcen wystarczyło. Oczy się nam zaświeciły, a później każdej zimy próbowaliśmy go jakoś ogrzać...

Nie było nas na mapach, nie dojechało tu nawet Google. Nie dotarła i policja (wciąż zwana Gardai), bo i po co? Wypadki chodzą po ludziach, szczególnie tych, co zakupili roboty.

Dużo wypadków, pewnie z pierdylion, aż sami zatrudnili roboty do pomocy, co mnie podwójnie bawi, bo te nie podejmą się śledztwa, jeśli nie będzie zgłoszenia, a nie otrzymali zgłoszenia w naszej sprawie.

Dlaczego?

Proste. Do pracy nie musieliśmy chodzić, bo Pia i emerytury, a na ewentualne wiadomości (dosłownie trzy, bo nie należeliśmy do dusz towarzystwa, choćby własnego) odpisywała tak zdawkowo, że nikt nawet nie raczył ponownie o cokolwiek zapytać. Sąsiadów praktycznie nie widywaliśmy, bo te domy to w większości mieszkania socjalne – czyli mieszka w nich hołota, która zostaje zastąpiona inną hołotą, równie niepłacącą czynszu. Dla tych ludzi pozostawaliśmy niewidzialni, więc i zniknięcie Kamili nie miało znaczenia.

Pia wytłumaczyła mi, dlaczego nikt nie pyta o wypadek. Opisała projekt zbiórki w Internecie, ze wzmianką o nieszczęściu, po którym zostawiła mnie żona (tak prościej, niż wytłumaczyć się z popiołu). Czyli mocny, w dodatku podwójny kaliber. Coś jak powiedzenie komuś, że chorujesz na raka oraz miewasz ataki padaczki. Przecież nikt nie poprosi o zaświadczenie lekarskie. O pewnych rzeczach się nie kłamie!

Pomyślcie, kto obciąłby sobie nogi?

Dlatego nie zgłoszono przestępstwa, nie szukano Kamili, nie wypytywano mnie o wypadek (Pia kazała mi zasłaniać się traumą pourazową i niepamięcią).

W dodatku humor mi wrócił, ponieważ chodziłem coraz lepiej, biegałem nawet, i to bez bólu! Cyborg spoglądał na mnie z coraz większą sympatią łamaną przez zazdrość, bo zaimponował mu nowy ja, pewniejszy siebie, jakby młodszy, okrojony z cierpienia i małżeńskiego terroryzmu. Zaprzyjaźniliśmy się nawet. Dlatego zaproponowali mi aktywny udział w działalności. Nic wielkiego, bo w dalszym ciągu posiadałem nadwrażliwe sumienie.

Dopiero reklama naszej firmy na koszulce (gdy rozpocząłem podbój rowerowy Afryki) zaalarmowała detektywa z Knocktopher. Ale nie mam się czego obawiać. Pia już z nim porozmawiała. Chłop miał żonę, a pensję niską oraz szefa robota. Nadszedł czas, żebyśmy zadziałali pro bono.

Zadziałaliśmy i nigdy więcej nie mieliśmy problemów z policją.

Dlatego nie ciągnie mnie więcej do kobiet, które to zalewają nas, biednych mężczyzn, pretensjami o to, że jesteśmy... biednymi mężczyznami.

Na szczęście wyewoluowały w roboty!

Callan, sierpień 2018



SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

MISTERIUM GROZY

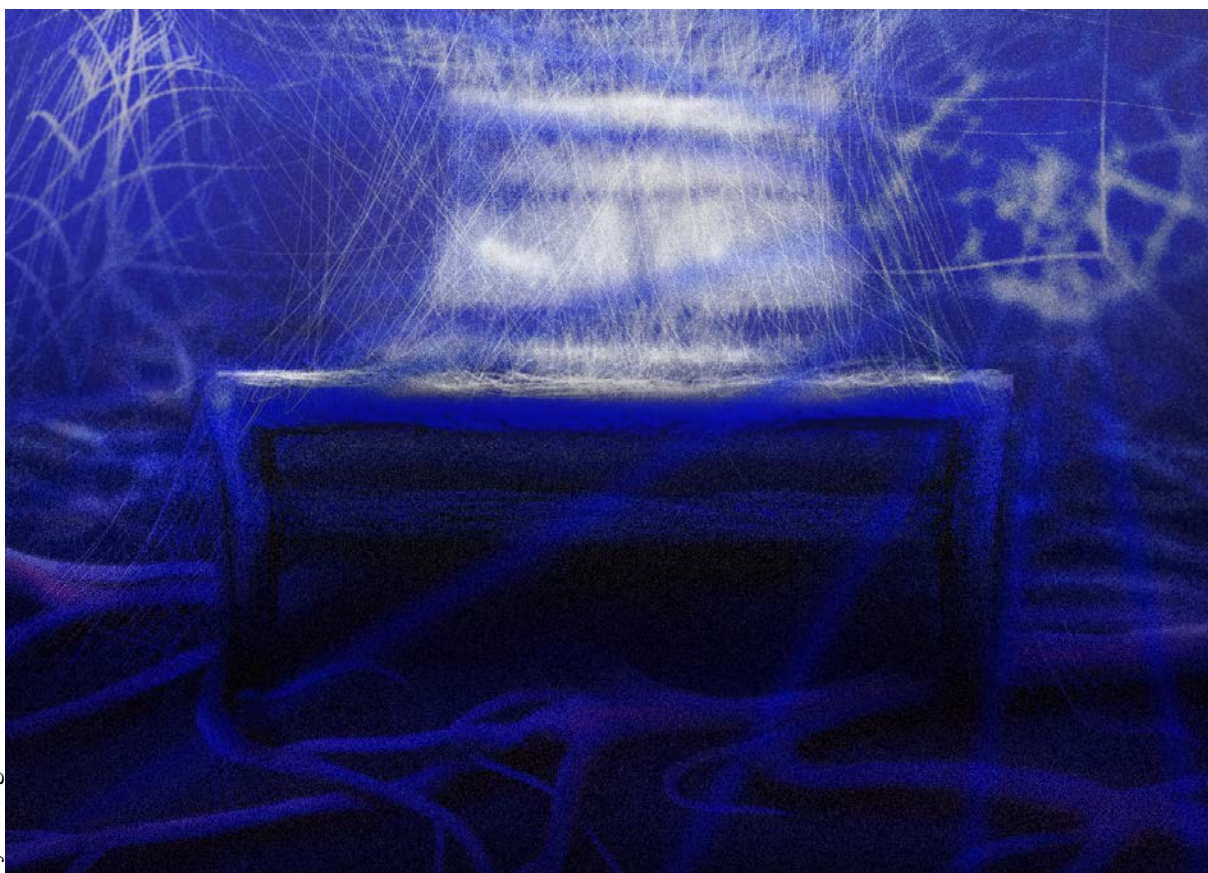
Howard Phillips
Lovecraft

Twórczość H. P. Lovecrafta jest dobrze znana polskiemu czytelnikowi, jednak zebrane w tej książce utwory w większości nie były publikowane lub miało to miejsce w niedostępnych już wydawnictwach. Większość z nich to opowiadania pisane wspólnie z innymi autorami. W *Wyzwaniu z Innego Świata* po raz pierwszy również prezentujemy wszystkie humorystyczne utwory Mistrza.

**WYZWANIE
Z INNEGO ŚWIATA**

WYDAWNICTWO
IX

wydawnictwoix.pl
misteriumgrozy.pl



SREBRNA ŻRENICA

Justyna Bendyk

Dni, godziny, minuty i sekundy tańczą ze sobą, zacierając granice swoich ciał.

godzina pierwsza

niebieskie pajęczyny

Samotność przygniotła mi pierś jak dzika bestia. Przez jakiś czas zastanawiałam się, czy będę mogła z tej chłodnej, ledwo żyjącej pasji w ogóle zrobić jakiś użytek. Uczucia postarzają bardziej niż czas. Powoli wodziłam oczami po suficie, szukając kolorów

w rzeczywistości. Miałam wrażenie, że każdy dzień piszczy pod moimi palcami jak śliski papier, którego nie znoszę, w książkach, których nie kocham.

Jego zdjęcie krwawiło od kilku dni, podobnie jak ściany pokoju. Jakiś rodzaj niebieskiego płynu, jakby deszcz anielskich lub demonicznych łez, nawiedził to wnętrze. Kolorowa, płynna materia sycąca powietrze zapachem wnętrzości.

Nie zapalałam już lamp, świeczek, poddałam się dla światła. Sklep, tam w dole, poniżej krętych jak DNA schodów, pod moimi stopami, powoli umierał. Czułam na swojej skórze jego ostatnie oddechy i słodki zapach czekoladek. Receptury przekazywane od prababki do babki i do serca wnuczki powoli traciły kolory na policzkach.

Westchnęłam, a pył, rozsypany na stole jak kary tarota, zwiastując moją śmierć, wzbił się w powietrze. Głośno. Zbyt głośno.

Po okrytych ciepłym, puchatym pyłem parkiecie ktoś chodził, poruszał się w rzeczywistości tak po omacku, jak ja.

45.

Spojrzałam na moją rękę z czterdziestoma pięcioma kreskami. Kalendarz był o kilka spojrzeń za daleko. Powoli ustawiłam moje kości w porządku, zapaliłam świecę – przycisk włączający światło także był zbyt odległy. Opromieniłam moje policzki delikatnie przytłumianym blaskiem, sztucznym dniem.

– Nie sądzisz, że cisza jest tu za głośna? – krzyknęła jakaś kobieta.

Sprowadziłam światło drżące w mojej dłoni po schodach, odkrywając jej pomarszczoną twarz, zaciśnięte usta, nawet gdy mówiła.

– Ciemno za dnia, ciemno w nocy, piekło – wycharczała.

– I słodczy, za dnia, w nocy, piekło.

– Tylko cisza, bez słodkości – odparłam cicho. – Jak babcia tu weszła?

– Obecnością, moja droga, obecnością ciemności! I ta słodkość. Tylko w słodkość wbijają się pazury.

Spojrzałam na to, jak przeciętnie wyglądała, powoli orientując się, że ja muszę wyglądać dużo bardziej zwyczajnie, wyblaknięta, jakby „znoszona”, jak duch. Nie wiem, po co tu jeszcze dryfuję. Ostatnie dni właśnie to przypominały. Podejrzenie materialną śmierć.

– Tęsknisz za słodkością? – warknęła, zapalając ogień wewnątrz dłoni i parząc mój policzek. – Tęsknisz?!

Po chwili wzięła oddech, tłumacząc się:

– Wybacz mi złość, to brak, odcisk paszczy samotności na moim życiu.

Pomyślałam, że ja z samotności nie potrafię już rozpoznać człowieka. Odwinęła pазłotko z cukierka, po czym wcisnęła mi słodycz do buzi. Zateśniłam za słodkością. Wpadłam w sieć trupioniebieskich, żyłastych pajęczyn.

godzina druga

żywa jesień

– Po prostu powiedz mi, który kawałek umysłu kochasz najbardziej – powiedziała, a ja miałam wrażenie, że wiatr szarpie mój umysł tak, jak poruszał tkaninę spódnicy babci. Ktoś oddychał tu żywo, ale nie ja. To ta kobieta była aż nadmiernie żywa w swojej jesieni.

Babcia, dostrzegając moją myśl, wątpliwość ułożoną na stole jak jedna z czekoladek, szepnęła, szeleszcząc jak papiererek, który odwijają ze słodyczy:

– Myślisz że słodycz umiera, tam w środku, pośród myśli, a ona się po prostu chowa. Musze cię jednak ostrzec. Jest cena za wskrzeszanie odczuć.

– Myślałam, że to wskrzeszanie zmarłych jest wycenione i oprocentowane – odparłam, wpatrując się w słodkości i starając się przypomnieć sobie, jak to jest mieć słodkie myśli.

– Zamknięte drzwi.

– Cena – prychnęłam – to codzienność.

Policzki babci zarumieniły się w złości, a ja pomyślałam, że podsycaam życie wszystkich, oprócz mojego.

– Zamknięte drzwi. Zamknięty pokój pełen słodkości, aż brzuch będzie bolał.

– Mam wrażenie, że podsycając ból od pewnego momentu już go nie czujesz. Nie wiesz czy to jeszcze rześisty deszcz, czy może już ocean.

Babcia podrapała się po głowie, rysując ostrymi paznokciami jakiś znak na swoim czole. Ku mojej rozpaczy, czekając na tego, kogo kochałam, powiedziałam po prostu, że ta zdolność z piekła wygląda jak znak jakiejś marki. Czasami żałuję, że przestaliśmy być naiwni. Czasami... Zawsze.

– Podaj mi jego kolor, smak... – piszczała jak dziecko błagające o zabawkę, ale po chwili zrozumiałam, że to musi być demencja – ach, nie, nie.... wygląd, dziecko.

– Zdrada.

– Jestem czarownicą dziecko, ale taką... fair. To jedyne nowe słowo jakie znam.

– Nie mówię o babci. Babcia jest bardziej materialna i niemagiczna niż ja.

Po raz pierwszy spojrzała na mnie uprzejmie.

– Ach... tak.

Podniosła tacę z cukierkami, wsypując wszystkie czekoladki na raz do ust.

– Spragniona. – Spojrzała na mnie przepaszająco.

– Ja też... uwagi. A on śledził mnie uważnie, mając co ukryć. Ja też go śledziłam, prześladowałam, może... ale z innych powodów.

– Tych samych... – szepnęła babcia do siebie. – Tych samych potrzeba serc, by się kochały.

– Co jesteś w stanie wyczarować, z tych... resztek życia?

– Mówisz o mnie czy o sobie? – Czarownica wsypała do ust następną stertę czekoladek. – Klucz – dodała, a ja zdjęłam z szyi metalowy przedmiot, i sznurek, stryczek.

– Wyczarować mogę z tej wagi... Czterdzieści pięć... może dwa dni, dwa dni słodkie. Potem, szarość, ponownie.

– Nie mam wyboru, muszę zawierać znajomości ze słabymi ofertami.

– Istotnie – uśmiechnęła się, rozpluwając się w powietrzu, ginąc jak zapach stygnącego czekoladowego napoju.

godzina trzecia

deszcz z kolorów strzepniętych ze spódnicy

Siedział na łożku powyżej mojej głowy, myśli, powyżej spirali schodów w kształcie , jakimś sposobem to wiedziałam. Czy jego myśli były tak samo ciężkie jak jego ciało?

– Tani sposób – powiedział, gdy jego wzrok objął mnie chłodno.

– Babinka... ta sąsiadka... sąsiadka matki... złośliwa sąsiadka... Jaką potworną cechę zdołałaś wyhodować tam w środku?

– Słodkie... – westchnęłam, pytając wszechświat, co to jest i co to właściwie ma znaczyć.

– Jej czar nie objął jeszcze całego domu i zaraz się zamknę – odparł szorstko, a ja patrzyłam, jak jego oczy stają się cieplejsze, jak jego policzki się rumieniają.

Strzepnij kolor ze spódnicy, szepnął.

Wtedy, gdy go poznałam, moje życie, tak jak teraz, utkane było z iluzji. Cierpiałam na dziwnego rodzaju zaburzenie. Moje odbicie falowało za każdym razem, gdy patrzyłam w lustro. Niestabilność emocjonalna? Bogata wyobraźnia? Wkrótce moją wyobraźnię

zamknięto w tym sklepiku, sklepiku marzeń dzieci, samotnych starców. On nie pasował do profilu kupującego, do mojego profilu.

Pokochałam go, kiedy jako jedyny ze znanych mi mężczyzn, mężczyzn, którzy chcieli mieć cokolwiek ze mną wspólnego, popatrzył w lustra dłużej. Z uwagą. Naiwnie wierzyłam, że widzi to samo. Czasami powinnam pomyśleć... ech, babcia i te jej *nowe słowa na stare problemy*... powinnam pomyśleć, że byłam *too cool to know him*. Ale my rozmawialiśmy o generacjach, dziedzictwach, pieprzonych żywych telenowelach, zamiast mówić najęcie o tym, co jest tak prywatne, że powinno być opisane w książce o rozmiarach Biblii.

Strzepnij kolor ze spódnicy, szepnął ponownie.

Jak miliony razy, kiedy mówiłam, że to odbicie fałuje jak miliard tęczy, kolory zbyt ciężkie dla mojej duszy.

Niebieskie pajęczyny splezły z sufitu, tworząc pod łóżkiem kałuże i wpychając mnie na zmiętą moim smutkiem pościel. Wtuliłam się w ciepłe ciało. Może przyjemne, przytulne, żarzące się ze złości, nie obchodziło mnie to. Atramentowa krew powoli formowała historię, Romeo i Julię, którzy dotknęli bruku, mojego parkietu. Sieć krwistych pajęczyn układała się w litery, polowała na słowa.

On czytał. Powoli formował sylaby, tak jakby na nowo tworzył naszą miłość.

– Opowiedz mi o sobie – powiedział. Miałam wrażenie, że słyszę to pierwszy raz w życiu, a biorąc pod uwagę, że mój umysł był tak samo zmacony smutkiem, jak i orzeźwiony tym odczuciem, być może właśnie przeżuwałam ten niewygodny fakt, a nie jedynie wrażenie.

– Nie masz wrażenia... że cisza w tym pokoju... aż boli? – jęknął.

– Co mogę zrobić, by uprzyjemnić ci minuty... ludzie tylko na tyle mają czas, tylko na tyle mają czas wiedźmy.

Zdrap mi twarz, daj mi nową, zostaw tylko moje usta, trochę twojej miłości, chciałam powiedzieć, wdychając tę próżnię, bolesną ciszę.

– Nie kupiłaś chyba nicości, kochanie, prawda? – zapytał z troską.

– Chyba kupiłam... ciebie – odparłam beznamiętnie.

– Co możemy zrobić... żeby ta cisza miała ciało... była znośna...

– Krwawiła...

– Raz byłem na wojnie... – powiedział powoli, a ja miałam wrażenie, że moje odbicie w jego oczach staje się wyraźniejsze.

– I tam ludzie zachowywali się tak zwyczajnie, jak w codziennym życiu. Nie mam pojęcia, czy tego nie wymyśliłem. Opowiadam ci bajkę, kochanie, może.. wiele... opowiadałem. Cztery ściany słuchają.

godzina czwarta

krewna na wielobarwnych policzkach

– Jeden z tych, którzy byli na tej wojnie, podał mi swoje oko, mówiąc, że mam go widzieć. Nie zrozumiałem szaleńca, wiesz. Ludzie szaleją na wojnie.

– Szaleją w codziennym życiu – wtrąciłam się. Objął mnie ciaśniej, a niebieskie... żyły... powoli nadal obejmowały podłogę pajęczą siecią, tuliły ją. Może wyrwane z mojego ciała pozwalały mi się w końcu zadomowić tu, gdzie byłam. Dom jest tam gdzie serce, tak, ale... niestety... twoje serce może być w cudzych rękach. Rzadko jest w twoich, może.. nigdy. Moje było za długo w rodzinie, potem w miłości o fakturze ostów, nigdy na łące.. w słońcu...

– I te jego źrenice świeciły... jak Słońce... więc powiedziałem, czemu nie, no ciemno było, no nie... kochanie?

Pogłodziłam go po policzku. Ciemno było, ciemno jest, ale jest też głośniejsze, jakbym słyszała swój puls. To nie ma znaczenia, że to twoje słowa, nasze pulsy też są cudze. Ta przeklęta, nierozzerwalna, pajęczna sieć. Myśli, splątane i zależne od siebie jak żyły, myśli moje i cudze jak jeden organizm. Frankenstein.

– No i on przemienił się we wróżkę, płęć zmieniał, no wszystko zmieniał... no nie... kochanie... żeby mnie zabawić. Zabawny to był człowiek, o zabawnym, szalonym umyśle, naprawdę. Jeszcze nigdy nie widziałem nikogo, co by mnie kochał tak jak on, patrzył na mnie cierpliwie jak Słońce, nawet jak się nie zmieniam, jak gniję. Dlatego to bajka, nie?

– Powiniennem opowiadać ci więcej takich słodko-gorzkich bajek, to może byśmy miłością później wymiotowali, no nie, kochanie? Tak dla równowagi.

– A co to? Jakaś bajeczka na podłodze? – Pokazał w kierunku liter, dziwnie stabilnej, mówiącej krwi, która nie zniknęła. Pragnienia nie znikają w szaleństwie.

– Bajeczki ten dom opowiada beze mnie.

– Opowiadał – westchnęłam.

– Te ściany... więdną jakby.

– Tylko ściany z czasem są mocniejsze.

– To, czego się boisz, jest przyjemne? Twoje życie... jak horror... może być przyjemne?

– Teoretycznie.

Oplótł mi powoli ręce wokół szyi.

– I ciaśniej, ciaśniej, ciaśniej... wszyscy, którzy kochają, chcą, by rzeczywistość owijała się ciaśniej wokół ich myśli. A trzeba trzymać dystans, no nie, kochanie? Co jeszcze chcesz, żebym zrobił? Zatańczył? Udał, że życie to cyrk? Powiedział to naprawdę? Sprawił ci dziecko? Potworka? Fantazje o demonach? Cztery ściany wszystko zniosą, i głośno będzie, gwarno, ciepło od ciał i oddechów, i uczuć, i ciągle koszmarne. Ci w zakonach jedno dobrze wiedzą, że błogosławią ciszę.

– Te śluby, by być wiernym tylko myślom – westchnęłam. – Tylko fantazjom – dodałam. – Nie trzeba być w zakonie by to czynić. Można w piekle... domu.

Wychylił się w kierunku krwawych pajęczyn pod naszymi stopami, pod naszym łóżkiem, echem miesiąca miodowego, mówiąc:

– Do kitu ta historia! *Strzepać, strzepać kolory ze spódnicy!* Ta krew, wstrętne krew, na ciałach, na myślach, ta wojna, wojna, nawet w czterech ścianach!

W domu zaczęły bić sekundy, ożył zegar, ożywał powoli, cicho szepejąc, jak moje serce.

Nagle... przyszła rozstrzygająca sekunda.

Ocean jego krwi, mojej krwi, moich myśli? Póki on majaczy gdzieś, wszystko mi jedno. Wszystko mi jedno, dla kilkudziesięciu minut.

– Ale pochowaj mnie... Pochowaj mnie, po tej nocy słodkości! – wyjęczał, prawie jakby mnie kochał. Gdyby tak jęczały dnie, lata, mojego życia... A tak mówiła do mnie tylko cisza. Próżnia, pustka pomiędzy komorami mojego serca, której tam nie powinno być.

godzina piąta

deszcz pазłotek w pięciu ścianach

Co pozostało? Przymuszona jakimś dziwnym pragnieniem wcisnęłam palce pod powieki, czując, jak moje źrenice szeleszczą, a ściany pokoju powoli konsumuje ciemność. Szeleszczą, jak deszcz za szybą.

– Pazłotka – powiedział, wrywając mi oczy z rąk.

– Ubierz mnie, kochanie. Ubierz mnie w słodkości – wyszeptał szorstko.

– Ile widzisz ścian? – zapytałam, wstając niepewnie.

– Żeby ciebie pochować należycie, tak jak babcia przykazała, muszę wyjść na zewnątrz.

– Gdzie jest dziura w ścianie? Drzwi? To masz na myśli? – Jego ciało powoli stygło, tak jak i jego zainteresowanie moim szaleństwem.

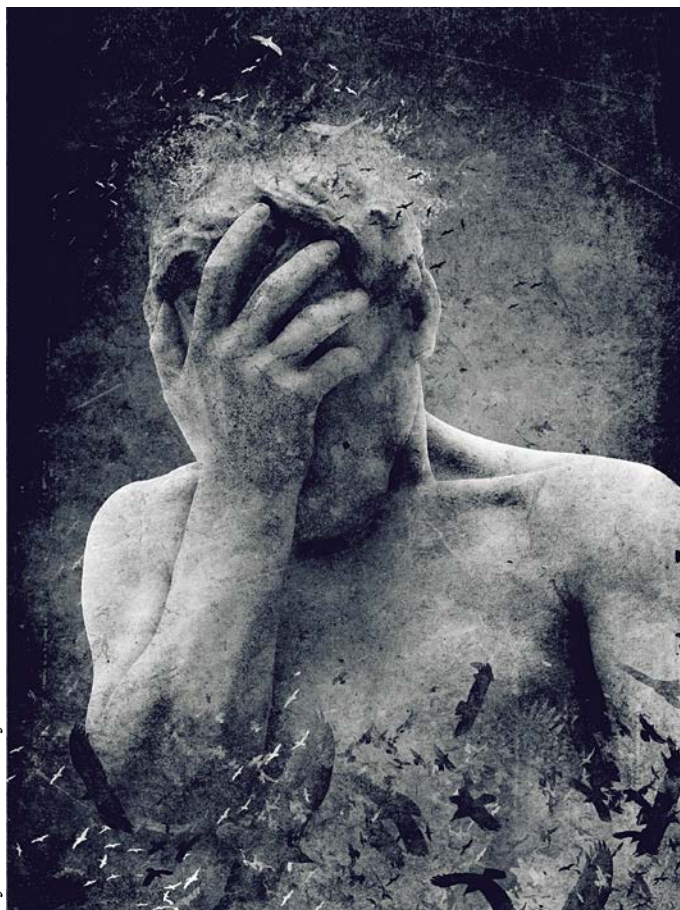
– Tak, tak – powiedziałam, słysząc jak moje spojrzenie szeleści w jego dłoniach.

– A gdzie jest klucz, kochanie? Nie oddałaś tego pazłotka czasem babci?

Wzięłam garść pazłotek, powoli szukając mojego gardła, bo moje ciało było mi obce. Brak klucza, papierki, w których nie było już słodczy. Powoli zarysowałam na moim ciele i duszy niepewną, czerwoną linię. Szkicowałam śmierć. Jego postać zniknęła, tonąc z każdą minutą w moim prochu.

Zanim moja ręka zastygła w bezruchu, cienka linia wygięła się pod listą dni w napis *lat.*

rys. Dawid Boldys



STRÓŻE

Michał "Skolioty" Tomczyk

Alea iacta est
- Kości zostały rzucone

Rosja, Kazym
06.02.1997

Witaj.

Doskonale rozumiem zaskoczenie, jakie może wywołać w człowieku list od nieznajomego. Liczę jednak, że przeczytanie tych pierwszych słów nie będzie skutkowało wyrzuceniem go do śmieci. By zrozumieć całość, potrzebuję wpierw wyjaśnić pewną kwestię.

Jako młody człowiek, często bywałem w różnych barach, z czego jeden najbardziej przypadł mi do gustu. Znajdował się przy drodze prowadzącej do Kazhymu, mojego rodzinnego miasteczka. Jako dwudziestopięcioletni chłopak, spędzałem tam większość wolnych chwil, przychodziłem dla zwykłego oderwania się od szarej i ponurej rzeczywistości. No i oczywiście dla niej. Natasza była barmanką, pracowała na pełny etat. Jej oczy działały na mnie bardziej kojąco niż niejeden drink, podawany przez nią. Praca w takim miejscu nie była dla niej spełnieniem marzeń, ale potrzebowała pieniędzy. Chciała wyjechać do Moskwy na studia. Nieraz siedzieliśmy ponad godzinę po zamknięciu, rozmawialiśmy o naszych marzeniach i planach na przyszłość. Aż do owego dnia...

Jak zwykle przyszedłem późnym popołudniem i zająłem swoje ulubione miejsce na wysokim krześle przy samej ladzie. Natasza powitała mnie uśmiechem i postawiła przede mną butelkę piwa korzennego. Chwilę porozmawialiśmy, po czym Igor, jej szef, zawołał ją na zaplecze. Oprócz mnie w barze były może trzy, cztery osoby. Zima przyszła dość szybko w tym roku i ostry, lodowaty wiatr skutecznie odstraszał ludzi od wyjścia z domu.

Po jakimś czasie drzwi wejściowe otworzyły się, a zimny podmuch wdarł się do pomieszczenia. Do środka wszedł zgarbiony mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat. Powłócząc nogami, podszedł do lady i usiadł na krześle obok mnie. Cały przesiąknięty był wonią notorycznego pijaka, którego życie w końcu dopadło. Oparł obie ręce na blacie, po czym spojrzał na mnie. Jego twarz poznaczona była wieloma sińcami, a oczy zapadały się gdzieś w głębi siwiejącej czaszki. Nie potrafię określić brzmienia jego głosu, choć wiem, że nigdy go nie zapomnę. Początkowo odezwał się do mnie standardową pijacką gadaniną. Przedstawił się jako Iwan i wyciągnął do mnie rękę. Odwzajemniłem przywitanie. Następnie zaczął wygłaszać swoje poglądy życiowe. Jaki ten świat jest zły, ponury i niesprawiedliwy. Nie odpowiedziałem nic. Po chwili zamyślenia spojrzał na mnie podejrzliwie, jakby chciał wdrzeć się do mojej głowy. To, co nastąpiło w ciągu następnej godziny, na zawsze zmieniło moje życie, choć, zapewniam, ani przez chwilę tego nie pragnąłem. Starzec opowiedział mi historię swojego życia.

Jak sam zauważył, wszystko zaczęło się od ptaków. Od zawsze stanowiły jego pasję. Uwielbiał je obserwować i uczyć się o nich. W wolnych chwilach jeździł w różne miejsca w pobliżu Kazhymu, by móc je fotografować. W lasach najczęściej było kowalików i sikor, a na łąkach obserwował gęsi oraz kaczki lecące kluczami na wschód. Pewnego razu wybrał się swoim jeepem na wzgórze, za miasto. Wznosiło się ono na dobre czterdzieści metrów ponad otaczające je pola. Na jego szczycie stała stara, radziecka wieża przekaźnikowa i niczym Babel pięła się wysoko pod niebiosa. Na owym bezimiennym wzgórzu mężczyzna

był wtedy po raz pierwszy. Zaparkował przy drucianym, dziurawym ogrodzeniu okalającym wieżę i udał się na spacer z aparatem wiszącym na szyi. Po niespełna 30 minutach zaczęło się ściemniać, więc wrócił do samochodu. Przekręcił kluczyk w stacyjce, a silnik wydał cichy warkot. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie dźwięk wydobywający się z CB radia, w które wyposażony był jeep. Z krótkofalówki dobiegał cichy, ale wyraźny odgłos ludzkiego oddechu. Zdezorientowany podniósł ją z uchwytu i, naprężając spiralny kabel, przyłożył do ucha. Z początku nie potrafił zrozumieć, czym dokładnie jest słyszany przez niego dźwięk, aż do chwili, gdy usłyszał kobietę. Dziewczyna była przerażona, nie potrafiła wyraźnie mówić, jej głos załamywał się momentami. Przyspieszony, głośny oddech wskazywał na to, że musiała biec. W tle słychać było dźwięki łamanych gałęzi i zgniatanych suchych liści. Kobieta płakała i błagała o pomoc. Mimo wielu prób nie chciała lub po prostu nie potrafiła określić, co dokładnie się dzieje. Nie odpowiedziała, gdy pytał, gdzie jest, co dokładnie się dzieje ani nawet jak się nazywa. Powtarzała jedynie bez końca, że już nie ma siły, nie ma siły dalej biec, a ON jest coraz bliżej. Nie udało mu się ustalić, kogo miała na myśli. Od początku rozmowy nie podała praktycznie żadnej informacji.

Słońce zachodziło już za linię drzew. Iwan przez chwilę zmagał się z samym sobą, chciał po prostu wyłączyć piekielne radio i jechać do domu. W duchu klnąc na siebie, odrzucił tę myśl. Był przerażony i czuł, że drżą mu ręce, a na czoło występują krople potu. W myślach próbował się uspokoić. Uświadomił sobie, że od paru minut kobieta nie wypowiedziała ani słowa. Zadał więc pytanie, czy dalej tam jest. Odpowiedziała cichym szeptem:

– Ukryłam się. Schowałam tam, gdzie mnie nie znajdzie. – Po chwili dodała: – Myślisz, że mogę tu zostać?

Iwan nie potrafił mi dokładnie opisać, co poczuł w tamtej chwili, ale najlepiej można to określić jako rodzaj przecucia. Zrozumiał wtedy, co ma robić.

– Tak – odpowiedział – tu będziesz bezpieczna, odpocznij.

Mimo wielu lat myślenia o tamtym dniu, nie potrafi zrozumieć, co nim wtedy pokierowało. Następnie znów usłyszał głos kobiety, lecz teraz brzmiał zupełnie inaczej. Był czysty, spokojny i rozbrzmiewał jakby echem gdzieś z oddali. Iwan miał wrażenie, jakby słyszał najszcześliwszego człowieka na ziemi.

– Dziękuję ci, teraz już wszystko będzie dobrze. Czuję to.

Po chwili uświadomił sobie, że dźwięki zaczęły milknąć, jakby oddalały się gdzieś w przestrzeni. Po paru minutach zapadła cisza. Iwan wyłączył radio i wciąż drżącymi rękami objął kierownicę. Po piętnastu minutach był już w swoim domu.

Mieszkał sam. Nie miał żony ani dzieci, choć nie wspominał dlaczego. Resztę wieczoru spędził w swoim fotelu w salonie. Wsłuchując się w trzeszczący w kominku ogień i, nalewając sobie kolejne kieliszki, próbował jednocześnie zapomnieć, jak i zrozumieć to, co się stało. Po jakimś czasie, zamroczony alkoholem i psychicznie wyczerpany, zasnął, śpiąc snem spokojnym.

Następnego dnia, mimo początkowych obaw, postanowił powrócić na wzgórze, by dokończyć fotografowanie. Wybrał jednak porę wcześniejszą, nie chciał ponownie znaleźć się tam po zmroku. Jepea zaparkował w tym samym miejscu, a przed zgaszeniem silnika upewnił się, że CB radio jest wyłączone. Początkowo udał się wydeptaną ścieżką, prowadzącą w dół zbocza wzgórza, a następnie, ugniatając wysoką na pół metra trawę, okrążył całe wzniesienie. Przed oczami przelatywały mu stada wróbli i pojedyncze kosy. W koronach okolicznych drzew przez obiektyw aparatu udało mu się dostrzec siedzące dumnie gawrony. Po około godzinie wrócił do auta z zamiarem powrotu do domu. Wsiadł do środka i odpalił silnik. Oprócz charczącego warkotu nie dotarł do niego żaden dźwięk. Radio było wyłączone. Gdy podczas swojej opowieści doszedł do tego momentu, zaklął tak, że wszystkie oczy w barze zwróciły się w naszą stronę. Odwzajemnił wrogie spojrzenie, po czym kontynuował opowieść, ścisząc nieco głos.

Był wtedy sam, sam jeden na wzgórzu i w aucie. A wydawało mu się, że słyszy tysiące głosów. Wszystkie go wołały, powtarzały jego imię. Był zahipnotyzowany, ale widział wszystko i wszystkiego też był świadom. Nie potrafił rozróżnić, czy to jakaś niepojęta siła, czy jego własna wola kładzie palec na radiu i przesuwają przełącznik.

Z głośnika krótkofalówki dobiegały zakłócenia. Zwykły szum, jaki spotkać można w każdym źle wyregulowanym radiu. Iwan poczuł wtedy, jakby wielki głaz tkwiący w jego klatce piersiowej wreszcie wy dostał się na wolność, przynosząc mu ulgę. Uśmiechnął się lekko do siebie i wyciągnął rękę, by z powrotem wyłączyć urządzenie. Jednak, zamiast na przełączniku, jego palec spoczął na pokrętle do regulowania dźwięku. Iwan pogłodził nieco przekaz, przez co całe auto wypełniły dźwięki niezrozumiałego szmeru i trzasku. Po chwili wsłuchiwanie się w tę hipnotyczną symfonię zrozumiał, że jest mu ona całkiem znajoma. Tak samo brzmia rozpadające się w ognisku patyki i gałęzie. Ale tu było to na większą skalę. Nagle monotonię dochodzącą z radia przerwał przeraźliwy, przesywający krzyk. Należał do dorosłego mężczyzny, a przynajmniej taką miał tonację.

– Błagam, pomóż mi – krzyczał – wszędzie jest pełno dymu!

Iwan początkowo nie wiedział, co robić. Po chwili nieco oprzytomniał i zaczął przypominać sobie poprzednią rozmowę. Pomyślał, że może i tym razem rozwiązanie jest

dokładnie takie samo. Poradził mu więc, załamującym się głosem, aby się uspokoił i poszukał jakiegoś bezpiecznego miejsca. Jednak w odpowiedzi usłyszał tylko:

– Jakiego cholernego miejsca?! Tu nic nie ma! Tylko palący wszystko ogień. Nie ma już ścian ani sufitu, wszystko stało się ogniem i dymem!

Od tej chwili sparaliżowany strachem Iwan nie potrafił wydobyć już z siebie ani słowa. Słuchał tylko ciągłych błagań i wrzasków. Mężczyzna przytłumionym głosem powtarzał w kółko:

– Pomocy! Kurwa, człowieku, zrób coś! Proszę, nie zostawiaj mnie tu. Już prawie nie widzę.

Po paru minutach nawoływania ucichły, a w ich miejscu pojawił się przeszywający wszystko wokół krzyk agonii. Mężczyzna wydierał się najokropniejszym wrzaskiem, jaki Iwan kiedykolwiek słyszał. Przerażony wyskoczył z auta i upadł na ziemię. Odczołgał się na parę metrów i, dysząc, wpatrywał się w samochód. Nie pamiętał, ile dokładnie czasu to zajęło, ale radio w końcu zamilkło, a ostatnim dźwiękiem, jaki się z niego wydobył, był zdławiony krzyk palonego żywcem człowieka.

Iwan dopiero po chwili oprzytomniał i choć trochę doszedł do siebie. Rozejrzał się, a na jego twarzy pojawił się wyraz niewyobrażalnego zdziwienia. Słońce już prawie całkowicie skryło się za horyzontem, nastąpiła noc. Wtedy przypomniał sobie głosy, jakie słyszał po wejściu do jeepa. Te same, które kazały mu włączyć CB radio. Wszystkie go wołały, powtarzały jego imię. Był zahipnotyzowany, ale widział wszystko i wszystkiego też był świadom. Według Iwana, to właśnie wtedy czas przestał dla niego istnieć, a sama rozmowa zaczęła się wraz z zachodem słońca. Myśli kłębiły mu się w głowie niczym gniazdo węży. To nie miało sensu...

Powrócił do domu, gdzie przez parę godzin, tak jak poprzedniego dnia, siedział w swoim fotelu. Nie rozpałał tego wieczora w kominku, choć noc była chłodna. Miał dość ognia, jego widoku, a nawet samego dźwięku. Po jakimś czasie, wyczerpany, poszedł do swojej sypialni i położył się spać. Ta noc stała się dla niego groźbą, uświadomiła mu ciężar, jaki na nim spoczął. Iwan zasnął, lecz nie był to sen spokojny. Przez całą noc aż do świtu targaly nim potworne wizje. Czuł, jakby jego ciało było palone, miażdżone i rozrywane na strzępy. W swoim śnie widział mężczyznę. I choć nigdy nie zobaczył jego twarzy, rozpoznał go po głosie. To ten sam, którego nie udało mu się uratować. Ten sam, który spłonął żywcem. W nocy Iwan doświadczył jego zemsty. Gdy rano się obudził, był wyczerpany, oddychał ciężko i nie potrafił pozbierać myśli. Tego dnia nigdzie nie wychodził, cały dzień spędził w domu, na zmianę śpiąc i pijąc whiskey. Gdy słońce zaszło za horyzont, a niebo poczerniało,

Iwan obudził się z pijackiego snu. Wstał z łóżka i poszedł do łazienki, aby odświeżyć zaniedbane ciało. Ogolił się i wziął prysznic, po czym zrobił sobie skromną kolację. Jego żołądek dalej był obolały i odmawiał posłuszeństwa. Po jakimś czasie wrócił do sypialni i ponownie położył się spać. Nocne bestie znowu go dopadły.

Widział twarz dziecka. Chłopiec tonął, a Iwan czuł, jakby był do niego przywiązany. Ogromne ciśnienie wody miażdżyło płuca obojga. Głowa Iwana nabrzmiała, jakby miała momentalnie eksplodować. Trwało to całą wieczność, a gdy się obudził, wiedział już, że nie ma od tego ucieczki.

Kiedy skończył mówić, spojrzał na mnie zmęczonym wzrokiem. Zobaczyłem łzę spływającą po pomarszczonym policzku.

– Rozumiesz już? – kontynuował. – To ta cholerna wieża. Niech szlag trafi dzień, kiedy po raz pierwszy przyjechałem na to wzgórze. Przed tym nie da się uciec. Albo im pomogę, albo będą mnie prześladować w snach. Po tamtej nocy powróciłem do tego przeklętego miejsca. Metalowa wieża usiana antenami ze wszystkich stron świata pięła się wysoko ku niebiosom. Wtedy do mnie dotarło. Ona przechwytywała te sygnały. To przez nią to wszystko. Gdy ponownie się tam znalazłem, odbyłem kolejną rozmowę, choć nie wiem, czy nawet jedna z nich zasługuje na takie miano. Nie pamiętam już, kto to był, ale pomogłem mu. Pomogłem i przez to mogłem spać spokojnie, nie męczony nocnymi koszmarami. Tak to już działa. Albo się im pomoże, albo sami będziemy odczuwać to, co oni. Bez względu na to, czy się tam człowiek uda, lecz nie uratuje tej biednej duszy, czy po prostu zostanie w domu, efekt będzie ten sam. Noc pełna piekielnych tortur. Nie zasłużyłem na to, nikt nie zasłużył. To dzieje się tylko przy zachodzie słońca. Nie potrafię zrozumieć, czym oni są, a nawet nie chcę. Przez całe życie moja moralność, współczucie oraz chęć ochrony własnego życia kazały mi przyjeżdżać w tamto miejsce. Dzień w dzień, już od ponad pięciu lat. Nie potrafię zliczyć, ile razy już myślałem o tym, żeby ze sobą skończyć. Ale nie potrafiłem. Nie raz przegrywałem walkę o któreś z nich i na własnej skórze czułem to, co oni. Wiele nocy po przegranych walkach nie przespałem. Bałem się zasnąć, wiedząc, co tam na mnie czeka. Wiem, co oni czują, ktoś musi im pomagać. Dlatego przez tyle lat nie odpuszczałem. Nie mogę ich zostawić. Nie mogę ich zawieść.

Przerwał swój monolog i spojrzał na mnie tym samym wzrokiem, jak po wejściu do baru.

– Ty jesteś stąd – zaczął ponownie – poznaję po twarzy. Widywałem cię nie raz w sklepie u Rodiona. Wiesz, o którym wzgórzu mówię, wszyscy miejscowi je znają. Wybacz mi, ale przez te lata uświadomiłem sobie, że to jedyne rozwiązanie. Proszę, nie zawieź ich.

Powodzenia – powiedział, pociągając za spust pistoletu trzymanego pod płaszczem i wycelowanego w swoje serce.

Policja zjawiała się po około piętnastu minutach. Wszyscy klienci wraz z obsługą baru zostali przesłuchani przez naczelnego komendanta. Przerażona Natasza wtulała się we mnie, dygocząc z zimna. Wszyscy staliśmy na zewnątrz, podczas gdy policjanci badali miejsce, a do ambulansu ładowano martwe ciało Iwana.

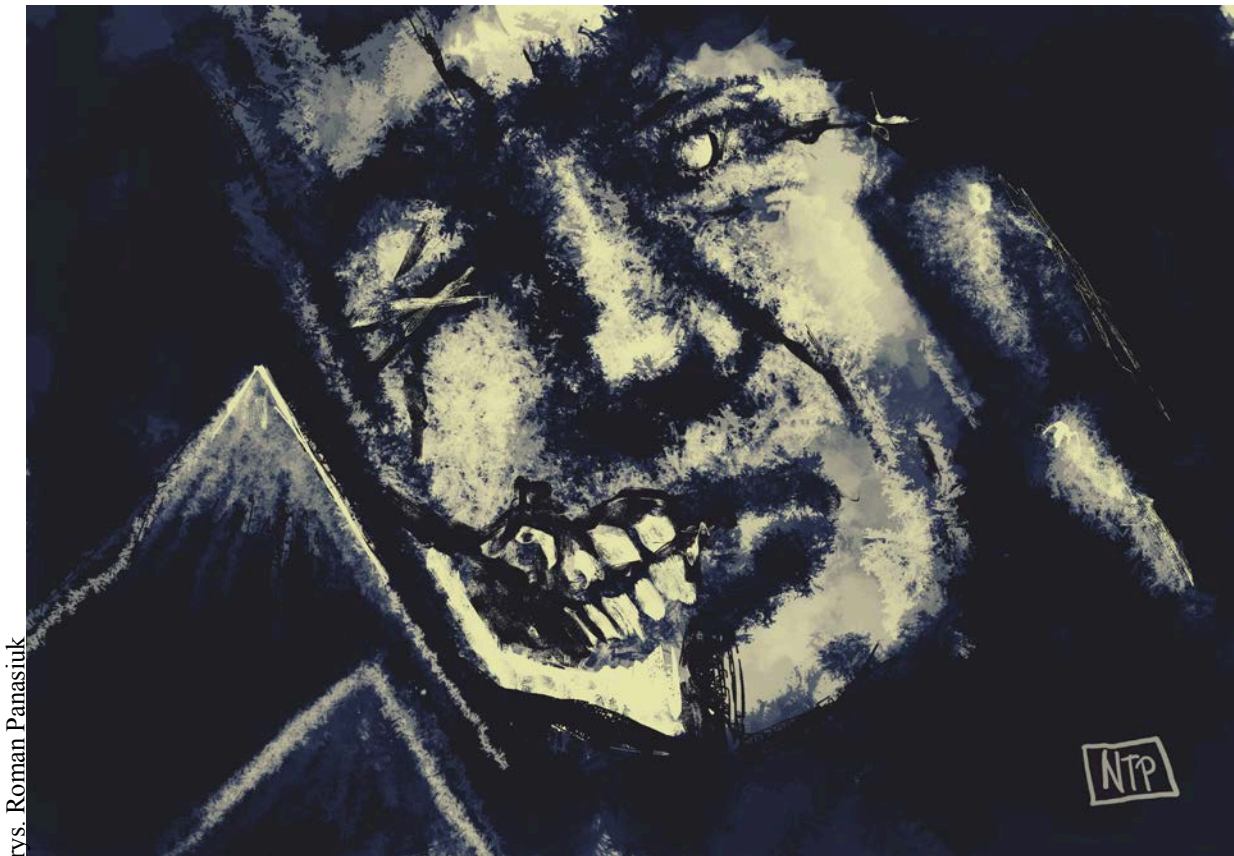
PS.

Jak już widzisz, sprawa jest najwyższej wagi. Po tamtych wydarzeniach zaczęły męczyć mnie koszmary. Zbliżone opisem to tych, jakie przedstawił mi już świętej pamięci Iwan. Wytrzymałem tak tydzień, po czym zaopatrzony w zakupione w pobliskim komisie CB radio samochodowe udałem się na owe wzgórze. Wszystko było dokładnie tak, jak opisywał mi to Iwan. Szepty słyszane w mojej głowie, rozmowy z ludźmi błagającymi o ratunek, koszmary nocne, będące zemstą nieuratowanych. Wszystko się zgadzało. Myślałem o tym, aby przedstawić Nataszy całą sytuację, wyjaśnić jej, co wiem i czym się zajmuję. Nie raz wypytywała mnie, gdzie znikam popołudniami i dlaczego nie przychodzę już do baru. Zawsze odpowiadałem jej kłamstwem. Nie mogła poznać prawdy. Bałem się, że i na nią to przejdzie. Tak więc nasza relacja i kontakt rozpadły się. A ja pozostałem sam pod przeklętą wieżą, przytłoczony przez jej moc.

Od dnia, w którym poznałem Iwana, minęło już parę lat. Ciężko jest pogodzić normalne życie, pracę, rodzinę, przyjaciół, z tak wielką odpowiedzialnością. Musiałem więc z nich zrezygnować. Ograniczyć się jedynie do niezbędnego minimum, aby przeżyć. Ale co to za życie? Gdy teraz wiem, jak to wszystko wygląda, sądzę, że przez to Iwan nie miał rodziny ani przyjaciół. Nikt, kto tak żyje, nie może żyć normalnie. Dopiero teraz też zrozumiałem, dlaczego Iwan wybrał do tego akurat mnie. Nie był to przypadek, zapewniam. Nie każdy człowiek potrafi udźwignąć taki ciężar. Oni wiedzą, kto da radę. To te szeptki, które słyszy się, będąc na tym wzgórzu, mówią, co trzeba robić. To one wyczuły, że Iwan nie wytrzyma już długo. To one podpowiedziały mu, że teraz moja kolej, i to przez to właśnie na mnie spadł po nim ten ciężar.

Teraz ja też jestem u kresu sił. Gdy ostatnio wracałem ze wzgórza, usłyszałem dwa słowa wypowiedziane szeptem. Imię i nazwisko. Jakie? Liczę, że już się domyślasz. Nie mogę tak wiecznie żyć, a umrzeć też nie potrafię. Cholerne sumienie. Teraz już wiem, jak to będzie dalej wyglądało. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zaraz po nadaniu tego listu udam się na najbliższy most i niech lodowata otchłań pochłonie mnie na zawsze. Ty wiesz już

wszystko, co potrzeba. Błagam, nie wiń mnie. Przez całe życie robiłem to, co uznałem za słuszne. Oni potrzebują przewodnika. Nie zawiedz ich. Powodzenia.



TEN WASZ ŚWIAT

Szymon Majcherowicz

Moment otwarcia oczu był nieuchwytny ze względu na nieprzeniknione ciemności, w jakich przyszło mu się ocknąć. Wpierw więc pojawił się smród stęchlizny, dojmujący chłód oraz bodźce dotykowe. Ból pleców uzmysławiał, że leży na wznak, niemożność pełnego ugięcia kolan – że tuż nad sobą ma twardą płaszczyznę. Ręce, w których, jak się okazało, wciąż miał władzę, udało się podciągnąć wzdłuż ciała, by wymacać to, co znajdowało przed samym nosem. Drewno. Chropowate, źle oheblowane. Zaparł się rękami, próbując odepchnąć od siebie ten zdumiewająco nisko zawieszony sufit – na nic. Umysł niezwykle wolno rozkręcał się na pełne obroty po dość długim, jak można było domniemywać, okresie letargu,

jednak gdy w końcu udało się połączyć w głowie kropki wszystkich dostępnych szcążkowych danych, rozwiązanie zagadki mogło być tylko jedno.

Lękowe fantazje o byciu pogrzebanym żywcem snuł od dawna. Wizja ta uporczywie powracała zarówno w snach właściwych, jak i tych na jawie. „Nie bój się, bo jeśli czegoś się boisz, to tak, jakbyś to przywoływał” – słowa te babcia zwykła powtarzać mu przy wielu okazjach przejętym szeptem, niczym mądrość tybetańskich lamów, marszcząc przy tym czoło i spoglądając nań znad okularów rozwartymi szeroko oczyma, co przyprawiało go o gęsią skórkę. Chcąc w ten sposób pomóc mu zwalczać dziecinne strachy, czyniła go w istocie jeszcze bardziej wobec nich bezbronnym. Nie myliła się jednak. Strach istotnie posiada właściwości magnetyczne.

„Nie lękajcie się!” – pamiętał słynne słowa Ojca Świętego i intuicyjną grozę, jaką w nim budziły. Zawsze gdy powtarzają „nie ma się czego bać”, jasnym jest, że komunikat jest dokładnie odwrotny. Podświadomość nie odczytuje przeczeń. Jedną z najważniejszych ogólnych prawd, jakie zdołał sobie jako tako przyswoić w ciągu jedenastu zaledwie lat życia, było to, że świat pełen jest niespodzianek. A większość z tych niespodzianek może zabić. Jest więc się czego bać! A wszystko, czego się boisz, już pełźnie ku tobie poprzez mrok.

Ile czasu przeleżał jeszcze w oszołomieniu, nie wiedząc, co począć, trudno oszacować, mogła upłynąć godzina, mogło i pięć. Gdy konfuzja minęła i był już w stanie choć w elementarnym stopniu zebrać myśli, jego umysł szybko przestawił się na myślenie zadaniowe. Zaczął więc intensywnie kombinować nad sposobem wydostania się z owej ciemnej kapsuły, w której nadano go niczym paczkę w zaświaty. Wymacał dłońmi ubranie. Pochowano go w szytym na miarę garniturku, w którym pod koniec czerwca miał odebrać świadectwo szkolne – po raz pierwszy z czerwonym paskiem. Przy czym muchę wokół szyi zawiązano nieco zbyt ciasno. Któż jednak mógłby w takich okolicznościach dbać o jego komfort? Oswobodził szyję z tej uciążliwej uprząży jednym silnym pociągnięciem. Gorączkowe poszukiwania twardego przedmiotu zakończyły się sukcesem. Klamerka od paska u spodni, wykonana z metalowego stopu, jako jedyna składała obietnicę możliwości wykorzystania jako narzędzie ratunku. Choć nie do końca jej ufał, nie miał innego wyjścia niż całkowicie zdać się na nią. Gdy udało mu się z trudem odpiąć pasek, wyciągnąć ze szlufek, a następnie zbliżyć ostrą klamerkę na wysokość szyi, mógł wreszcie zabrać się do metodycznego drapania nią od spodu w wieko trumny, by wkrótce zatracić się całkowicie w medytacyjnym transie tej monotonnej czynności. Znow, nie byłby w stanie ocenić, jak długo to wszystko trwało. Jaźń przygasła jak płomień świecy w dusznym pomieszczeniu, przez jakiś czas był tylko generowanym przez siebie tarcie materii o materię.

Wióry i trociny opadały mu na twarz, musiał zdmuchiwać je z siebie przeciągłymi sapnięciami, krztusząc się niejednokrotnie przy tym i odpluwając gęstą flegmą. Nie ustawał jednak aż do momentu, w którym koniuszkami palców nie wyczuł, że w miejscu tarcia warstwa drewna stała się na tyle cienka, że można już było zacząć uderzać w nią pięścią. Miał farta. Po jednym z uderzeń, na tyle energicznych, na ile tylko pozwalała ciasnota przestrzeni, wieko trumny pękło wzdłuż słoju na dłuższym odcinku, co wydatnie przyspieszyło proces jego destrukcji. Pokonanie warstwy drewna oznaczało jednak konfrontację z żywiołem ziemi. Błyskawicznie znalazła się w oczach i ustach, szczelnie otulając go swym chłodnym ciężarem, lepkością i smrodliwą wilgocią.

Czy można wydostać się z grobu, gdy zostało się żywcem pogrzebanym? Zadał kiedyś to pytanie ojcu, gdy w ostatnie Zaduszki tradycyjnie oporządzali rodzinny grobowiec, w którym dekadę przed jego narodzinami złożono prababkę z pradiadkiem. Jego obsesja była już w fazie zaawansowanej, targały nim nadchodzące falami niepokoje, wyobraźnia płatała niestworzone figle. Stali we dwóch u stóp mogiły w identycznych zielonych sztormiakach, zakapturzeni jak druidzi, w strugach rześistego deszczu. Ojciec jak zwykle nerwowo zaciągał się papierosem.

– Nie, nie można – brzmiała jego odpowiedź – w żadnym wypadku. W zabitej gwoździami trumnie, pod grubą warstwą ziemi i granitową płytą nagrobka brakuje tlenu. A więc przykładowy nieprzytomny człowiek, którego omyłkowo uznano by za zmarłego, miałby zaledwie kilka, może kilkanaście minut od zasypania do śmierci w wyniku uduszenia. Poza tym w żadnym razie nie sposób wygrzebać się spod grząskiej ziemi o własnych siłach.

Wspominał te słowa, gdy palce jego prawej dłoni jako pierwsze zdołały już przedostać się przez warstwę gleby i wystawały ponad jej powierzchnię. Samo podniesienie nagrobnej płyty, na szczęście nie tak masywnej, jak mogłaby sprawiać wrażenie, okazało się łatwiejsze, niż myślał. Solidne zaparcie się na kolanach, podkurczenie głowy i wypchnięcie wygiętych pleców w górę pozwoliło na moment unieść granitowy monolit, tak iż wzdłuż jego krawędzi zdążyła rozbłysnąć szczelina, przez którą promienie słoneczne wdarły się niczym brzytwa tnąca wprost w nawykłe już do mroku rogówki. Pozostało tylko napiąć wszystkie mięśnie najmocniej, jak było to możliwe, i spróbować przesunąć uniesioną raz jeszcze płytę choćby nieznacznie w bok. Gdy i to się udało, ostateczne odsunięcie i zepchnięcie granitowej pokrywy pozostało kwestią paru minut.

Kąpiel w słońcu majowego południa to doznanie, na które nie był gotowy. Przez dłuższą chwilę kulił się u stóp mogiły jak pod lodowatym biczem wodnym. W najlepsze trwał pogodny, słoneczny dzień, krzaki bzu buchały girlandami kwieciami jak oszalałe, a ich

intensywna woń upajała niemal narkotycznie. Z niejakim wysiłkiem wstał. Ziemia była wszędzie – na ubraniu, pod nim, pomiędzy włóknami materiału, we włosach, w ustach i w nosie, na skórze, pod paznokciami i powiekami. Zaczął skakać, tupać i pluć, aż w końcu targnęły nim skurcze wymiotne i z głębi trzewi kilka razy wytrysnął strumień gęstej zawiesiny piachu, żółci i śluzu.

Przetarł oczy i rozejrzył się. Wokół nie było nikogo. A zatem jego wyjście na światło dzienne prawdopodobnie obyło się bez świadków. Poza szumem koron drzew i świergotem ptactwa cisza jak makiem zasiała. Choć zeszywniałe mięśnie w członkach utrudniały swobodne poruszanie się, ruszył przed siebie w kierunku głównej alei cmentarza, ocienionej szpalerem strzelistych topoli. Spacer wśród kojącego szmeru listowia i owiewającego co rusz ciepłego, wiosennego wietrzyku byłby rozkoszą, gdyby nie owe niecodzienne okoliczności, wprawiające umysł i zmysły w niejaką konsternację. Człapał niespiesznie, powłócząc nogami, mijając kolejne rzędy nagrobków, potem studnię i przeładowany śmieciami kontener, aż w końcu zabytkowa mosiężna brama cmentarza poczęła majaczyć na horyzoncie. Jego chwiejny krok stawał się miarowy, krajobraz przed oczyma jawił się niczym obserwowany przez brudną szybę, linia horyzontu na przemian podskakiwała i opadała w rytm ciężkich stąpanięć i głośnego rżęzącego sapania. Wreszcie wydostał się przez otwartą na oścież furtkę, znajdującą się na prawo od zapiętej na kłódkę bramy, i wyszedł na utwardzony ażurowymi płytami betonowymi kompletnie pusty parking. Brak straganów ze zniczami, wiązankami i pańską skórką, zwykle porozstawianych wzdłuż ceglaneanego muru cmentarza, oznaczał, że najprawdopodobniej był to środek tygodnia. Szutrową drogą, rozpościerającą się na południowy wschód pośród rozległych złocistych połąci kwitnącego rzepaku, podążył w stronę osiedla, na którym stał jego rodzinny dom. Nie wyminął go nawet jeden samochód. Gdy doszedł do skrzyżowania z główną arterią, brak pojazdów stał się uderzający. Tylko raz widział Aleję Wojska Polskiego bez samochodów – gdy wójt wyłączył ją na pół dnia z ruchu z okazji jakiegoś zorganizowanego przez urząd gminy biegu. Ale takie rzeczy przecież zwykle odbywają się w niedziele...

Szedł dalej. Znajdował się już na terenie nieco gęściej zabudowanym, gdy z jednej z bram wyskoczył średniej wielkości czarny pies i zaczął wściekle go obszczekiwać, wrzepiając weń kaprawe ślepią i obficie tocząc ślinę z pyska. Kiedy odwracał się w jego stronę, udając, że na niego naciera, pies uciekał, gdy tylko ponownie miał go za plecami, ten powracał jak bumerang. Zwierzę demonstrowało wrogość, ale zaatakować wyraźnie się bało. Kojarzył tego psa, ale nie przypominał sobie, by ten kiedykolwiek wcześniej przejawiał śladową choćby agresję – był to sędziwy już sznucerowaty mieszaniec, który przeważnie

wygrzewał się leniwie na betonowych schodach ganku, z rzadka jedynie unosząc zapchłone cielsko, aby posnuć się ze spuszczoną markotnie głową wzdłuż ogrodzenia.

W miarę jak oddalał się od tamtej posesji, psia furia wytracała impet, aż w końcu znów zrobiło się cicho. Wtedy jakieś dwieście metrów przed sobą dostrzegł pana Bogdana, nadjeżdżającego z naprzeciwka na swym skrzypiącym, rozklekotanym rowerze. Pan Bogdan był drobnym rolnikiem i straganiarzem z okolicznego bazaru, to u niego ojciec zawsze zaopatrywał się w bób, fasolkę szparagową, pomidory czy truskawki. Po ciele rozpełzł się łagodny dreszcz, jakby serce i krążenie nagle przyspieszyły, krok stał się sprężystszy, wzrok zaś wyraźnie się wyostrzył. Pan Bogdan musiał go zauważyć, zamiast jednak jak zazwyczaj minąć z ponurym grymasem na ziemistej, pobrużdżonej twarzy, mamrocząc z łaską smętne „bry” w odpowiedzi na grzeczne powitanie, tym razem nerwowo zawrócił i począł ile sił pedałowac w przeciwną stronę, z wolna niknąc na tle mieniającej się w słońcu zieleni okolicznego lasu. Napięcie w tkankach z wolna opadło. Znów zaczął szurać lewą nogą o podłoże, wzrok zaś na powrót stał się mętny.

Powrót do miejsc, z których zostało się wymazanim, to doświadczenie, które nie pozwala się nijak zamknąć w słowach. Gdy wszystko jest tak znajome, a jednocześnie tak obce, tak bliskie i tak odległe zarazem, emocjonalna busola całkiem głupieje, a jej iglica zaczyna obłąkańczo kręcić się w kółko. Choć więc całe te okoliczności powinny być przejmujące do głębi, trudno mu było się przejąć. Remiza strażacka, pawilony handlowe: papierniczy, delikatesy, chemiczny, piekarnia rozsiewająca zwykle, ale akurat tego dnia nie, zapach gorących drożdżówek w promieniu dwustu metrów. Wszystko to nadal tu było, choć już nie dla niego. I co z tego?

Przystanął pod tablicą ogłoszeń i omiółł spojrzeniem rozpięty na niej plakat. Na tegorocznym festynie z okazji zakończenia roku szkolnego zagra pewna znana rockowa grupa – informował Gminny Ośrodek Kultury. Charakterystyczne logo z nałożonymi na siebie czerwonymi inicjałami nazwy, namalowanymi jakby zamaszystymi pociągnięciami pędzla, przykuwało wzrok i uruchamiało lawinę wspomnień. Wspomnień bolesnych, choć ból ten był sobie w stanie raczej przypomnieć niż odczuć. To właśnie ten symbol na froncie białej koszulki dumnie eksponowała Ada, najpiękniejsza z ósmoklasistek, przechadzając się po szkolnych korytarzach i skrywając pod nim pączkujący biust. Ruszył dalej.

Czuł, że sytuacja, w jakiej się znalazł, jest dziwna, niczemu się jednak nie dziwił. Część zdolności kognitywnych pozostała nienaruszona, część jakby amputowano. Miał wrażenie spacerowania pośród dekoracji filmowych albo sennych majaków, które za moment rozwieje skoczna melodyjka elektronicznego budzika – jakże rozczarowującego

zeszłorocznego prezentu gwiazdkowego – a także rodzinny gwar dobiegający z dołu wraz z zapachem grzanych już w kuchni parówek. Ale rzeczywistość nie zmieniała konsystencji.

Gdy dotarł w końcu do domu, zastał go zamkniętym. Ani jeden lufcik nie był uchylony, zasłony w oknach zasunięto szczelnie. Nacisnął przycisk dzwonka – nic. Zaczął uderzać otwartą dłonią, potem walić pięściami – nadal nic. Poszwendął się po podwórku, zajrzał to tu, to tam. Potknął się o upaprane zaschniętym wapnem taczki. Spod nóg czmychnął mu kot z przeraźliwym miaukiem. W gąszczu dawno niekoszonej trawy odnalazł wzrokiem wystający kawałek swojej starej deskorolki z wytartym już i ledwie widocznym wizerunkiem Spider-Mana. Jeszcze przez chwilę wyłuskiwał wzrokiem rozmaite detale z otoczenia i ogniskował na nich wzrok, mrużąc oczy, jakby chciał sprawdzić, czy szwy wizji, której doświadczał, nie zaczną się nagle pruć.

Pod wiatą dziadka, gdzie jak zawsze panował nieopisany bałagan, próbował znaleźć klucz do domu. Zwykło się chować go w jednej ze sfatygowanych rękawic roboczych leżących na półeczce pod okienkiem z niemożliwie brudną szybką. Pomacał, nie było. Zaczął przerzucać bez ładu i składu zmagazynowane pod obitym papą zadaszaniem sprzęty i rupiecie, tworzące wspólnie jeden wielki zakleszczony wewnątrz bezład. Zepsuta kosiarka do trawy przywalona stertą sparciąłych dętek rowerowych, przerdzewiały kanister na benzynę, stary wąż ogrodowy, niemożebnie zużyte krzesła wiklinowe z rozebranej rok temu altany – wszystko sczepione we wzajemnym kurczowym uścisku pod grubym nalotem kurzu. Po kilku minutach bezowocnego szarpania się z tym kołtunem rzeczy martwych wreszcie natrafił na coś, co mogło mu się przydać. Kilkoma mocnymi szarpnięciami z samego dna chaosu wydobył starą, zardzewiałą siekierę. Zważył ją w ręce, skinął głową i ponownie skierował kroki w stronę drzwi wejściowych. Efekt pierwszych uderzeń nie dawał zbytniej nadziei na łatwe pokonanie bariery, jednak upór zrobił swoje i po chwili drzazgi już fruwały w powietrzu. Na koniec wystarczył lekki kopniak.

Wszedł do sieni, potem do przedpokoju. Widok wnętrza przywołał wspomnienia tych licznych, pełnych euforii powrotów z wakacji, kiedy to po dłuższym pobycie gdzieś, paręset kilometrów dalej, człowiek ponownie zjawiał się na łonie oswojonej, kojącej, napromieniowanej jego własną osobą przestrzeni. Ciemna, masywna stara szafa ze snycerskimi zdobieniami, obok niej mała komódka, na niej telefon w staromodnej drewnianej obudowie, po przeciwnej stronie wieszak na ubrania wierzchnie, a na jednym z haczyków zwisająca niewinnie dzinsowa kurtka dziadka – wszystkie sprzęty na swoich miejscach, przygniecione ogłuchłą ciszą w duchocie i półmroku. Zaczął krążyć po parterze – duży pokój, toaleta, kuchnia. Żywej duszy. Ciężko stąpając po skrzypiących drewnianych schodach,

wgramolił się na piętro. Ze ściany wzdłuż linii schodów wciąż odłaziły kwieciste tapety. Przemierzył krótki korytarzyk i zajrzał do pokoju, który do niedawna był jego pokojem. Tam już nie było jak dawniej. Idealny porządek w niczym nie przypominał stanu tego pomieszczenia, kiedy je zamieszkiwał – wówczas zawsze panował tu nieład. Książki, gazety, komiksy, kasety magnetofonowe z muzyką i gramy komputerowymi, zabawki, pościel, czyste i zużyte ubrania – wszystko wiecznie skotłowane. Teraz porządek wydał mu się wręcz deprymujący. Wszystkie przedmioty pieczołowicie posortowane i ułożone z pedantyczną dokładnością, podłoga wyfroterowana, łóżko zaścielone, plakat z Diego Maradoną zdjęty. Przez okno za to, jak dawniej, zaglądała korona olchy. Siadł na łóżku z założonymi rękami i zaczął kiwać się jak w chorobie sierocej, daremnie usiłując przywołać odpowiednie dla obecnej sytuacji emocje. Nie nadeszły. Jego komputer, Commodore 64, stał odłączony od prądu, przykryty pokrywą z przezroczystego zielonego plastiku. Podeszedł do niego i przejechał palcem po powierzchni pokrywy, zdejmując warstewkę kurzu. Potem napisał swoje imię. Wciąż je pamiętał.

I wtedy właśnie pośród niemal idealnej ciszy rozległ się szmer dobiegający z dołu, z piwnicy. Na chwilę zamarł w bezruchu, wytężając słuch, po czym energicznym krokiem wyszedł z pokoju i pośpiesznie, choć niezgrabnie, zbiegł po schodach. Przemierzył przedpokój, wszedł do przedsiionka i otworzył drzwi, za którymi zaczynały się schody prowadzące w dół, w kompletną ciemność. Na skutek zwarcia instalacji w pierwszej komorze piwnicy nie było światła. Z niewiadomych mu przyczyn nikt tego nie naprawiał przez długie miesiące, schodziło się tam więc z latarką. Gdy mama kazała mu zapuszczać się w tę otchłań z kubelkiem na ziemniaki, czuł, jak wszystkie włoski podnoszą mu się na skórze, knykcie na latarce zaciskają do białości, a serce tłucze po klatce piersiowej jak zraniony gołąb. Teraz nurzał się w ciemnościach bez latarki i bez lęku, także ze względu na fakt, że do nozdrzy zawitał nęcący zapach, który natychmiast zaktywizował wszystkie sensory. Brnąc po omacku przez schody, a potem pierwszą komorę piwnicy, co rusz potykał się o stopy starych gazet, słoiki z kompotem czy dziadkowe gumofilce. Zapach się nasilał. Zapach? Nie, to chyba jednak nie był zapach. Może aura? A może jakieś promieniowanie? Nie mógł tego wiedzieć, ale doznanie było tak dojmujące, że poczuł, jak wszystkie błędzące, rozczochrane myśli pochwycone zostają u nasady i zaplecione ciasno w jeden gruby warkocz. I presja ta zdawała się tylko narastać. Skóra coraz ciaśniej opinała się wokół kości, oczy rozwierały szerzej, a śluzówka w jamie ustnej zdążyła już wyschnąć na papier. Po chwili jedynym celem jego bytowania stało się jak najszybsze zlokalizowane źródła tej przemożnej siły, która trzymała go za gardło, źródła, które zasysało go ku sobie jak rura wielkiego odkurzacza. Drzwi do

drugiej komory piwnicy – to tam ono było! Rzucił się ku nim lotem pantery i uwiesił całym ciężarem ciała na klamce. Nie ustąpiły. A przecież nie pamiętał, by kiedykolwiek były zamykane na klucz. Jeśli ktoś zamknął się wewnątrz tego pozbawionego okna pomieszczenia, powinno palić się światło, które byłoby widoczne przez cienką szczelinę wzdłuż dolnej krawędzi drzwi. Świetlistej kreski jednak nie było. Próbował sforsować barierę, nacierając na nią z impetem lewym ramieniem przylegającym ściśle do reszty ciała. Na nic, był za lekki. Zaczął drapać powierzchnię pilśniowej płyty jak oszalały, rozkrwawiając sobie koniuszki palców i wydając z siebie całą gamę niekontrolowanych zwierzęcych odgłosów – od psiego warczenia, poprzez donośne lwie ryki z głębi przepony, aż po przeszywające popiskiwanie podobne skowytom głodnych piskląt sowy.

Wtedy zza drzwi dobiegł go szmer, a potem ciche, zduszone, ale histeryczne łkanie. Wydawało mu się, że zna ten głos. To było jednak bez znaczenia, gdyż w tym momencie czuł, jakby ktoś bezustannie tęnym nożem przejeżdżał mu po obu skroniach, wyciskając jednocześnie rogówki z oczodołów jak lodowe kulki do napojów z plastikowej otuliny. Jama ustna zamieniła się w rozbuzowany do białości piec, w uszach zaś szum oszalałej krwi osiągał poziom decybeli startującego Boeinga.

Siekierę zostawił w przedpokoju kondygnację wyżej, w tym stanie jednak odwrót był już niemożliwy. Wtedy resztką przytomności zdał sobie sprawę, że w przeciwległym rogu pomieszczenia znajduje się coś, co może posłużyć jako taran. Była to pralka, stara, sfatygowana Frania, którą dziadek-majsterkowicz parę miesięcy temu przytargał od sąsiada i zamierzał rozebrać kiedyś na części. Bezużyteczny rupieć w końcu doczekał chwili, w której okazał się być na wagę złota. Choć normalnie ledwo byłby w stanie ją unieść, tym razem podniósł pralkę bez problemu i cisnął nią z impetem prosto w drzwi. Zabieg powtórzył cztery razy. Za ostatnim zamek ustąpił, a z wewnątrz wylało się światło. A więc jednak ktoś je palił. Stary, brudny ręcznik na podłodze stanowił rozwiązanie tej błahej zagadki. Ktoś ułożył go wzdłuż dolnej krawędzi drzwi tak, aby światło nie wydobywało się na zewnątrz i nie zdradzało kryjówki. Nie miał jednak ani ułamka sekundy, by się nad tym zastanawiać, gdyż był już w wewnątrz komory, która w jednej chwili cała wypełniła się wrzaskiem. Wrzaskiem jego babci. Nie, to nie była babcia. To było żywe mięso. To był pękaty bukłak zimnej wody po kilkudniowym marszu o suchym pysku pod prażącym niemiłosiernie słońcem pustyni. Działka towaru dla narkomana, którego żyły wibrują już z głodu niczym struny gitary basowej trącane kciukiem. Nie, ludzki język tego nie opisze.

W ciągu całego swojego życia zaledwie kilka razy miał okazję poczuć, jak to jest, gdy ciało mocno się czegoś domaga, nie przypuszczał jednak, że potrzeba odczuwana w każdej

jego komórce może być aż tak przemożna. Że ten wewnętrzny głos, który przynagla do czegoś, może być ciągnącym się w nieskończoność na jednym tchu, rozdzierającym i ogłuszającym rykiem. I w tym momencie jego świadomość zgasła jak kineskop starego telewizora Rubin, który wciąż jeszcze zalegał w babcinym pokoiku. Następny obraz, jaki był w stanie przywołać z pamięci, to bielone ceglane ściany, od podłogi po sufit upstrzone gęsto zaciekami krwi. On sam spoczywał pośladkami w brunatno-czerwonej kałuży, która utworzyła się w nieznacznym zagłębieniu podłogi pośrodku pomieszczenia, i nie był w stanie rozluźnić szczęk zaciśniętych kurczowo na czymś miękkim, śliskim, wilgotnym i łykowatym. Jedną z nóg miał wyprostowaną, drugą zgiętą z tyłu. Ciało babci przerzucone było przez udo wyprostowanej nogi. Trwali w tej pozycji, zastygli niczym kamienna pieta, nie wiadomo jak długo. Przytomność i władzę w członkach odzyskiwał stopniowo. W końcu był w stanie także odessać się otworem gębowym od wielkiego, karmazynowego kwiatu świeżego mięsa. Wyjątkowo paskudna szarpana rana – było ich więcej na pokrytej plamami wątrobowymi babcinej skórze, gdzieniegdzie pomarszczonej, gdzieniegdzie opiętej gładko wokół fałd tłuszczu. Jedna sflaczała i naderwana pierś zwisała luźno, kołysząc się bezwiednie na strzępie skóry, gdy zmieniał ułożenie ciała, druga – odgryziona i wyszana jak ostryga, zalegała półtora metra dalej niczym pęknięta gruszka do lewatywy. Głód ustał. Był syty. Opity juchą jak gigantyczny kleszcz. Choć wzdęty bebecz ciężył mu nadmiarem żołądkowej treści, zdołał się podnieść, a krwawe strugi z cichutkim terkotem pociekły na gumowe linoleum. Zataczając się z upojenia i stąpając jak słoń po wyłożonych lastryko schodach, dotarł z powrotem do sieni. Nie rozumiał w dalszym stopniu zbyt wiele z tego, co właśnie działo się na jego oczach i przy jego udziale. Błąkał się po pomieszczeniach parteru, pozostawiając krwawe ślady na tapecie, meblach, pianinie. W pewnym momencie zogniskował wzrok na aparacie telefonicznym. Nie tym stylizowanym na stary, z przedpokoju, tylko tym drugim, spod okna w salonie – nowoczesnym, plastikowym, z funkcją automatycznej sekretarki. Zegar wahadłowy na ścianie wskazywał niecały kwadrans po piętnastej. Wyświetlacz telefonu informował, że jest dziesięć minut później oraz że jest jedna nagrana wiadomość – odsłuchana, ale niewykasowana. Przewinął małą kasetkę i wcisnął play. Usłyszał roztrzęsiony głos matki:

Halo, mamo, słyszysz? Odbierz, proszę, jeśli tylko możesz. Dzieje się coś strasznego, nie wiemy jeszcze co. Nie dojedziemy do domu, jesteśmy odcięci, wszystkie drogi do miasta zamknięte przez wojsko. Jakaś wielka ewakuacja. Może to znów reaktor albo wojna? Cholera wie. Niczego nie mówią, wszyscy przerażeni. To znaczy my już jesteśmy bezpieczni, na jakimś zamkniętym, odrutowanym terenie nas tu wszystkich stłoczyli, pod opieką wojska. Zaraz mają podstawić autobusy, którymi nas gdzieś wywiozą, ale gdzie – nie wiemy. Tak że o nas się nie

martw, nie wychodź z domu, czekaj na pomoc, pozamykaj drzwi i okna, ktoś po ciebie wkrótce przyjdzie. I jeszcze jedno, to bardzo ważne...

Piiip. I tu nagranie się urywało. Choć jeszcze przed chwilą miał wrażenie, że nic z tego wszystkiego nie rozumie, teraz wydawało mu się, że rozumie jeszcze mniej. Usiadł na bujanym fotelu, zwiesił głowę i odpychając się od niechcienia stopą od parkietu, starał się pozbierać myśli rozsypane w różnych kierunkach jak bierki. Nie szło mu. Po kilkunastu minutach tej jałowej medytacji uniósł brodę, a jego błądzący po ścianach pomieszczenia wzrok zatrzymał się na drzwiach do pokoiku babci, gdzie jak dotąd nie zajął. Tam na ścianie wisiało lustro, a on poczuł przemożną chęć, by się w nim przejrzeć. Co ujrzy w swoich oczach? – zastanawiał się, naciskając kłamek.

Nim jednak zdołał przekroczyć próg pokoju, rozległ się głośny brzęk i lustro rozprysło się na tysiące drobin. Poszła także szyba w oknie od strony ulicy. Czyżby kula? A więc wojna... W zasadzie było mu wszystko jedno, ale wiedział, że rozsądnie będzie położyć się na ziemi, aby nie oberwać w głowę następnym zbłąkanym pociskiem. Zbłąkanym? A może celował w niego snajper? Przeczłołgał się po parkiecie do pozabawionego okien przedpokoju. Tam spędził dłuższą chwilę, kuląc się pod ścianą, zdezorientowany, nie mając pojęcia, co czynić dalej. W końcu zdecydował się wyjść na zewnątrz i ostrożnie rozeznac w sytuacji. Nasiąkł krwią koszulę mógłby wyzimać jak pranie, zerwał ją więc z siebie wraz z podartą marynarką i otulił goły tors dzinsową kurtką dziadka. Gdzie był dziadek? Pewnie z rodzicami. Musieli wybrać się na działkę we trójkę.

Z półmroku mieszkania wypełził jak szczur na wciąż podpiekające słońce i asekuracyjnie, rozglądając się nerwowo na boki i trzymając ściany, przeczłołgał się przez podwórze w stronę ulicy. Nic. Pustka. Cisza. Żywego ducha. Niebo idealnie błękitne, zasnuite tylko gdzieś tam białymi obłokami jak strzępkami waty, świergot ptactwa, owady pobrzękujące przy kielichach kwiatów – pogoda jakby zapraszała do piknikowania. Podobnie jak to miało miejsce tuż po wybuchu reaktora w Czarnobylu, o czym opowiadała mu matka, choć i jemu samemu utkwiły w głowie jakieś pojedyncze stop-klatki oraz obrzydliwy smak płynu Lugola. Miał w końcu wtedy już cztery lata. Gdy dotarł do chodnika, wstał, otrzepał się i ruszył już na dwóch nogach przed siebie. Nie wiedział jeszcze dokąd.

Na wysokości działki Kownackich przez siatkę dostrzegł coś, co z daleka przypominało mu stracha na wróble, zażywającego chłodku w cieniu podwórkowej jabłonki. Ujrany z bliższej odległości strach ów okazał się zwisającą z gałęzi ludzką sylwetką. Nogi pod kątem około trzydziestu stopni spoczywały bezwładnie na ziemi, a z rozoranego brzucha wylewała się gęsta, skłębiona treść, wokół której pracownicy uwijała się już hałaśliwa chmura

much. Była to pani Irena, jego matematyczka, uczyła też tatę. Szyję obwiązaną miała ciasno powrozem zaplecionym prawdopodobnie z własnych jelit. Między ziejącymi czernią oczodołami a pomarszczonym nagim biustem rozciągał się szereg brunatnych strug zakrzepłej krwi. Przyspieszył kroku. Skręcił w Sadową, gdzie minął kolejne dwa trupy, którym postanowił się już jednak bliżej nie przyglądać. Zapewne rozpoznałby te osoby, w obrębie gminy większość mieszkańców się znała, choćby z widzenia. U wylotu Sadowej odbił w Szkolną. Wtedy w odległości około pięćdziesięciu metrów dostrzegł postać. Stała pośrodku jezdni, dziwnie się kołysząc. Gdy podszedł bliżej, szybko zorientował się, z kim ma do czynienia. Był to pan Adamczyk, właściciel warsztatu i wulkanizacji na rogu Bema i Olchowej. Gdy rok temu startował na radnego, oplakatował swoją facjatą całą wieś, nie było więc mowy, by ktoś nie wiedział, kto zacz. Ojciec zawsze robił u niego samochód. Jakoś w lutym tego roku jego wysłużony escort rozpedzony na gołoledzi staranował przydrożną kapliczkę przy Wojska Polskiego. Kamienną figurę Matki Boskiej, która na szczupaka wleciała przez przednią szybę, znaleziono na siedzeniu pasażera. Na miejscu kierowcy zalegał bezwładny skórzany wór na strzaskane organy. Pochowano go z pompą, w końcu człek był zamożny i powszechnie znany, rodzice byli nawet na stypie. Bratowa denata ponoć zadławiła się de volaillum, a ojciec tłukł ją w plecy i o mały włos nie musiał reanimować. To by dopiero było, gdyby tam zeszła...

Przyjrzał się Adamczykowi w aktualnym wydaniu. Był bardzo brudny, cały upstrzony chaotycznymi zaciekami gęstniejącej z wolna juchy, ściekającej z rozwartego otworu gębowego wprost na doszczętnie przemoczone już ubranie. Wytrzeszczone tępo ślepią, w całości zasnutę bielmem, odzwierciedlać musiały wiernie żarłoczną nicość pod sklepieniem czaszki, w miejscu mózgowia, poddanego zaawansowanym już zapewne procesom rozkładu. Wyminął go obojętnie, nie zwalniając tempa. Tamten wydawał się nie zwracać na niego najmniejszej uwagi. Po dłuższej chwili jednak, gdy obejrzał się przez ramię, zobaczył, że Adamczyk z wolna ruszył jego śladem.

Kilkadziesiąt metrów dalej natknął się na Cieślakową, była dyrektorkę szkoły w wieku przedemerytalnym, u której lekarze podobno przypadkiem wykryli guz mózgu wielkości brzoskwini i mogli już tylko rozłożyć ręce. Otyła jak zawsze, drobna pokracznie na swych opuchniętych stopach, w butach na niskim obcasie z otwartymi noskami, z których wystawały jej koślawe paluchy ze szponowatymi paznokciami, zawsze starannie pociągniętymi lakierem. Czy naprawdę do cholery wydawało jej się, że można coś tu jeszcze upiększyć, czy robiła to z zaprogramowanego dziesięciolecia wcześniej automatu? Pytanie z gatunku retorycznych. Nad podartymi pończochami, opiętymi wokół krzywych grubych łyd, fałowała zakrwawiona

szara spódnica, do bluzki udekorowanej falbanami, motywami kwiatowymi i kleksami posoki przypięta była jak zwykle broszka z agatem. Błędny wzrok skierowany był na północ, w stronę stolicy. To tam człapała. Jak lunatyczka. Wyminął ją, idąc prostopadle, na zachód. Po kilkunastu sekundach usłyszał warkot, pisk opon, huk, szczęk, huk, szczęk i jeszcze raz huk. Gdy obejrzał się przez ramię, zobaczył Cieślakową w pozycji na kolanach, z odstrzeloną połową głowy. Za moment miała runąć na twarz, ale on zdążył już z powrotem obrócić wzrok przed siebie. W tej samej chwili po jego lewej z gniewnym rykiem silnika przemknął rozpędzony zielony UAZ. Skrył się za kępą przydrożnych akacji, nie zauważyli go. Jego jednak zdążyło już ostro zaświerzbic podniebienie. Nieprzyjemne doznanie minęło dopiero, gdy tylko stracił samochód z oczu.

Po kilkudziesięciu kolejnych krokach odbił w Piaskową, następnie Młyńską, aż w końcu znalazł się na pięknej, ocienionej starymi kasztanowcami ulicy Kazimierza Wielkiego. Nie mógł sobie odmówić przejścia tego dnia koło domu Ady. Pokażny budynek w połowie skryty za rozłożystym świerkiem, z podmurówką upstrzoną odłamkami ceramiki, drewnianą nadbudową i ozdobami w postaci koła sterowego i białego talerza satelity stanowił jedną z zamożniejszych rezydencji w okolicy. Ojciec Ady, Kazimierz Osiński, który za komuny zaopatrywał całą miejscowość, a przynajmniej jej najętniejszą część, w różnorakie płody natury wychuchane pod szkłem, teraz prowadził sklep wielobranżowy w wielkim pawilonie z blachy falistej przy Wojska Polskiego i dopiero kilka lat temu zaczął się naprawdę dorabiać. Dwie japońskie fury na gospodarstwo domowe to było coś. Oczywiście, musiał znać kogo trzeba i komu trzeba regularnie odpalać dołę, by utrzymać swój status, ale o tym się zbyt wiele nie mówiło. Za to nazwę ulicy, przy której mieszkał, coraz częściej żartobliwie odnoszono do jego osoby.

Na posesję Osińskich dostał się poprzez furtkę z tabliczką ostrzegającą o złym psie, która wyłamana, prawdopodobnie z przestrelonym zamkiem, kołysała się bezwładnie na zawiasach, cicho poskrzypując. Przyszczyżone trawniki i rabaty z rododendronów prezentowały się nienagannie, czuć jednak było wyraźnie, że z posesji życie ludzkie uszło jak powietrze z dziurawej opony. Gdyby było inaczej, wtedy, jak mniemał, pojawiłyby się już przynajmniej niewyraźne pierwociny somatycznej reakcji. Nadal wszakże mógł obawiać się, że zza domu wytoczy się nagle i z przeciągłym rykiem zaszarżuje na niego jak rozjuszony byk spasiona rottweilerka – stworzenie fanatycznie terytorialne, mające już swoją historię dotkliwych pogryzień. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Tajemnicę rozwiązał rzut oka za dom. Nieruchome czarne, brunatno podpalane cielsko Azy zalegało na trawie w pełnym słońcu z dwoma śladami po kulach. Szturchnął psi zewłok stopą – bezwład całkowicie.

Odwrócił się i zauważył, że tylne przeszklone drzwi tarasu są uchylone. Niewiele się namyślając, wszedł. W ten sposób trafił prosto do salonu, którego dominantę stanowiła wielka, masywna kanapa obita brązową pikowaną skórą i także fotele do kompletu. Ojciec by powiedział, że bezguście, ale na nim robiło to przemożne wrażenie woli mocy. Pod przeciwległą ścianą stał duży telewizor Sony Trinitron, pod nim magnetowid i rząd kaset VHS, wśród których natychmiast wypatrzył *Terminatora* dwójkę – swój ulubiony film. Scenę z proroczym snem Sary Connor przewijał setki razy. Takiej apokalipsy się spodziewał. Ale nadeszła jakaś inna.

Przed kanapą ustawiony był szklany stolik, na nim leżały piloty, gazetka z programem telewizyjnym i kryształowe naczynie, w którym wyłożony był grubo pokrojony keks, obok zaś stała niedopita herbata w szklance z metalowym koszykiem. Dotknął. Już wystygła. Jednakże sceneria wyglądała tak, jakby ktoś lada moment miał tu wrócić. Dopiero wejście do przedpokoju i rzut oka do kuchni uświadomiły mu, jaki dramat musiał rozegrać się w tym miejscu. Pod wieszakiem na ubrania zalegały zwłoki pani Reginy. Korpulentne, obnażone, blade i zmaltretowane ciało pośród gęstniejącej bordowej kałuży i mokrych strzępów pozrywanego ubrania wyglądało jak zatłuczona foka. Pokąsane było tak gęsto, jakby ucztowało przy nim co najmniej dwóch, trzech takich jak on. Twarz miejscami wyjedzona do gołej czaszki pewnie kiedyś wydałaby mu się przerażająca, teraz jednak budziła tylko niepoważne skojarzenia z okładką pierwszej płyty Guns N' Roses.

W kuchni znalazł kolejne dwa ciała – oba w pozycji na brzuchu, z przestrzelonymi łbami. Kawałki ociekającego krwawym śluzem gąbczastego mózgowia walały się po całym pomieszczeniu. Ze ściany vis a vis wejścia ściekały dwa duże nachodzące na siebie kleksy – zgadł, że ślady po rozprysniętych czerepach. Podeszedł, jedno z trucheł odwrócił nogą na plecy. Nie rozpoznał człowieka. Osobnik znajdował się już w zaawansowanym stadium rozkładu i dodatkowo nie miał połowy głowy, w tym twarzy. Drugiego nie chciało mu się nawet tknąć. Ze swadą Sherlocka Holmesa wydedukował, że musieli zostać zaskoczeni podczas żerowania na żywym mięsie pani Reginy przez kogoś dysponującego bronią palną. Postać, być może więcej niż jedna, musiała wtargnąć przez drzwi frontowe i zmusić ich do wycofania w głąb kuchni. Tam dosięgły ich strzały.

Odwrócił się na pięcie i udał w stronę schodów. Pokój Ady był na górze. Wiedział to, bo był już w nim kiedyś. Jeden jedyny raz, jakoś z rok temu, kiedy przyszedł tu z ojcem. Ojciec kupował od Osińskiego starego poloneza caro, którego tamten właśnie wymieniał na toyotę corollę nówkę sztukę, w związku z czym przy okazji ubijania targu zaprosił tatę na kieliszeczek czegoś mocniejszego.

Przejęty kupnem auta, ale jeszcze bardziej zafiksowany na czym innym, uparł się, by ojcu towarzyszyć. Gdy panowie zasiedli w salonie, a mama oddelegowała się taktownie do kuchni, Ada otrzymała polecenie zaopiekowania się młodszym kolegą, który płonął ze wstydu i usilnie starał się nie zdradzić ze skrywaną głęboko fascynacją.

Wtedy to właśnie został zaproszony do jej pokoju. Wydał mu się urzekająco przytulną, kojącą przestrzenią, w której najchętniej wtuliłby głowę w poduszkę i zasnął. Zapamiętał jasne, zielonkawe tapety, mnóstwo roślin w doniczkach, równiutkie rzędkie książek i kaset, plakaty z różnymi piosenkarzami poprzyczepiane pinezkami do boazerii, którą obity był spadzisty strop, wreszcie onieśmielający, subtelny zapach perfum spowijający pomieszczenie niczym słodka aura. A więc tak prezentował się intymny zakątek tej najpiękniejszej. Ciekawe, jak prezentują się jej inne intymne zakątki – pomyślał i utonął w rumieńcu.

Nie miała pojęcia, co z małolatem począć, posadziła go więc na nakrytym beżowym kocem łóżku, sama zaś usiadła obok z talią kart w ręku. Umiała stawiać wróżby, zaproponowała więc, że mu powróży. Skinął głową. Tasowała i wykladała karty jak rasowa cyganka, znad rozłożonego wachlarza posyłając mu co rusz spojrzenia, niestety bardziej badawcze niż zalotne. Koniec końców dowiedział się, że dama trefl, a więc pewna szatynka, znajduje się w trefnej konfiguracji, a więc nie odwzajemnia jego uczuć. Nie był pewien, jaki dokładnie kolor włosów określano słowem „szatynka”, ale miał silne przeczucie, że do Ady pasowałoby ono jak ulał, sprawa więc była jasna. Ada była zresztą jedyną osobą na świecie, która mogła jego uczucia odwzajemniać lub nie, pał więc lichy umaszczenie. Gdy po dokonanej wróżbie zapadła niezręczna cisza, zapytał Adę, czy może poprzeglądać gazety.

Na regale zalegał stosik starych numerów „Bravo”, które – jak chwaliła się w szkole – regularnie z Hanoweru przesyłała jej ciotka, starająca się uprzyjemnić bratanicy naukę języka rasy panów. Ada kiwnęła głową. Gdy pogrążył się w sterylnym, jaskrawokolorowym, jakże obcym świecie, spreparowanym na potrzeby niemieckich nastolatków, ona sięgnęła po założoną wcześniej książkę leżącą u wezglowia łóżka, na uszy zaś nałożyła słuchawki, odcinając się w ten sposób od niego niemal ostentacyjnie.

Nie na długo jednak, bo pani Regina, która jakiś kwadrans później przyniosła im tacę z herbatą i ciastem, ostro zrugła córkę za tę nonszalancję. Tyrada trwała dobrych parę minut. Gdy w końcu matka zamknęła za sobą drzwi, Ada wydała z siebie głośne przeciągłe sapnięcie niezadowolenia, które wprawiło go w jeszcze większy niż dotychczas dyskomfort. Oczywiście, grzecznie zdjęła słuchawki i wraz z książką odłożyła na półkę, milczała jednak jak zakłeta, z muchami w nosie, on więc nieśmiało powrócił do kartkowania gazet. Siedzieli tak jeszcze przez parę chwil, żadne z nich nie spróbowało nawet deseru. Ona z powodu focha,

on skrępowany wstydem i poczuciem winy z powodu bycia przyczyną nieprzyjemnej matczynej interwencji wychowawczej. Gdy pani Regina wywołała go w końcu przez schody na prośbę ojca, który zarządził powrót, pożegnał się chłodno i opuścił dom z ulgą. Niestety, zdarzenie to miało być tylko jeszcze jednym drwem dorzuconym do pieca jego młodzieńczych uczuć, jakże jałowym buzującego płomieniem.

Teraz wspinał się po schodach do pokoju Ady bez nadziei, że zostanie ją żywą, bo przecież gdyby miało być inaczej, wyczułby już bliskość jej bijącego serca i krwi tętniącej w żywym mięsie, a we łbie rozległoby się zagłuszające wszelkie myśli wycie syreny alarmowej niehumanitarnego głodu. Zachciało mu się jednak symbolicznie choć pożegnać z zapewne wyjeżdżonym już do cna przez zgłodniałe szczęki jego pobratymców jędrnym i hożym niegdyś ciałem, kuszącym tak okrutną a bezwiedną gracją. Drzwi były niedomknięte. Gdy lekko je popchnął, zobaczył jednak nie to, czego się spodziewał. Gdyby tylko potrafił jeszcze się dziwić...

Ciało Ady spoczywało bezwładnie, przerzucone prostopadle przez łóżko. Dżinsy ściągnięte były do kolan, bluzkę całkiem zdarto. Na alabastrowej powierzchni skóry rozpleniły się liczne rozległe, granatowe sińce, między łopatkami zaś widoczna była wlotowa rana postrzałowa, z której szeroka struga krwi spływała wzdłuż prawego boku wprost na wykrochmalone prześcieradło. Rany wylotowej, znajdującej się zapewne tuż ponad linią piersi – tych owoców, którym nie dane było już w pełni dojrzeć – wolał sobie nawet nie wizualizować. Krew obecna była także w okolicach sfer intymnych, częściowo rozsmarowana jakby posuwistym ruchem dłoni po wypiętych pośladkach. W mgnieniu oka pojął, że Ada zginęła z rąk żywych ludzi. Być może tych właśnie, którzy mieli przyjść ją ratować, między innymi przed nim. A być może z rąk kogoś innego, kto po prostu nie omieszkał skorzystać z niepowtarzalnej okazji.

Dzięki pobliskiej wypożyczalni kaset wideo posiadał wystarczający zasób wiedzy o świecie, by zdawać sobie sprawę, że ludzie posiadają naturalne skłonności do tego typu zachowań, a w obliczu chaosu dokonującej się apokalipsy może się to tylko nasilać. Stojąc nad zwłokami Ady, pytał sam siebie, co czułby, gdyby zjawił się tu jako żywy człowiek w normalnych warunkach i zobaczył taki widok. Czy zdołałby poczuć to, co powinien? A co powinien poczuć? Rozpaczyć? A gdyby nie nadeszła? Czy byłby to kolejny powód do rozpaczyci? A może tylko do przerażenia byłby zdolny? A gdyby jednak się nie bał? Czy fakt ten nie byłby sam w sobie przerażający? A gdyby wprost z nicości przypełzła oślizgła, nieproszona satysfakcja, że oto najmroczniejszy pierwiastek rzeczywistości dopadł obiekt, który tak upokorzył go wcześniej swą obojętnością? Może dobrze jednak, że nie żyje i nie

czuje, bo też co miałby począć z takim uczuciem? Nawet gdyby zakopałby je w sobie żywcem, pewnie wstawałoby uparcie z martwych, zwłaszcza nocą, po zgaszeniu światła i zamknięciu powiek, by przypominać mu, jak bardzo obcy jest sam sobie.

Na zewnątrz z pewnością potrafiłby dobrze odegrać rolę, jakiej by od niego oczekiwano, autentyczność jego głębokiego przejęcia nie budziłaby niczyjej wątpliwości. Być może nawet byłby tak przekonujący, że dorośli uznaliby za stosowne objąć go opieką psychologa? Oni zawsze widzieli to, co chcieli widzieć – zdążył to już przyuważyć i nauczyć się wykorzystywać. Być może nawet przed owym psychologiem udałoby mu się rozpłakać? Był płacziwy z natury, czasem rodziców konsternowała wręcz ta rzadko spotykana u chłopca tkliwość. Płakałby więc, dowodząc po raz kolejny swej ponadprzeciętnej wrażliwości i wzbudzając wokół miłe mu współczucie, ale podłe zadowolenie trzepotałoby potajemnie po głębszych kondygnacjach duszy jak obleśna ćma. Teraz, gdy zdolny był doświadczać ucuć tylko w formie bladych, wielokrotnie rozcieńczonych powidoków tego, co kiedyś stanowiło całą paletę kolorów życia, wszystkie te pytania były już nieistotne i tylko zaśmiecały mu głowę. Choć pogardy jako takiej do rodzaju ludzkiego odczuwać nie był już w stanie, dostępna mu była obojętność, zdolna pełnić tę samą funkcję, stale pęczniąc pęcherzem pustki w jego wnętrzu i wydmuchując z krętych zakamarków przyczajone jeszcze gdzieś gdzie okrucieństwa sentymentów.

Nie zastanowiło go nawet, gdzie podziwia się ojciec Ady. Pewnie godzina zero zastała go po drugiej stronie miasta i tak jak rodzice z dziadkiem trafił pod kuratelę armii. Cóż, pożyje jeszcze trochę, ale przecież niewiele dłużej niż jego żona i córka, zgadza się?

Dom Ady ponownie opuścił z ulgą, a ściślej mówiąc czymś na kształt ulgi. Gdy wyszedł z powrotem na ulicę, zauważył, że znacznie się tam zagęściło. W odległości czterech, pięciu metrów od siebie, jak pionki porozstawiane po szachownicy, kilkadziesiąt, może sto ileś sylwetek miarowym, posuwistym krokiem przemieszczało się w kierunku skrzyżowania z główną arterią. Potem było ich wszędzie tylko coraz więcej. Był jednym z nich.

Choć nie porozumiewali się ze sobą w żaden sposób, na Wojska Polskiego spontanicznie zaczęli formować coś w rodzaju kolumny, która całą szerokością dwupasmówki z ponurą zaciekłością parła na północ, w stronę miasta. Mijali kolejne przecznice i sygnalizacje świetlne, pogrążając się coraz bardziej w posępnej monotonii owego marszu śmierci. Śmierci, której szli zapłacić haracz.

W pewnym momencie znalazł się w miejscu, w którym musiał przystanąć i pozwolić, by towarzysze wymijali go przez czas jakiś w milczeniu. Przypomniał sobie. To tu trzepnął go samochód. Lekko, ale jak się okazało wystarczająco mocno, by zabić, gdyż odrzucony od

maski, miał pecha wyróżnić potylicą o ostry krawężnik. To tu skończyło się jego doświadczenie bycia żywym człowiekiem i zanurzył się w śmierć. Jak w rzekę. To tu czekał go teraz kolejny rytuał przejścia, jeszcze jedna metamorfoza. To tu wreszcie miał właśnie miejsce ostatni przebłysk jego indywidualnej jaźni tuż przed zatraceniem się raz na zawsze w bezosobowym żywiole.

„Jeszcze nawet nie zdążyłam się rozpedzić na jedyńce, a już mi skurwysyn na drogę wyleciał!” – te wywrzeszczane roztrzęsionym głosem słowa zalewającej się łzami młodej kobiety zza kierownicy cinquecento zdążyły, nie wiedzieć jakim cudem, dobiec jeszcze jego uszu, nim wyzionął ducha tu właśnie, o, na tym chodniku, pośród grupki przejętych gapiów, na długo przed przyjazdem karetki. To była jego wina, nie tej dziewczyny, która zresztą dopiero niedawno odebrała prawko i starała się jeździć najostrożniej jak umiała. Nie była jednak w stanie poradzić nic w sytuacji, kiedy ze słuchawkami na uszach i klapkami na oczach włożył jej w niedozwolonym miejscu prosto pod koła. Pewnie życzyłby swej zabójczynie wszystkiego najlepszego, przede wszystkim rychłego uniewinnienia, gdyby cokolwiek z tego waszego świata mogło jeszcze nie być mu obojętne. A może nie, a może mściwie cieszyłby się z jej traumy, permanentnej skazy w życiorysie, wiader łez i nieskończonej lawiny wynikłych z nieszczęśliwego wypadku życiowych problemów. Nie panujemy wszak nad tym, co naprawdę czujemy. Możemy się tylko tego brzydzić.

Beznamiętną chwilę tej ostatniej reminiscencji przerwał natarczywy, narastający, rytmiczny łomot. Był to nadlatujący wojskowy śmigłowiec, który niczym wałka zanurkował tuż nad lasem ich głów, by oddać długą serię strzałów z broni maszynowej. Zebrał żniwo w postaci kilku, może nawet kilkunastu towarzyszy, którzy po przyjęciu pocisku w głowę padali na twarz i nie kontynuowali marszu. Podobny incydent powtarzał się jeszcze kilkakrotnie z udziałem czasem dwóch, czasem trzech maszyn naraz.

Wciąż było ich jednak wszędzie coraz więcej. I nic nie było już w stanie zatrzymać tego pochodu, który przerodził się w samorzutny żywioł. Szli tak, na spotkanie oddziałów policji i wojska, czołgów, samolotów i artylerii, bomb zapalających i burzących, pocisków nuklearnych i wszystkich innych żałośnie bezskutecznych instrumentów obrony tego waszego cudnego świata, który nie miał już przed sobą przyszłości.



ZMIERZCH RODU MONTALPICH

Natalia "Nana" Kędra

Zawsze widziałem więcej niż inni. Byli tacy, którzy postanowili bezgranicznie zaufać mi w tej kwestii, przekonani, że ktoś o równie szczerym i otwartym spojrzeniu – będącym w istocie jedynie grą pozorów, czego się biedni głupcy nie domyślali – nie byłby zdolny ich omamić. Znacznie więcej jednak spotykałem ludzi, którzy nie dawali temu wiary. Nigdy mnie to specjalnie nie dziwiło. Wszak ignorancja – owo echo bezdusznych podszeptów rodzących się nieodmiennie w każdej podświadomości, nieuchronnie wiodące najznakomitsze nawet umysły ku próżni skrytej za zwiewnymi zasłonami, utkanymi z widm wygodnego

i beztroskiego życia – od zarania dziejów była nieodłącznym elementem egzystencji jedyne­go na tym nędznym świecie gatunku na własne życzenie pędzącego bez opamiętania ku samozagładzie.

Patrzysz na mnie, Julianie, w ten szczególny sposób, który każe zastanawiać się dwa razy nad każdym wypowiedzianym słowem. Patrzysz i nic nie mówisz, słuchasz jedynie, niewzruszony niczym kamienny posąg. Nigdy z ust twoich nie dobył się żaden dźwięk, najmniejszym gestem nie zdradziłeś nawet, o czym myślisz. Czując na sobie twoje krytyczne spojrzenie, czasem mam wrażenie, jakbym to ja był niespodziewanym gościem, który bez zaproszenia wtargnął w twoje życie i postanowił zostać na dobre. Pozwól, przypomnę ci, że było dokładnie odwrotnie.

Nim się poznaliśmy, drogi Julianie, życie okrutnie mnie doświadczyło. Wiem, uznasz pewnie, że się użalam – ale wierz mi, trudno o drugiego człowieka tak nieszczęśliwego z samym sobą, jak ja. Nie mówiłem ci dotąd, jakie wypadki doprowadziły mnie do miejsca, w którym teraz jestem. Pozwól, że opowiem ci pokrótce moją historię – może wtedy przestaniesz patrzeć na mnie z takim politowaniem, a postarasz się zrozumieć.

Nazwisko moje – możeś słyszał je już wcześniej – jest spuścizną po znamienitych przodkach. Śmiem uważać, wbrew temu, co podają nieliczne źródła pisane, jakie się zachowały, że dzieje tej prastarej rodziny szlacheckiej sięgają czasów znacznie odleglejszych, niż się komukolwiek może wydawać. Matka – ostatnia sukcesorka założyciela znakomitego klanu w linii prostej – na skutek nalegań rodziców w słusznym wieku lat piętnastu wyszła za dalekiego krewnego – tak się składa, że potomka jednego z bocznych odgałęzień, ostatniego z dumą noszącego rodowe miano. Ojciec, człowiek niebywale inteligentny, choć może nieco choleryczny, był od małżonki dziedziczki starszy o trzy dekady i według nieżyczliwych wzenił się w rodzinę z chciwości i wyrachowania. Po śmierci dziadków prowadził dom żelazną ręką, wymagając całkowitej lojalności i karząc za każde przewinienie.

Nie powiem, bym dorastał w atmosferze miłości i poczucia bezpieczeństwa. Choć byłem jedynakiem, nikt mnie nie rozpieszczał. Odebrałem surowe wychowanie, co było częstym powodem sprzeczek, które zawsze wyglądały tak samo.

– Mógłbyś mu trochę odpuścić, to jeszcze dziecko – zaczynała matka.

– Milcz, głupia! Nie pozwolę ci z niego zrobić panienki! Gdybyś dała mi więcej synów, nie musiałbym tak drzeć o przyszłość naszego rodu!

Ojciec wpadał w złość, ilekroć żona spróbowała mu się przeciwstawić. Gdy starała się przemówić mu do rozsądku, unosił się bardziej i bardziej, w końcu i ją doprowadzając do pasji. W kłótniach stale powtarzały się te same argumenty – ojciec zarzucał matce, że jest słaba i niepotrzebnie się z nią żenił, matka odpowiadała, że to z jego winy nie mogą mieć więcej dzieci... Wzajemne oskarżenia przybierały coraz ostrzejszy ton, aż wypowiedane słowa przestawały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Pamiętam, że jako mały chłopiec chowałem się wtedy w najodleglejszych zakątkach domu, starając się uciec przed lawiną wyzwisk, wrzaskami, odgłosami razów i płaczem. Kilkukrotnie jednak nie zdołałem w porę umknąć z zamkniętego pokoju i byłem świadkiem isticie dantejskich scen, które u każdego innego dziecka wywołałyby senne koszmary i spowodowały traumę do końca życia.

Z czasem zacząłem inaczej postrzegać te przerażające spektakle. Starając się patrzeć na wszystko z punktu widzenia ojca, którego siłę charakteru podziwiałem, przestałem odwracać wzrok, gdy jego pięść łądowała raz za razem na ciele matki. Zrozumiałem wreszcie, że nie można było inaczej, że wszystko robił wiedziony troską o naszą przyszłość. Wiele godzin spędzaliśmy na rozmowach o tym, co wiedzieć powinienem, gdy sam zostanę głową rodu. Chłonałem te nauki łapczywie, z każdym dniem coraz bardziej go szanując, a jednocześnie gardząc tą nędzną kobietą, która mnie zrodziła.

Matka, od najmłodszych lat słabowita, podupadła na zdrowiu tak bardzo, że wyglądała jak cień samej siebie. W końcu niemal przestałem ją widywać. Z rzadka jedynie zdarzało się, że nocą, gdy w rezydencji panował niczym niezmacony spokój, natykałem się na nią, jak snuje się po korytarzach bez celu, blada i mizerna, przesywając niewidzącym spojrzeniem wszystko, co stało jej na drodze, włącznie z jedynym synem. Zdawała się mnie nie zauważać, gdy się mijaliśmy, głucha na wszelkie próby nawiązania jakiegokolwiek kontaktu. Nieraz odnosiłem wrażenie, że bił od niej jakiś niewytłumaczalny chłód, niekiedy czułem na skórze delikatny powiew wręcz mroźnego powietrza, gdy była w pobliżu.

Kiedyś spróbowałem wypytać ojca o jej stan. Nigdy wcześniej nie wpadł w taką furię – to był jedyny raz, kiedy mnie uderzył. Gdy już nieco powściągnął gniew, stanowczo zabronił mi poruszać ten temat w jego obecności. W spoglądających groźnie spod krzaczastych brwi oczach dostrzegłem coś, co mnie przeraziło, choć wtedy jeszcze nie rozumiałem, co właściwie zobaczyłem. Pełen najgorszych, choć zupełnie niejasnych przeczuć, postanowiłem zamilknąć.

Zacząłem się o niego martwić – po tej rozmowie poczęły w nim zachodzić coraz wyraźniejsze zmiany. Wydawał się jakiś nieswój, często bywał roztargniony i zupełnie nieobecny duchem. Bojąc się jednak, że znów go rozgniewam, nie odzywałem się, czasem

tylko zaglądałem do jego prywatnych pokojów, ukradkiem sprawdzając, co u niego. Jedne z tych potajemnych odwiedzin nader szybko zakończyły się nieprzyjemnym zaskoczeniem.

Szedłem ponurym korytarzem pierwszego piętra w stronę najodleglejszych pokojów, które miały być dla mnie niedostępne. Ojciec nie miał pojęcia, że ostatnio często je odwiedzam w trosce o jego zdrowie. Starałem się przemieszczać jak najdyskretniej, pewien, że gdyby mnie przyłapał, jak go podglądam, wzbudziłbym w nim gniew, którego tak bardzo się bałem. Woląłem go unikać, by mu się nie narażać, nie mogłem jednak zrezygnować z tych ryzykownych eskapad – czułem, że może wydarzyć się coś strasznego, woląłem więc mieć wszystko pod taką kontrolą.

Ostrożnie uchyliłem drzwi do pierwszego z pomieszczeń, stanowiącego coś w rodzaju prywatnego pokoju dziennego, a zarazem biblioteki, połączonego z resztą szeregiem nierzucających się w oczy przejść. Ponieważ był on pusty, po cichu wszedłem, uważając, by obcasy moich butów nie zastukały o podłogę. Skierowałem się wpierw do gabinetu ojca, spodziewając się zastać go w nim o tej porze. Zbliżyłem się i niezbyt elegancko zacząłem podsłuchiwać, oczekując dźwięków świadczących o jego obecności. Ponieważ niczego takiego nie usłyszałem, postanowiłem tam zajrzeć.

Stałem w progu jak wryty. Głowa ojca spoczywała obok starego rewolweru na solidnym dębowym biurku, dziwnie obrócona, a wokół niej rozlewała się kałuża ciemnej, niemal czarnej cieczy. Oczy, wytrzeszczone w obłądnym wyrazie przywodzącym na myśl jakieś upiorne zaskoczenie, patrzyły na mnie nieruchomo pustym wzrokiem, w którym próżno by szukać jakichkolwiek oznak życia. Opuchnięty język wylewał się z półotwartych ust, dodając martwej twarzy nieco groteskowego wyglądu.

Obróciłem się na pięcie i uciekłem stamtąd, nie trudząc się nawet sprawdzeniem, czy mój rodzic żyje. Jakże głupim i niedoświadczonym młokosem wtedy byłem, Julianie! Zajęty czyszczeniem zabytkowej broni ojciec musiał mieć jakiś niegroźny atak, który chwilowo odebrał jego ducha realnemu światu, pozostawiając ciało w niezbyt przyjemnym dla oka stanie, gdyż spotkałem go tamtego wieczoru. Wędrował po korytarzu, podobnie jak zdarzało się to matce. Poznałem wtedy, iż organizm jego znajduje się w wyśmienitej formie, jakkolwiek umysł musiał ulec tej samej dziwnej i nieznannej mi wcześniej przypadłości, która dotknęła najpierw jego współmałżonkę.

Zacząłem wyrzucać sobie, że nie udzieliłem mu jakiegokolwiek pomocy, kiedy jej potrzebował, szybko jednak tego zaniechałem, świadom bezcelowości takich działań. Zrozumiałem, że teraz to na mnie spadnie obowiązek zarządzania naszymi włościami i opieki nad chorymi rodzicami. Nie było to proste – służący po kolei zaczęli rezygnować z pracy, a gdy zabraniałem im odchodzić, uciekali, pozostawiając cały swój dobytek. W oczach tych, którzy wytrzymali najdłużej, widziałem, że z jakiegoś powodu się boją, choć nie byłem tak surowy jak ojciec. Nieraz słyszałem, jak szepczą za moimi plecami, dostrzegałem ukradkowe spojrzenia, które mi rzucali.

Niemal z dnia na dzień do naszej rezydencji przestali zachodzić interesanci, choć zawsze było ich na pęczki. Wszyscy, których miałem za przyjaciół, odwrócili się ode mnie, moje opowieści o tym, co widziałem, a czego oni nie potrafili dostrzec – wcześniej uznawane przez nich albo za piękne i zupełnie wiarygodne, albo też za niezmiernie zabawne, choć całkowicie wydumane – nagle nazywając oczywistymi oznakami postępującego szaleństwa. Reszta służby uciekła, nie zważając na prośby ni groźby. Pewnego dnia obudziłem się zupełnie sam, nie licząc biednych rodziców, którzy od jakiegoś już czasu nie pokazywali mi się na oczy. Długo nie mogłem znaleźć sobie miejsca, zamartwiając się niesłusznie o przyszłość swoją i całego rodu. Nader jasno zdając sobie sprawę z ciężącej wyłącznie na mnie powinności przedłużenia linii, podjąłem wreszcie najrozsądniejszą decyzję – postanowiłem się ożenić. Pomyślałem, że spełniając swój obowiązek, równocześnie przysporzę radości ojcu i matce – liczyłem, iż wnuki przyczynią się do odzyskania przez nich choć częściowo utraconej równowagi.

Świadom, że wobec złego stanu zdrowia obojga rodziców sam będę musiał się o to zatroszczyć, lecz niezmiernie pokrzepiony wizją, którą roztoczył przede mną mój udręczony umysł, począłem zastanawiać się nad odpowiednią kandydatką dla kogoś takiego jak ja. Przypomniałem sobie wreszcie o dalekich krewnych, którzy swego czasu chętnie widzieliby możnego dziedzica w roli zięcia. Zdaje się, że nawet próbowali zawrzeć z ojcem jakąś umowę, która ostatecznie nie doszła do skutku z uwagi na zbyt młody według nich wiek tej córki, którą sobie dla mnie upatrzył. Było to dziewczę doprawdy urocze, choć z pewnością wtedy nie nadawało się jeszcze do rodzenia dzieci. Teraz, wedle moich rachunków, powinna mieć około dwudziestu pięciu lat, a więc byłaby już starą panną, niemniej mogłaby się nadać – wszak nie znałem drugiej damy o równie wysokim statusie społecznym. Po głębszej analizie udało mi się też ustalić, że nie otrzymaliśmy żadnych wiadomości, jakoby rzeczona kandydatka miała wyjść za mąż, prawdopodobnym było więc, iż mam jeszcze szanse.

Zdecydowany czym prędzej zawrzeć święty związek małżeński i zacząć płodzić potomków – do zbawienego wpływu ich obecności na stan zdrowia drogich moich rodziców byłem już całkowicie przekonany – udałem się czym prędzej w długą podróż, której celem była usytuowana w głębi obcego kraju rezydencja krewnych.

Nie będę ci, drogi Julianie, opisywał wszystkich swoich perypetii w czasie tej wyprawy. Dość będzie powiedzieć, że niespodziewana wizyta niezmiernie zaskoczyła wujostwo. Owszem, okazało się, że w domu wciąż mieszka z nimi najmłodsza – choć niemłoda już – córka. Pomni na dawne urazy, początkowo nie zgadzali się na ślub, nie dając wiary moim zapewnieniom, że pokochałem to dziewczę do szaleństwa. Musiałem wyrzucić na nich niemałą presję i solennie obiecać, że wszystko odbędzie się po cichu, bez wielkich ceremonii. Tłumacząc sobie, że rodzice zrozumieliby sytuację – a także śpiesząc się do powrotu w rodzinne strony z towarzyszką na resztę życia – przystałem na wszystkie warunki, jakie postawili przyszli teściowie. I tak oto, w niespełna miesiąc po opuszczeniu domu, powróciłem tryumfalnie ze świeżo upieczoną małżonką.

Początki naszej wspólnej drogi były trudne. Wiele musiałem się nauczyć o sprawach, w które nie zdążył wtajemniczyć mnie mój nieszczęsny ojciec. Widziałem jednak od początku, że żona – skryta i delikatna istota o eterycznej urodzie – czuje przede mną należyty respekt. Choć byłem stanowczy, dobrze o nią dbałem i wskutek moich starań niebawem okazała się być brzemienną. Nie posiadałem się z radości, czując, że da mi wspaniałego syna.

Nie pomyliłem się. Radość moja zbledła, gdy po powiciu dziecięcia – a była to już najwyższa pora, by zatroszczyć się o splodzenie kolejnego potomka – małżonka przestała mnie wpuszczać do alkowy. Zrazu chciałem dać jej trochę czasu, by nacieszyła się maleństwem, które nieustannie tuliła w ramionach. Szybko jednak zrozumiałem, jakim błędem byłoby takie postępowanie – wszak kobieta winna znać swoje miejsce, a pokorna żona ma obowiązek oddać mężowi to, co mu się słusznie należy.

Nie potrafiąc dotrzeć do ograniczonego kobiecego umysłu rozsądnymi argumentami, postanowiłem z całą mocą postawić na swoim. Nędznica, pokazała wtedy, jaki ma do mnie szacunek, zamykając się z pierworodnym w swoich komnatach. Przez czas jakiś próbowałem jeszcze przemówić jej do rozumu, lecz nic nie skutkowało. Nie chciałem być tyranem, więc w końcu z bólem serca pozwoliłem jej się odizolować. I tak oto ponownie zostałem sam w domu, który dzieliłem z trzema pokoleniami mojej wspaniałej rodziny.

Widzisz, Julianie, że życie mnie nie oszczędzało. Powinieneś więc teraz zrozumieć, dlaczego chcę odejść. Nie patrz na mnie w ten sposób. Wiem, rodzinie mężczyzny należy się opieka, jaką tylko jest jej w stanie zapewnić. Zważ jednak, że syn mój pierworodny dojrzał już, by przez czas jakiś pełnić za mnie tę odpowiedzialną funkcję. A ja potrzebuję odpoczynku. Spokój jest teraz jedynym, czego pragnę.

Nie myśl, że jestem niewdzięcznikiem. Doceniam twoją szczerą, choć trudną przyjaźń. W tych ciężkich czasach byłeś mi jedyną życzliwą duszą w ponurym domu pełnym bolesnych wspomnień i w istocie jedynym towarzyszem, na którego milczącą obecność zawsze mogłem liczyć. Jednak tam, dokąd się teraz udaję, nie możesz iść ze mną. Nie próbuj mnie powstrzymywać, gdyż zdania nie zmienię. Żegnam cię z ciężkim sercem, ale również z nadzieją, że jeszcze się spotkamy, gdy czas wyleczy rany. Tak więc do widzenia, mój drogi Julianie. Do zobaczenia po drugiej stronie.

KLĘSKA RODU MONTALPICH
(fragmenty artykułu z „Heralda” nr 33/61)

Makabrycznego odkrycia dokonali stróże prawa na terenie włości należących do powszechnie znanej i szanowanej rodziny Montalpich. (...) Zaalarmowani przez zaniepokojonych sąsiadów stróże przybyli w porę, by ugasić pożar i ocalić rezydencję przed spłonieniem.

(...)

Wewnątrz znaleźli zwłoki czworga ludzi – w tym jedno małego dziecka. Według biegłych musiały tam spoczywać przez co najmniej dwie dekady. Dotychczas udało się ustalić tożsamość dwójki denatów. Jednym z nich jest senior rodu, sir Thomas Montalpi, który wedle wstępnych ustaleń zginął od kuli pochodzącej ze znalezionej w pobliżu rewolweru. Drugim – kobieta (...) to małżonka sir Thomasa, lady Vivian. Wciąż nie udało się zidentyfikować zwłok młodej matki tulącej w ramionach martwe dziecko.

(...)

Po dokładnym przeszukaniu, w lesie należącym do posiadłości odnaleziono zwłoki ostatniego dziedzica rodu wiszące na drzewie. Lord Julian Montalpi najprawdopodobniej popełnił samobójstwo o zmierzchu (...)



UBRANIA I DODATKI DLA FANÓW GROZY

 SPOOKYSTUFFSHOP



WSTRĘT

(recenzja)

Anna Plich

Manikiurzystka, Carol Ledoux, mieszka ze starszą siostrą Helen w wynajętym mieszkaniu w kamienicy. Kiedy jej współlokatorka zaczyna spędzać noce z żonatym mężczyzną, Carol zapada na dziwną chorobę. Często traci kontakt z rzeczywistością i reaguje wstrętem na bliskość płci męskiej. Po wyjeździe Helen z miasta jej psychika ulega jeszcze większemu rozchwianiu. Carol barykaduje się w mieszkaniu, w samotności borykając się z niepokojącymi halucynacjami.

Pierwsza część tzw. „Apartment Trilogy” – produkcji grozy, których akcje umiejscowiono głównie w mieszkaniach, w których skład weszły również „Dziecko Rosemary” i „Lokator” – została zrealizowana w Wielkiej Brytanii. Wraz ze współscenarzystą, Gerardem Brachem, Polański miał problem ze znalezieniem dystrybutora „Wstrętu”. Kiedy dwie duże firmy odmówiły, panowie byli zmuszeni zawiązać współpracę z dystrybutorem filmów soft porno, Compton Pictures, który zaskakująco dobrze wywiązał się ze swojego zadania. „Wstręt” szybko przyciągnął uwagę krytyków i został uhonorowany nagrodą FIPRESCI oraz Srebrnym Niedźwiedziem, ale ten sukces nie nastroił optymistycznie samego Polańskiego. Reżyser do dziś podkreśla swoją niechęć do „Wstrętu”, upierając się, że gdyby dysponował większym budżetem na jego realizację, efekt byłby jeszcze ciekawszy.

Nie wiem, jaki ostateczny kształt przybrałby „Wstręt”, gdyby Polański i Brach wyłożyli więcej pieniędzy na jego realizację, być może rzeczywiście efekt przeszedłby moje najśmielsze oczekiwania, ale w takiej postaci, w jakiej zaprezentowano ją widzom, naprawdę ciężko dopatrzeć się jakichś znaczących mankamentów. Co prawda w późniejszych latach Roman Polański udowodnił, że większe nakłady pieniężne wcale nie muszą być gwarantem efekciarstwa, więc ewentualne podreperowanie budżetu zapewne nie zaniżyłoby ogólnego poziomu tego niewątpliwego arcydzieła. Chociaż nie wiem, czy wówczas Polański nie dopuściłby do głosu swojego obsesyjnego perfekcjonizmu (który szczególnie uderzył mnie

w jego nowszej produkcji pt. „Wenus w futrze”), który oddarłby „Wstręt” z nieustannie bijącej po oczach swobody, znacząco potęgującej atmosferę wszechobecnej paranoi.

Fabula koncentruje się na postaci Carol, bezbłędnie wykreowanej przez nieegzaltowaną Catherine Deneuve, która już samym swoim przesywającym spojrzeniem wywołuje u mnie ciarki na plecach. Młoda, pracująca w salonie piękności kobieta mieszka wraz ze swoją starszą siostrą Helen w kamienicy. Właściwa akcja filmu zawiązuje się dosyć szybko, od, jak się później okaże, przełomowego wydarzenia w życiu Carol. W nocy do jej uszu dochodzą odgłosy stosunku seksualnego, któremu jej siostra oddaje się wraz ze swoim partnerem, żonatym mężczyzną. Ten, wydawać by się mogło, mało znaczący incydent na główną bohaterkę działa niszcząco. Carol zaczyna unikać swojego chłopaka, wzdragając się przed jego dotykiem i pocałunkami, oraz wpadać w stan niejakiej katatonii – przez długie minuty uporczywie wpatruje się pustym wzrokiem w podłogę i, ślepa na otoczenie, snuje się po ulicach gwarne miasta.

Przez te pierwsze fazy szaleństwa Carol Polański przeprowadza widza ze swoją łagodnością, ale jedynie w kontekście fabuły. Atmosfera wszechobecnego szaleństwa dosłownie przygniata przez cały czas, głównie za sprawą klaustrofobicznej scenerii i genialnych sztuczek operatorskich. Małe mieszkanko wynajmowane przez Carol i Helen jest odbiciem stanu umysłowego tej pierwszej. Im bardziej pograża się ona w swoim szaleństwie, tym obskurniej jawi się jej otoczenie. Przygnębiający wydzźwięk filmu znacząco spotęgowali operatorzy, co jakiś czas filmując jedynie nogi Carol z perspektywy podłogi i kierując kamerę poza główny plan, na którym widać rzeczy równie niepokojące, co sama bohaterka, jak na przykład rozkładające się królicze mięso. Klaustrofobiczno-paranoiczny wydzźwięk filmu dopełnia szarpiąca nerwy, mogąca konkurować nawet z oprawą muzyczną „Psychozy” Alfreda Hitchcocka, ścieżka dźwiękowa, skomponowana przez Chico Hamiltona. Szczególnie pomaga ona w wygenerowaniu odpowiedniego napięcia tuż przed jump scenami, których siłę rażenia notabene również podnosi. Taką moim zdaniem najbardziej udaną jump sceną jest odbicie w lustrze wyobrazonego mężczyzny, niezmiennie podrywające mnie z fotela. Podobnych zabiegów jest oczywiście więcej, szczególnie podczas dynamicznej końcówki, ale nawet wyłaniające się ze ścian ręce, chwytające Carol, nie działają na mnie tak miażdżąco, jak ta pierwsza jump scena.

Często analizowany przez krytyków finał „Wstrętu”, następujący po trzymających w napięciu, pełnych akcji sekwencjach, osnutych miażdżącym klimatem, który osiąga prawdziwe wyżyny podczas punktu krytycznego paranoi Carol, jest mocno przewidywalny, aczkolwiek, jak zauważają widzowie, niejednoznaczny. **UWAGA SPOILER:** Już

początkowa niechęć Carol do mężczyzn, obudzona przez odgłosy seksu rozlegające się z pokoju jej siostry, napełniła mnie przekonaniem, że prawdziwą przyczyną jej choroby było molestowanie seksualne w dzieciństwie, które w późniejszych latach wyparła z pamięci. Za taką interpretacją przemawia moment, w którym główna bohaterka przebiera się za małą dziewczynkę i z błogim wyrazem twarzy leży na łóżku, jej liczne wyobrażenia brutalnego współżycia z mężczyzną i wreszcie finalne zdjęcie, na którym mała Carol z obawą wpatruje się w dorosłego mężczyznę, w domyśle będącego jej ojcem. Sam fakt, że tę, moim zdaniem najbardziej prawdopodobną, interpretację problematyki „Wstrętu” (choć oczywiście innych też można się doszukiwać) łatwo przewidzieć, w najmniejszym stopniu nie zaważył na moim odbiorze tego zjawiska kinematograficznego. Nie przeszkadzało mi nawet to, że Alfred Hitchcock już rok wcześniej uciekł się do tematyki pedofilii w jednym ze swoich najlepszych dreszczowców, zatytułowanym „Marnie”, bo choć widać we „Wstręcie” powtarzalność owego konkretnego motywu, pozostałe elementy fabuł tych filmów podążają w przeciwnych kierunkach. **KONIEC SPOILERA.**

„Wstręt” określa się mianem kultowego thrillera psychologicznego, na co film, pomimo utyskiwań samego Romana Polańskiego, z pewnością sobie zasłużył. Nie wiem, czy istnieje równie sugestywny, niepokojący i klaustrofobiczny obraz rodzącego się i szybko postępującego szaleństwa w światowej kinematografii. W każdym razie, ja takiego nie znam.

Więcej recenzji można przeczytać na blogu autorki:

horror-buffy1977.blogspot.com



NAROŻNA KAMIENICA

Józef Korzeniowski

Było to przy końcu października 184... roku. Zmęczony próżnym myśleniem i szukaniem bajki, która przyjść nie chciała, wyszedłem raz wieczorem na ulicę. Już było ciemno, deszczyk drobny prószył z wolna i przez jakąś mgłę wilgotną przebijały się światła rewerberów, które dopiero co pozapalano. W wielu oknach było jeszcze ciemno; gdzieniegdzie tylko pierwsze pownoszono świece, a tu i ówdzie widać było cienie malujące się na szybach, które wraz ze światłem przenoszonym z pokoju do pokoju znikwały. Na ulicy niewiele było ludzi, a kto szedł, szedł szybko, uciekając przed deszczem i ochraniając kapelusz parasolem, o który nieraz potraściłem głową, gdyż zwyczajem warszawskim nikt go nie podnosił spotykając się z tymi, co mieli równe prawo do trotuaru. Tak przeszedłem przez Krakowskie Przedmieście, przez ulicę Miodową i Długą, i zwróciwszy się ku Bielańskiej, wracałem do domu, nie znalazłszy naturalnie, czego szukał, próżno bowiem męczyć głowę,

kiedy Ona prodtikować nie chce i odpoczynku potrzebuje. W ciągu tego spaceru nic mnie nie uderzyło, co by warto było zanotować.

W jednej tylko narożnej kamienicy widziałem wszystkie okna oświetlone. Na dole był pełny sklep ludzi, z drugiej strony szynk, skąd wychodziły śpiewy i krzyki. Pierwsze piętro jaśniało od ognia lamp i kinkietów, a w oknach migały postrojone główki panienek i fryzowane głowy aplikantów; na drugim piętrze także było jasno, ale przy oknie stała jakaś postać niewieścia w czarnym, na ile dojrzeć mogłem, ubraniu i trzymająca chustkę przy oczach, zapewne płaczących. W okienkach znowu wyglądających z dachu, a także jasnych, widziałem kobiece głowy nachylone i ręce ich podnoszące się regularnie, zapewne z igłą, która je żywiła. Postąpiłem tam chwilę, popatrzyłem, pomyślałem, że tak wszędzie układa się życie warstwami: tu zabiegi, tam bezmyślne trwonienie czasu, dalej radość, dalej smutek i płacz, a nad wszystkim góruje praca i troska o chleb powszedni. Wszakże myśli te znikły prędko z mej głowy, gdy się oddaliłem od domu, który je nasunął; a gdy wróciłem do swego mieszkania, zyskałem tylko od troskliwej o zdrowie moje rodziny połajanie za niepotrzebne wieczorne włóczęgi i wskutek wilgoci deszczu silny paroksyzm kaszlu, który mię z półtorej godziny przemęczył.

Nie mogąc niczym złagodzić cierpienia, na które medycyna nie umie wynaleźć środka i dlatego nie nazywa je chorobą, jak tonący, który się chwyta brzytwy, zażyłem kilka kropel laudanum, które znalazło się pod ręką. Środek ten ujmował nieraz moje paroksyzmy, ale że ten ostatni był silniejszy od innych, że mi się ręka trzęsła i oczy zachodziły cieniem od gwałtownego wstrząśnienia, musiałem przesadzić dozę i zażyć trochę więcej, niż należało. I teraz wprawdzie paroksyzm ustąpił, ale głowa ciężyc zaczęła i oczy skłaniały się niby do snu, niby do jakiegoś marzenia, które nie było przykrością. Usiadłem więc w fotelu, oparłem głowę na poduszce, a przymknąwszy oczy i nie mogąc kierować myślami, które się tłumnie i bez porządku naciskały, pozwoliłem im bujać samopas.

Marzyłem więc i w tym stanie pół snu, pół czuwania zdało mi się, że szedłem ulicą jakąś szeroką i długą niby w Warszawie, niby gdzieś indziej, bo miasto zdało mi się jakieś większe, domy wyższe i ludzie jacyś nie tacy jak u nas. Choć tłum był wielki, mgła gęsta i deszczyk padał, przechodziłem szybko i łatwo, nie znajdując żadnej zawady. Kobiety były nie takie szerokie i nie kaleczyły mi nóg żelazami swych spódnic, młodzi ustępowali z drogi kobietom i ludziom starszym od siebie wiekiem, każdy podnosił parasol nad głowę tego, z którym się spotykał, żołnierze nie dawali w bok szturchańców przechodzącym, a studenci nie szli wzięwszy się pod ręce we trzech lub we czterech i nie spychali w rynsztoki ludzi sędziwych i poważnych.

Tak przeszedłszy jedną ulicę i drugą, znalazłem się na jakimś wielkim placu, niepodobnym do żadnego, jakie tu mamy w Warszawie, a jednak przypominającym wszystkie, jak gdyby z każdego z nich wzięta była jakaś część, jakiś dom, jakiś pomnik, jakaś latarnia i wszystko to zestawione było razem. Tam postrzegłem przed jedną narożną kamienicą znaczną gromadę ludzi zbitych w kupkę i gapiących się na jej okna, które wszystkie były oświetlone. Zatrzymałem się więc i ja, i podniosłem oczy na przedmiot, na który wszyscy patrzyli. Kamienica była o kilku piętrach, a okna jej wychodzące na plac i na ulicę, która z niego ciągnęła się głęboko tak, że końca jej nie można było dojrzeć, coraz inne przedstawiały sceny. Widać, że to, co mię na chwilę zastanowiło w prawdziwym moim wieczornym spacerze, przypominało się i w marzeniu, i splątało się dziwnie z innymi obrazami, których wtedy nie widziałem. Zdało mi się, że na dole rozwijano i składano w sklepie oświetlonym jakieś materie, że do tego sklepu cisnęły się postrojone panie, a mężczyźni jacyś, zdesperowani i z dziurami na łokciach, zapewne mężowie tych pań, ciągnęli je za poły, ale odciągnąć nie mogli, że w winiarni, która była obok, znajdowało się kilkunastu młodych ludzi trzymających w jednej ręce to nuty, to smyczek, to pędzel, to pióro, a w drugiej pełny puchar, który podnosili w górę, wykrzykując jakieś hymny pochwalne jeden drugiemu, których zrozumieć nie mogłem; że z okien pierwszego piętra biła muzyka, a w jednych jaśniały postrojone głowy i rumiane twarze panien uśmiechające się do kawalerów trzymających w rękę jakieś ozdoby błyszczące jak brylanty, w innych zaś widać było starców z wyraźnym piętnem orientalnym lub ozdobionych gwiazdami, do których cisnęły się starsze już a równie piękne kobiety i nęciły ich wejrzeniem i uśmiechem. Na wyższym piętrze taka sama kobieta w żałobie, jaką widziałem naprawdę w przechadzce mojej, stała w oknie, ale nie płakała, tylko szeptała coś ze stojącym obok niej młodzieńcem, który z uśmiechem ukazywał na kilku mężczyzn stojących w drugim oknie, naradzających się z sobą i między którymi zdawało mi się widzieć twarz znajomego mi lekarza. Na ostatnim piętrze postrzegłem w jednym oknie jakiegoś młodzieńca z najeżoną czupryną, który trzymał w ręku pistolet, a w innym mdlejącą dziewczynę, którą inne, widać, ratowały; w trzecim zaś jakąś piękną główkę nachyloną nad robotą i rękę podnoszącą się z igłą.

Gdym się przypatrywał tym scenom codziennego życia i nawet w marzeniu przypominał sobie, że już to wszystko gdzieś widział, potracił mię z lekka łokciem jakiś stojący obok mnie mężczyzna. Dotknięcie to, chociaż niemocne, tak mnie jednak uderzyło, jak uderza silny prąd galwaniczny, że się wstrząsł cały i podniósł głowę na tego, który mi taki ból sprawił. Był to słuszny jakiś elegant w kapeluszu nasunionym na oczy tak, że widać tylko było połyskujące okulary. Twarz jego powyżej nosa zasłaniała podniesiona poła

czarnego obszernego płaszcza, którą trzymał chudą ręką w żółtych rękawiczkach; lakierowane buty błyszczały na jego nogach, a każda część ubrania, którą można było widzieć, jako to: kapelusz, rękawiczki, płaszcz i buty, była nowiuteńka, czysta, jaśniała materią i odznaczała się elegancją formy.

Widząc, że okulary jego zwrócone ku mnie, ale mnie nie przeprasza za to, że mię trącił, rzekłem:

— Czego pan żądasz?

— Chcesz pan obaczyć bliżej to wszystko, co nas uderza z daleka, to chodź za mną — odpowiedział jakimś dziwnym głosem, na który zadrżałem i, nie czekając odpowiedzi, poszedł naprzód. Nie mogłem sobie zdać sprawy, dlaczego mię głos ten tak przeniknął i nie mogłem oprzeć się jakiejś tajemnej sile, która mnie za nim popchnęła.

Postąpiłem więc i razem weszliśmy do magazynu, który był przed nami; zajęcie tam było wielkie. Kobiety targowały się, perswadowały, prosiły niemal ze łzami w oczach. Kupczyki widząc, że im się bardzo chce, nie ustępowali, a duch pokusy siedział na kantorze i śmiał się z tych pań, które by były wówczas poświęciły wszystko, byle otrzymać cel swego zachcenia. Myśmy stali niedaleko ode drzwi i nikt na nas nie zwracał uwagi. W parę minut po naszym wejściu jedna z tych pań, która okazywała największy zapał do jakiejś modnej materii i roiała sobie zapewne, jak w niej będzie wyglądać, spojrzawszy może przypadkiem ku nam, chwyciła się za głowę, potem położyła rękę na sercu i krzyknawszy: — Słabo mi! — usiadła na krześle, które obok niej stało.

— Chodźmy! — rzekł wówczas do mnie mój towarzysz. A gdy nie zaraz go usłuchał, wziął mnie za rękę chudymi i twardymi jak szczypecie palcami. Ja wtedy uczułem znowu takie samo bolesne wstrząśnienie i, nie mogąc być nieposłusznym jego woli, pomknąłem się za nim.

Towarzysz mój dotknął drzwi winiarni, które cicho się otwarły. Weszliśmy, i gdy nikt nie dostrzegł nas, może dla zajęcia, jakie wszystkich ogarnęło, stanęliśmy spokojnie i patrzyli z boku. Młodzi ci ludzie, którzy napelniali pokój, a zdawali się być pełnymi siły i zdolności, byli już wszyscy pijani. Nuty, smyczki, pędzle, farby, papiery, pióra, rękopisma i książki leżały na stole między butelkami i kuflami. Oni siedzieli wokoło z najeżonymi włosami, bez chustek na szyi, w pomiętym i polanym winem odzieniu, z zapalonym okiem i płonącą twarzą. Gwar był wielki, każdy gadał i wykrzykiwał, każdy trzymał w ręku pełen kufel i potraçał się nim z drugim. Wśród tej wrzawy i śmiechów, i brzęku szklanek rozróżnić tylko można było te wyrazy: „Za twoje zdrowie, Meierbeerze!”, „Do ciebie, Paganini!”, „Vivat Vernet!” — „Pij, Kalamie, niech żyje Goethe!”.

– Niech żyje!— powtórzyli wszyscy. — „Kiep, kto nie wypije za zdrowie wieszca wieszczów!

– I wszyscy, oprócz jednego, wychylili kufle, które usłużne dziewczęta napełniały znowu.

– Czemu nam wieszcz nasz nie dziękuje?— wołało kilku. – „Kto tu jest wieszcz nad wieszczami?”— krzyknęli wszyscy.

Wtedy wstał jeden młody człowiek, blady, z rozrzuconym włosom, w dziurawym i wytartym surduciku i, ukłoniwszy się, rzekł: „Dziękuję wam, bracia w Apollinie, pieszczochy chwały, dzieci sztuki i poezji. Tym, którego wywołujecie, jestem ja. Wyzwaniu waszemu odpowiem. Przed blaskiem chwały, jaką się okryję, zbledną wszystkie reputacje. Na stu tomach wypiszę moje imię wprzód, nim połysieje moje czoło, nim posiwieją włosy!” „Vivat geniusz! Niech żyje!”— wołali wszyscy wychylając kufle, a geniusz podniósł go także do ust, wychylił, ale wychylając spojrział ku nam i zatrzymał się. Postrzegłem wtedy, że okulary mojego towarzysza wyteżone były na twarz młodego człowieka, która jeszcze gorzej pobladła i który wkrótce postawił niedopity kufel, patrzył ku nam obłąkaną źrenicą, a wyciągając ręce i zawoławszy: „Widzę cię, widzę, za wcześniej przyszła, precz, potworo!”— upadł na krzesło. Gdy się pochylił i zamknął oczy, a piana z ust jego wystąpiła, śmiech ogólny powstał w całej kompanii.

– Spił się geniusz! – wołano – Wieszcz nad wieszczami nie dotrzymał placu!

Zadrzałem na ten widok, wstręt i żal przejmował mnie na tą myśl, że się tu marnuje tyle sił i zdolności. Wtedy towarzysz mój zawołał:

– Chodź pan dalej!

W tonie jego było coś tak rozkazującego, że w ten moment odwrócił od tej sceny, co mnie tak mocno zabolala, i wyszedł za nim. Poszliśmy na pierwsze piętro. Tam służba się uwijała, ale nikt nas nie zatrzymał. Drzwi od salonów były otwarte. Weszliśmy więc, gdzie grzmiała muzyka, gdzie strojne pary uwijały się wokoło, gdzie gwar rozmów i śmiech nagradzający koncepta dowcipnisiów, którzy bawili grupy pań siedzących na kanapach i gromadki mężczyzn, którzy wzrokiem ciekawym ścigali najpiękniejsze kobiety, coraz bardziej się wznagał. Zastanowiło mnie to niezmiernie, że nikt na nas nie zważał, że nikogo to nie uderzyło, że towarzysz mój był w płaszczu i w kapeluszu, którego nie zdjął.

Stanęliśmy w głównym salonie. Obok nas było dwóch młodych mężczyzn. Jeden z nich z okiem zaiskrzonym od gniewu chwycił kolegę za rękę i rzekł do niego: – Patrz, patrz, jak ona go słucha, jak słodko na niego patrzy. Przed miesiącem mówiła mi, że bogactwa i honory są dla niej szychem; którego blask jej nie zwodzi. Myślałem, że mię kocha,

marzyłem raj na ziemi z tą cudną istotą, której każdy ruch jest wdziękiem, każde spojrzenie promieniem gwiazdy, każde słowo muzyką. Tymczasem zdarzył się starzec z tytułem i milionem, i odwróciła się ode mnie, który mam tylko serce i głowę. I patrz, ona mu podaje rękę, twarz jej jaśnieje tymi nadziejami przepychu, znaczenia, zbytków, strojów i uczt, gdzie będzie mogła jaśnieć obsypana brylantami i nazywana księżną. Ona mu przyrzeka!– zawołał, ściskając mocniej rękę kolegi.

Słyszając to zwróciłem oczy ku tej parze, o której młody człowiek mówił. W rzeczy samej zdawało się, że to było oświadczenie niemłodego już mężczyzny, na którego głowie jaśniały siwe włosy, a na piersiach gwiazda, pannie przesłicznej, która słuchała go z zajęciem, z uśmiechem, i której twarz piękniała jak kwiat pod rosą, co go ożywia. Kiwnęła mu wreszcie główką i podała rękę; a gdy stary przycisnął dłoń jej do piersi, ona, zawstydzona niby, odwróciła się. Może w tej chwili oko jej szukało młodego człowieka, który stał obok nas, ale padło na mojego towarzysza. I nagle zbladła jej twarz rumiana, opuściły się ręce, i owa istota pełna nadziei i życia, rojąca długi szereg powodzeń i szczęścia, pochyliła się jak lilia podcięta i skłoniła się na ręce tych, co obok niej stali. I znowu w tej samej chwili usłyszałem głos tak mi dobrze znany i tak przemożny:

– Chodź pan dalej!

A ja, chociaż chciałbym był zostać, by dowiedzieć się, co się stanie, lękając się jednak być nieposłusznym, szybko tylko spojrzałem na zwieszoną główkę panny i unosząc w uszach przeraźliwy krzyk młodego człowieka, który mimo jej zdrady, przeraził się jej upadkiem, wyszedłem za moim towarzyszem, który już był w sieni i zwrócił się ku schodom na drugie piętro.

Tam było cicho. W kącie tylko, blisko drzwi wchodowych, stały dwie sługi i płakały.

– Taki dobry pan – mówiła jedna.

– Co będzie z dziećmi? – dodała druga. — Ona pewnie za mąż pójdzie, bo jej tylko umizgi w głowie. A pan Walery już tam jest i oboje czekają tylko, aż stary zamknie oczy.

Drzwi przed nami otwały się same; weszliśmy, zbliżyli się do tego pokoju, gdzie leżał chory, a nikt na to nie zwrócił uwagi, jak gdyby nas nie widziano. Stanęliśmy tak, że mogłem słyszeć rozmowę pani stojącej przy jednym oknie z młodzieńcem który w rzeczy samej wyglądał śmierci jej męża. Przy drugim oknie było dwóch lekarzy naradzających się, a trzeci stał przy łóżku, jedną ręką trzymał za puls chorego, a w drugiej miał zegarek, na którym liczył jego uderzenia.

– Bóg ulitował się nade mną i zesłał na niego tę chorobę – rzekł młody człowiek, ściskając nieznacznie jej rękę.

– Nie mów tak – odpowiedziała żona, wzdrygnąwszy się na te słowa i patrząc w oczy młodziana – bo to myśl grzeszna. Ja drzę cała i sama nie wiem, czego życzyć, czego pragnąć.

– Chyba że mnie nie kochasz, jak mówiłaś – rzekł młodzian, nachylając twarz swoją do jej twarzy. – Ale nie bój się, oni go nie wyleczą i będziesz wreszcie moją.

W tej samej chwili lekarz, który stał przy łóżku, zawołał głośniej do kolegów:

– Puls się podnosi, ręka się ogrzewa.

– Dobry znak – odpowiedzieli oba i ruszyli się z miejsca, aby się zbliżyć do łóżka. Pani także, uderzona tymi słowami, odwróciła się od młodego człowieka. Ale oczy jej trafiły na okulary mojego towarzysza. Wrażenie było stanowcze i straszne. Jęknęła głęboko, chwyciła się obiema rękami za głowę i zawoławszy: „Ach! to ja umrę!” upadła przy nogach kochanka.

Jeden z lekarzy przystąpił do niej, wziął ją za puls i odwracając się do kolegów rzekł:

– Umarła.

Poruszyli się lekarze, odstąpili chorego, a mój dziwny towarzysz przysunąwszy się do mnie zawołał: – Chodź pan!

Wtedy ja, drżąc cały, przerażony tym, com dotąd widział i słyszał, wybiegłem do sieni i zacząłem uciekać. Ale nim zbiegłem z drugiego piętra, już ten człowiek, którego sam widok zaczął mię przejmować strachem, a którego dotknięcia bałem się jak uderzenia piorunu, był przy mnie.

– Nie chcesz pan iść dalej? – rzekł, zastępując mi drogę.

– Nie chcę – odrzekłem, cofając się – i nie pójdę. Nie wiem, kto pan jesteś, ale zbliżenie pana boli mnie.

– Nie bój się pan jeszcze – odpowiedział, śmiejąc się tak jakoś dziwnie, że krew we mnie zakrzepła. – Zresztą widziałeś dosyć, możemy wrócić.

Tak mówiąc, przyszedliśmy na pierwsze piętro. Tam już było pusto i ciemno. Ani śladu gości i balu. A gdy się otwarły drzwi tak hucznych przed chwilą salonów, a z nich wyszedł ksiądz i lekarz, rzekł pierwszy do drugiego:

– Przyszedłem już za późno. Atak nie trwał więcej jak kilka minut i już było po niej.

Kapłan pokiwał głową, a my poszliśmy dalej. W winiarni paliła się tylko jedna świeca. Z owych bujnych i wesołych gości, którzy ją niedawno napełniali okrzykami wiwatów, nie było żadnego. Tylko wieszcz nad wieszczami, co miał sto tomów napisać, leżał bez życia na ziemi, a przy nim stał lekarz i urzędnik policyjny, którego, widać, zaraz wezwał zatrwożony gospodarz. W sklepie także pustym, gdzie jedna tylko lampa dogorywała, dojrzałem tylko ową panią z przewieszoną przez poręcz krzesła głową, z bladą twarzą i zakrzepłym ciałem, a przy niej klęczał jakiś jegomość z dziurami na łokciach, całował jej zimne ręce i płakał.

Wszystko to dało mi taki zawrót głowy, że sam nie wiedział, gdzie jestem. Chwiejąc się, wyszedłem na plac; tam nie było już żywej duszy, mgła tylko gęściej przylegała do ziemi, deszczyk drobny siał jak makiem, a rewerber, który stał obok, połyskał jakimś mdłym światłem, jak gdyby wkrótce miał zgasnąć.

Gdy się obejrzałem wokół, zatrwożony, myśląc, którędy trafić do domu, obaczyłem znowu przy sobie mego towarzysza. Okulary jego przerażały mnie, a on, odchylając cokolwiek płaszcz, rzekł;

– Idź pan teraz spać, do pana przyjdę później.

– Któż pan jesteś? – zawołałem z drżeniem.

– Czyż pan tego nie widzisz – odpowiedział szydersko – że jestem metr tańca, do którego zapraszam ludzi wtedy, kiedy sobie tego najmniej życzą i kiedy o mnie najmniej myślą? Nie rób pan tak jak oni, a przyjdę wtedy, jak będziesz gotów. Dobranoc panu!

I odrzucił płaszcz, i przesłał mi ręką w żółtej rękawiczce pocałowanie od ust, a raczej od zębów, wyszczerzonych i dziwacznie śmiejących się. Wówczas rewerber błysnął mocniej, a ja postrzegłem, że postać ta bez ciała miała tylko kości odziane eleganckim, ale obwisłym odzieniem, a pod kapeluszem była trupia głowa w okularach, przez które przeraźliwe migotało światło.

Wtedy ocknąłem się cały drżący i zimnym potem oblany; a przyszedłszy cokolwiek do siebie i widząc obok stojącą żonę, która mię nakłaniała, żebym się położył, usłuchałem jej milcząc i zmówiwszy pacierz, myślałem długo nad tym, co by mogło znaczyć to osobliwe widzenie. Ale nie mogąc z niego wydobyć żadnego sensu, dałem pokój i zasnąłem. Nazajutrz już mię to nie zajmowało wcale. Wszakże gdy wyszedłem na spacer i obaczyłem dom tak położony jak ten, który widziałem w marzeniu, przyszedł mi na myśl przestrach, jakiegom wówczas doznał. Wrażenie to powtarzało się wielokrotnie i tak się we mnie ugruntowało, że odtąd, wiele razy widzę narożną kamienicę, przypominam sobie owego metra w okularach i żółtych rękawiczkach i badam siebie, czym już gotów do tańca, do którego mię lada dzień wezwać może.



YES



NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS
DESIGN



DARK ART
AND DESIGN

GOOD BYE

PARTNERZY





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

